

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Kazimierz Koźniewski

Piątka z ulicy Barskiej

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

– Niech pan to przejrzy!

Przystojna kobieta, mająca może około czterdziestu lat, podała mi ponad biurkiem gruby skoroszyt z papierami. Okna pokoju, w którym siedzieliśmy, w gmachu Sądów warszawskich na Lesznie, były otwarte – nawiewał tędy pył z budującej się dzielnicy mieszkaniowej na Muranowie. W zakurzonym promieniu słońca, który wkradł się jakoś przez zasunięte story, wyraźnie ukazał się znak wypisany kopiowym ołówkiem na okładce teczki. Ten porządkowy szyfr składał się z liter łamanych przez cyfry i raz jeszcze łamanych przez liczbę 47. Akta sprawy z 1947 roku.

– Strasznie stare! – burknąłem zawiedziony; tropiłem sprawy aktualne.

– Nie szkodzi. Ciekawe. Przejrzyjcie. Nie pożałujecie. Zrezygnowany, odchyliłem okładkę. Pierwszy papier nosił nagłówek: „Protokół z posiedzenia sądu... w dniu 7 grudnia 1947 roku.” Dwa i pół roku temu. Jeszcze raz żałośnie spojrzałem na gospodynię tego pokoju, lecz głowa sędziego była już pochylona nad blatem; przekonana, że zatopiłem się w lekturze aktów, pograżyła się w swej pracy. Nie na tyle jednak, by o mnie zupełnie zapomnieć. Od czasu do czasu unosiła głowę, a widząc, który czytam protokół, dorzucała doń ustny komentarz, bogatszy o fakty nie zawsze objęte dokumentami śledztwa. Jej słowa, lektura akt, własna wyobraźnia – i oto rozwija się przede mną jakby film o przygodach pięciu młodych warszawiaków.

Więc dobrze: grudzień 1947. Za miesiąc przypadało trzylecie oswobodzenia. Równocześnie trzylecie pierwszej w dziejach Polski rewolucji społecznej.

A więc grudzień, 1947 rok. Warszawa.

Pamiętacie, jak wtedy wyglądało miasto?

Na placu Trzech Krzyży nie było jeszcze ogromnego białego gmachu Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Nie było Trasy W–Z. Stał jeszcze wiadukt „Pancera”. Starówka była przeraźliwie martwa. Nie było nowej Marszałkowskiej ani szerokiej Kruczej. Na Mirowie, Mokotowie, Muranowie, Nowym Mieście nie kopano jeszcze nawet fundamentów. Państwo dopiero przygotowywało akcję masowego budownictwa mieszkań. Nowy Świat szczybił się ruinami, przebudowa tunelu tarasowała Aleje Jerozolimskie. Nie wznoszono jeszcze potężnego Domu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Warszawa znajdowała się u końca pierwszego etapu swej odbudowy. W ciągu lat ubiegłych od oswobodzenia miasto zostało z powrotem powołane do życia. Odbudowano komunikację wewnętrzną, uruchomiono dworce docelowe i przetokowe, przerzucono przez Wisłę dwa wielkie mosty. Wprawiono w ruch elektrownię, gazownię, wodociągi i kanalizację. Oczyszczono z gruzów jezdnie i naprawiono chodniki. Na głównych ulicach odbudowane partery domów sprawiały wrażenie – jeżeli przechodzić wyżej nie wznosił oczu – normalnego miasta; sklepy i magazyny czynne byty w tych parterowych budach. Pracowały drukarnie, ukazywały się periodyki i gazety. Warszawa była jedynym pod słońcem miastem, gdzie liczba grających teatrów przewyższała liczbę czynnych kin. Mieszkało tutaj już 572600 ludzi; w lutym 1945 r. było ich 174000, z czego tylko 20000 na lewym brzegu Wisły. Żywiołowa, nie planowana odbudowa, prócz kilkunastu wielkich gmachów rządowych, objęła sklepy, wille i niewielkie kamienice mieszkalne. Wszystko to było oczywiście jedynie skromnym plasterkiem na straszliwą ranę – lecz pomagał on gojeniu i sprawiał, iż miasto z powodzeniem spełniało swe stołeczne funkcje. Wiele zrobiono w ciągu tych trzech lat.

W tym samym czasie w państwowych biurach architektonicznych ukończono już dyskusję nad przyszłym kształtem nowoczesnej stolicy. Równocześnie w północnej dzielnicy rozpoczęto wielką planową budowę. Pierwszą.

Więc wiecie już: Warszawa, miasto odbudowywane z gruzów, grudzień, 1947 rok...

Wyrok sędziego Wilczyńskiej

Ohydna pogoda; jak zawsze, kiedy zapóźniona zima przesila się jeszcze z upartą jesienią. Deszcz ze śniegiem. Niebo za kurtyną brudnych chmur. Ziemia pod pokrywą lepkiej i grząskiej bryi. Okna rozległego korytarza sądowego dają światło ponure i skąpe. Na podłodze rozdeptane plamy błota pomieszanego z cementowym pyłem, jak zazwyczaj w odbudowywanych gmachach. Wiele ludzi czeka na rozprawy. Ich szept robi wrażenie jednostajnego brzęczenia.

Nieoczekiwanie wśród szumu rozległ się donośny głos kobiecy :

– Sprawa Marka Kozła i towarzyszy! – I po raz drugi, by nie było żadnych wątpliwości: – Kozioł Marek, Siwicki Jacek, Moczarski Zbigniew, Spokorny Kazimierz, Kozłowski Lucjan wraz z rodzicami, proszę na salę!

Pięciu oskarżonych – duża afera! Gromada na korytarzu zafalowała. Półmrok zacierał sylwetki dzieci i dorosłych. Przepychali się ku prostokątowi drzwi wiodących na salę. Marek poczuł szarpnięcie za prawy rękaw. Obejrzał się. Nieznany wyrostek pochylił się ku niemu szepcząc:

– Gadać tylko o papie. O reszcie ani mru-mru. Inaczej pożałujecie. Uprzedź innych.

I znikł zgrabnie w napierającym tłumie. Koło Marka stał jedynie Kozłowski.

– Lutek, ani słowa, jak...

Już doszli do rozświetlonej ramy drzwi. Po kolei defilowali przed woźną. Marek nie zdążył powtórzyć innym otrzymanej instrukcji, był jednak zupełnie pewien, że koledzy nie zawiodą. Wczoraj jeszcze dokładnie ustalili, w jakim momencie i do czego mają się przyznać. Jako nieletni, odpowiadali z wolnej stopy.

W dużym, jasnym pokoju, za stołem między dwoma oknami, rzucała się w oczy przede wszystkim postać sędziego w czarnej todze. Od innych sędziów ten różnił się długimi, skromnie zaondulowanymi włosami; srebrne nitki siwizny znaczyły rangę życiowego doświadczenia.

Sędzią jest kobieta. Sekretarzem sądu także. Kobieta jest również woźny tego trybunału.

Dorośli zasiedli w ławkach. Chłopcy stanęli szeregiem przed stołem głównym, z lękiem obserwując twarz pani sędziego, to pochylającej się nad rozłożonymi aktami, to podnoszącej wzrok na nich.

Sędzia Wanda Wilczyńska przypatruje się oskarżonym po kolei. Pragnie z wyglądu ocenić ich charakter, lecz wzrok jej bezradnie ślizga się po sztywnych, zaciętych, niechętnych twarzach, zatrzymując się dopiero na wyrazistych szczegółach garderoby lub jeszcze niżej, na podłodze, na śladach zabłoconych butów. Pierwszą myślą Wilczyńskiej jest żal do błota, do butów, że zbrukały salę. Gdy wiele lat przed wojną asystowała przy rozprawach przeciw nieletnim przestępcom, mierzył ją wygląd sal sądowych, stały półmrok i wieczny kurz, który niczym pozostałość wszelkich zbrodni, krzywd i nieszczęść, w trybunale znajdujących swe zakończenie, ściele się po ławkach i kratkach. Przysięgała sobie, że jeżeli spełnią się jej marzenia i zostanie sędzią dla nieletnich – jej pierwszą reformą będzie nadanie miejscom, gdzie sądzone są dzieci, jasnego, czystego wyglądu, ukwiecenie ich, wyrzucenie rytualnej katedry dzielącej sędziego od podsądnego, tak by już sam pokój budził w młodych ufność, a nie

strach. Wtedy jednak Wilczyńska nie została sędzią. Nazwisko jej wymieniono w głośnym antykomunistycznym procesie politycznym. Musiała wziąć się do innej pracy.

W pierwszych latach po wojnie ogrom zadań związanych z odbudową zniszczonego kraju nie sprzyjał trosce o nieletnich przestępców będących masowym produktem okupacji.

Dopiero przed niewielu miesiącami uznano kwalifikacje Wilczyńskiej i oto po raz pierwszy miała ferować wyrok. Salę urządziła – jak marzyła niegdyś. Nawet zimowe kwiaty stoją w doniczkach. Lecz do sali naniesiono od razu, w pierwszej chwili, wiele błota. Drobiazgi denerwują; przerzuca akta, mimo woli odwlekając chwilę wstępnych, choć przecież tylko formalnych pytań.

Jednak oczekiwania nie można przeciągać nad miarę. Milczenie drażni wszystkich, ją samą również.

– Imię?... Nazwisko?... Urodzony?... Rodzice?... – Popłynęły pytania.

– Marek Koziół, proszę pani. W Warszawie, 10 stycznia 1932 roku. Ojciec tokarz, ale nie żyje. Chwycono go w łapance i rozstrzelano wtedy na Senatorskiej. Matka pracuje jako robotnica w fabryce. Mieszkamy na Barskiej.

Wysoki, zbyt wybujały i szczupły jak na swe lata, ubrany w czarną jesionkę i stary mundur wojskowy, Marek Koziół skończył podawać personalia.

Następny był nieco niższy od kolegi i silniejszej budowy, lecz o korpusie skrzywionym, jedno ramię miał podniesione kulą tkwiącą pod pachą; prawa nogawka kończyła się pustym mankietem, podwiniętym na wysokości kolana.

– Kiedy straciłeś nogę?

– Za okupacji.

– W Powstaniu?

– Nie, za okupacji. Tramwaj. Jechałem jak inni na buforze, spadłem, i po nodze. Rzeczywiście.

– Imię?... Nazwisko?...

– Jacek Siwicki. 18 maja 1932 roku. Ojciec był szewcem...

– W protokole zeznawałeś, że był dozorcą?

– Tam jest dobrze napisane. Ale dozorca, proszę pani sędzi... sędziny... proszę pani, to nie fach. Rzeczywiście. Schody zamiatać! Faktycznie był dozorcą, ale przede wszystkim buty ludziom robił. Nie żyją oboje. Ojciec zginął w śródmieściu, a mamę na placu zastrzeliła zaraz pierwsza seria z „Akademika”. Rzeczywiście. Razem z ciotką mieszkamy na Barskiej. Ciotka jest ekspedientką w państwowym sklepie.

– Zbigniew Moczarski – lękliwie zaczął recytować wąty, mały chłopak o wielkich, niebieskich oczach zajmujących niemal pół twarzy. Długa kapota i buty o zadartych nosach, za duże na ich właściciela. – Urodziłem się w Poznaniu 11 grudnia 1932 roku. Tatuś był architektem, Niemcy wywieźli go do obozu. Już nigdy nie wrócił. Mamusię, Staszka – brata – i mnie wyrzucili Niemcy z Poznania. Przyjechaliśmy do Warszawy. Matka handlowała wełną za Żelazną Bramą. Pierwszego sierpnia nie wróciła do domu. Stach poszedł do wojska. Zostałem sam. Z sąsiadami byłem w Pruszkowie, lecz uciekłem z transportu, gdy ich wieźli dalej. Wałęsałem się. W zimie wróciłem na Barską, gdzie mieszkaliśmy z mamą. Teraz jestem u pani Madejowej, dozorczyńi, pomagam jej w pracy...

Któraś z siedzących kobiet nazbyt donośnie przelknęła lzy.

– Kazimierz Spokorny. Urodzony 4 marca 1932 roku. Warszawa. Ojciec murarz. Matka, jak wróciła w czterdziestym piątym z Ravensbrück, to zaraz umarła. Nasz adres: Barska...

Spokorny ma szeroką, wesołą twarz o wystających kościach policzkowych.

Ostatni – tłuśty, okrągły chłopak, ubrany w skórzaną ciepłą kurtkę, brązowe „pumpy”, żółte półbuty na gumowej podeszwie.

– Lucjan Kozłowski. W Grodzisku pod Warszawą. 28 grudzień 1931. Oboje żyją. Ojciec ma sklep z nabiałem. Mieszkamy...

– Poza tym matka ma budkę na Bazarze Mokotowskim.

– No tak, ma. Trzeba żyć, proszę pani. Mieszkamy na Barskiej. Rozpoczął się atak oskarżenia. Chłopcy zjeżyli się.

– Czy wiecie, chłopcy, o co jesteście oskarżeni?

Milczenie. Tylko oczy biegają.

– Wszyscy oskarżeni jesteście o kradzież i sprzedaż papy z budowy na Filtrowej. Marek Kozioł i Kazimierz Spokorny obwinieni są ponadto o uliczne napady rabunkowe, dokonane we wrześniu tego roku w okolicach Dworca Zachodniego. Przyznajecie się?

Pięć równoczesnych odpowiedzi:

– Nie przyznaję się!

– Lecz przecież w śledztwie podpisaliście przyznanie. Jak mam to rozumieć? Cisza. Po chwili dopiero Marek zachnął się za wszystkich:

– Zmuszali nas!

– Rzeczywiście – dorzucił Jacek.

– No tak... zmuszali... no... grozili... – Marek ugrzązł w labiryncie niejasnego, dwuznacznego tłumaczenia.

– Czym grozili?

– Grozili, że nie wypuszczą nas z aresztu do domu – Kazek wyręczył Marka w odpowiedzi.

– I tego żeście się tak bali? Kilkunastu godzin aresztu? A kraść i napadać nie baliście się?

– Na swą uwagę nie oczekiwała żadnej odpowiedzi. Znała już na tyle tych młodych chłopców, zuchwałych i bezczelnych do chwili śledztwa i sądu, potem pełnych lęku, zaprzeczających wszystkiemu od początku w każdej nowej fazie sprawy. Kłamali odruchowo, na wszelki wypadek, ustępowali dopiero wobec dowodów. Przeszła więc do konkretnych pytań.

– Znasz Radziszewskiego Zygmunta?

– Nie znam go wcale, ale w podpisanym protokole powiedziałem, że go znam. To nieprawda – odparł Kozioł.

– Radziszewski Zygmunt, lat szesnaście, zeznał – patrzyła w rozłożony na stole dokument – że w pierwszych dniach września, podczas kąpieli w gliniance na Dworkowej, namawiałeś go, by razem z tobą poszedł „przetrzasać kieszenie frajerom, którym o zmroku wystarczy pokazać kawałek patyka, a już myślą, że to spluwa, i sami oddają forszę”. Tak powiedziałaś?

– To były żarty.

– Ładne żarty!

– Ja ich zresztą nie namawiałem, by szli rabować. Tam było dużo chłopaków, nie znałem wszystkich, może był jakiś Radziszewski. Ja im tylko opowiadałem, że po tej wojnie ludzie stali się tak nerwowi, że gdy strzelisz z korkowca na ulicy, zaraz chcą wołać milicjanta, a o zmroku wystarczy kawałek patyka odpowiednim ruchem pokazać – a zaraz myślą, że to rewolwer. Ani Kazek, ani ja nikomu pieniędzy na Szczęśliwickiej nie odbieraliśmy. My nie tacy!

– A jak było z papą?

– Nie kradliśmy jej. – Chłopak stosował taktykę opóźniania.

– Po co kłamiesz? Widziano cię, jak wynosiłeś rolki. Marek milczał.

– Wolno ci nie odpowiadać na moje pytania, ale kłamiąc zaszkodzisz sobie. – Wilczyńska odyskiwała pewność siebie. Chłopiec był jak inni; póki mógł, wykręcał się, tak na wszelki wypadek, naiwnie i nieporadnie. Przyłapany na bladze – milczał. Za chwilę przyzna się. O ile oskarżenie o napady było wątpliwe, to kradzież papy miała sprawców już ujawnionych. Wezwała pierwszego świadka. Osiemnastoletni, barczysty wyrostek.

– Świadek jest pomocnikiem murarskim na budowie przy Filtrowej? Proszę opowiedzieć nam wszystko, co wiecie o sprawie Kozła i jego kolegów.

– Niewiele. Tyle, że Lutka Kozłowskiego spotkałem w lecie na meczu. Lutek zaproponował mi interes. Chciał od nas z magazynu wydostać pewną ilość papy. Dochodem obiecał się podzielić. Ale ja do takiej grandy nie chciałem ręki przykładać. Kozłowskiego już potem nie

widziałem. Dopiero jak wtedy w nocy zniknęło z magazynu dziesięć rolek papy, powiedziałem o nim majstrowi. Lutek też chciał ich dziesięć. To wszystko.

Następnie zeznawała właścicielka budki z papierosami.

– W sobotę późno zamknęłam budkę. Potem byłam u znajomych i dopiero o jedenastej wieczorem wracałam Filtrową do domu. Wtedy obok parkanu budowy zobaczyłam Marka Kozła, kulawego Jacka i Kazka od Spokornego, jak ładowali na ręczny wózek papę złożoną pod płótem. Potem ich zaarrestowali.

Dalsi świadkowie podali szczegóły z absolutną pewnością ustalające winę chłopców. Lokator z Barskiej zeznał, jak w dwa dni po kradzieży mały Moczarski i kulawy Jacek wynosili z podwórzowej szopy rolkę papy. Milicja zaś doprowadziła z więzienia handlarza, który przyznał się, że od Lutka – „znałem go przez ojca, z którym miałem swego czasu wspólne interesy” – kupił dziesięć rolek papy. Lutek z Kazkiem przywieźli mu je do magazynu i za to otrzymali czterdzieści tysięcy złotych...

W tym momencie Marek przerwał mówiącemu oświadczając krótko:

– Proszę pani! Szkoda dłużej gadać. Myśmy tę papę ukradli. Przyznajemy się.

– Dopiero teraz? Przecież ja wam aresztem nie grożę?

– Do tego przyznajemy się bez gróźb.

– A na co wam były pieniądze? Czterdzieści tysięcy to ogromna suma.

– Ano, zabawiliśmy się. Kilka razy do kina, do cyrku, popiliśmy, kolacje...

Wilczyńska wierzyła takiej nonszalacji. Chłopcy z łatwością szastali pieniędzmi. Gest mieli szeroki. Jednemu buchnęli, drugiemu zafundowali. Kradli po to, by imponować sobie i innym. Nosili dziurawe kurtki, na zelówki dawać musiał ojciec czy ciotka, ale na wódkę, sznycle, kino, cyrk – pieniądze były.

– I tylko na to poszło czterdzieści tysięcy?

– O wa! Nie tak trudno – parsknął Lutek. – Dziś wszędzie drogo. Zabawa, proszę pani, kosztowna rzecz, jak mówią... – zamilkł w pół zdania; lepiej nie stroić żartów.

– Świadcowie zmusili was do przyznania się, że ukradliście papę. A czy aby dalsi nie udowodnią napadów? – Nie napadaliśmy. Niczego nam świadkowie nie udowodnią.

– Zobaczymy.

Przed sądem stanął wywiadowca z komisariatu.

– Co świadek może powiedzieć w sprawie napadów bandyckich?

– W pierwszych dniach września otrzymaliśmy meldunek, że po zmroku na ulicy Szczęśliwickiej przechodnie kilkakrotnie zaczepiani byli przez dwóch młodych ludzi. Napastnicy terroryzowali rewolwerem, zabierali pieniądze, zegarki, pióra. Musiały to być chłopaki z Ochoty. Paczkę z Barskiej dawno mieliśmy na oku. Ciągłe wyprawiali jakieś psikusy. Raz petardy, kiedy indziej coś innego. Wtedy też dostaliśmy zeznania Radziszewskiego, że Kozioł proponował mu wspólną wyprawę rabunkową. Zaraz potem były meldunki o napadach. Gdy po kilku tygodniach wykryliśmy sprawców kradzieży na budowie, jasne stało się dla nas, że wszystko to zrobili ci z Barskiej.

– Nieprawda! – Zeznania milicjanta przerwało warknięcie Marka. – Nie napadaliśmy!

– Przyznaliście się jednak.

– Ten areszt... grozili...

– Toście łatwo ulegli. – Powtórzyła poprzednią uwagę, znowu przez chłopców skwitowaną osłupiałym milczeniem. Tylko Kazek wyrwał się buńczucznie:

– Żadnych dowodów przeciw nam nie ma!

– Zobaczymy! – Sędzia Wilczyńska wezwała następnego świadka: Zygmunta Radziszewskiego.

– Świadek Radziszewski nie stawiał się. Nie doręczono wezwania, gdyż pod podanym adresem nikt nie mieszka. Ruiny.

Pięcioro poszkodowanych na Szczęśliwickiej złożyło niemal jednobrzmiące zeznania. Napadających było dwóch. Młodzi ludzie, jednak liczący ponad dwadzieścia lat. Jeden miał buj-

ną czuprynę, drugi, rysujące się wyraźnie nawet w mroku wąsy. Z postawy żaden z pięciu oskarżonych nie był podobny do napadających. Tyle tylko, że – w zagadkowej zgodzie ze słowami Marka wypowiedzianymi nad glinianką – dwoje ograbionych twierdziło, iż napastnicy, oddalając się po napadzie od swych ofiar, odrzucili w pole domniemane rewolwery. Były to kawałki drewna. Trzej inni upierali się jednak przy tym, że sterroryzowano ich prawdziwymi pistoletami. Słowom tym jednak, tak w jednym, jak w drugim wypadku, zbytnej wiary nie należało dawać, bo, wiadomo, człowiek przerażony źle widzi.

Przypuszczenia Wilczyńskiej wysnute ze wstępnej lektury dokumentów śledczych potwierdzają się: podejrzenia milicji dotyczą raczej innych sprawek tej bandy – ale nie są oparte na sprawdzonych faktach, nawet zeznania Radziszewskiego zinterpretowano niejako na wyrost. Wina jest już zupełnie wyraźna, chłopcy ukradli papę, lecz nie napadali na przechodniów.

Wilczyńska żywi przeświadczenie, że odkryła prawdę, niezbyt głęboko skrytą, prostą, niezawilą. Znacznie bardziej skomplikowane było zagadnienie kary.

W sądzie dla nieletnich chodzi nie tylko o ustalenie winy. Celowo wyodrębniono sprawy nieletnich z normalnej procedury sądowej. Tu trzeba trafnie rozwikłać psychiczną zagadkę oskarżonego dziecka, które nie jest przecież zdegenerowanym przestępcą i mimo popełnionego błędu może jeszcze wyrosnąć na pełnowartościowego człowieka. Nie suchy kodeks karny ma być przewodnikiem sędziego-pedagoga; ten sam wyrok może dla jednych stać się deską ratunku, dla innych – kamieniem ciągnącym na dno. Do sądu właśnie należy ocena, co będzie deską ratunku, a co kamieniem. Odpowiedzi ani rady nie znajdzie w paragrafach jedynie. Może już sama rozprawa wywoła w chłopcach dodatni wstrząs? Zakres będących do dyspozycji kar jest i tak bardzo wąski: zakład poprawczy z zawieszeniem lub zastosowany od razu. Ale czy jest on w istocie poprawczy? Czy samo normalne życie, tylko umiejętnie zorganizowane, nie będzie skuteczniejszym środkiem wychowawczym? Zamknięcie, izolacja, kraty – to środki ostateczne.

– Proszę wstać! – Sędzia wkłada biret na piękne włosy i długo czyta zawile zdania pierwszego w swym życiu wyroku, skomplikowane, według wymagań prawniczej procedury.

– Zrozumieliście, chłopcy?

– Zrozumieliśmy.

– Więc powtórz, Moczarski, jaki otrzymałeś wyrok?

– Zakład poprawczy z zawieszeniem na dwa lata.

– A wiesz, co to znaczy?

– Zakład poprawczy – wiem. To znaczy, że dwa lata zakładu.

– Nie zrozumieliście. Słuchajcie uważnie. Otrzymałicie jako karę zakład poprawczy. Wiecie, co to jest. Zasadniczo winniście tam przebywać aż do pełnoletności. Ale od razu nie zostaniecie zamknięci. Będziecie nadal na wolności. Tyle tylko, że pod stałą opieką pani kuratorki, która skomunikuje się z wami w najbliższym czasie. Musicie jej słuchać, robić, co każe, stale być z nią w kontakcie, odwiedzać ją co kilka dni, radzić się w kłopotach. Za pośrednictwem kuratorki sąd będzie was przez dwa lata obserwował. Jeżeli przez ten czas żadnego nowego przestępstwa nie popełnicie – stare zostanie wam darowane i nie pójdziecie do zakładu poprawczego. Jeżeli jednak źle się będziecie sprawować, jeżeli coś przeskrobiecie – natychmiast was umieścimy w zakładzie poprawczym. A tego chyba żaden z was nie chce. Od was samych zależy więc, czy pozostaniecie na wolności. No, teraz chłopcy mogą już iść do domu. Na chwilę pozostaną jeszcze tylko rodzice.

Wyszli potulni, szarmancko szurnąwszy przed sędzią nogami. Oczy przestały im latać. Na korytarzu Jacek trącił Marka:

– Klawo! Udało się jak cholera. Rzeczywiście.

– Jak złoto!

– Teraz tylko ostrożnie – mruknął Kazek.

– Phii... Strach ma wielkie oczy, jak mówią Francuzi. – Lutek nazbyt długo hamował swe ulubione powiedzonko.

Zygmunt Radziszewski

Długi gwizd, dwa krótkie, szybkie i znowu długi. Marek poderwał się z krzesła, gwałtownie przelżykając ostatni kęs obiadu.

– Znowu się zaczyna. Dwa miesiące był spokój. Zły duch... – Kozłowa żegnała się szerokim gestem i mruzczała do siebie ponure słowa.

– Co też tam mama gada.

Powtórny gwizd. Marek prędko wyskoczył na schody, nie opowiadając się matce. Gnała go ciekawość. Umówili się z Lutkiem, że spotykać się będą rzadko, a znaków porozumiewawczych, zwłaszcza donośnych, użyją jedynie w bardzo ważnych wypadkach. Przeskakiwał trzy stopnie naraz, poręcz trzęsała się od zamaszystych chwytów. Lot przez dwa piętra trwał kilka sekund. W bramie czekali Kazek i Lutek. Pierwszy – podniecony, pełen emocji, drugi – pogardliwie spokojny.

– No? – gwałtownym pytaniem wystrzelił rozpedzony Marek.

– Masz czas? – Ton Lutka był zachęcający.

– Znajdzie się.

– Chodźmy.

Pomaszerowali w głąb Barskiej, Lutek ciągle milczał, chłopcy gadali o byle czym.

Skręcili między ruiny. Minawszy osypisko cegieł, przez podwórko zasypane brudnym śniegiem wśliznęli się do zrujnowanej sutereny, schodkami zeszli nieco w dół. U wylotu piwnicznego korytarza stała ławka. Lutek usiadł pierwszy, obok Marek, podniecony milczeniem kolegi. Kozłowski wyjął papierosa, nie częstując zapalił, zaciągnął się i dopiero zaczął:

– Kazek już wie, ale powtórzę od początku. Pamiętasz Radziszewskiego, tego, co zeznał, żeś mu nad glinianką opowiadał...

– No tak...

– Pamiętać, pamiętasz, ale nie pomyślałeś, żeby się dowiedzieć, kto ów panicz. Może on coś więcej wie niż to, co gadano przy kąpieli. Woźny sądowy nie znalazł go. Pomyłka w adresie. Może w adresie, ale nie w milicji. Milicja się tak łatwo nie myli. Bez chłopca baba nie urodzi, jak mówią Francuzi. Ciebie to nie wzrusza. Wolisz pomagać w dalszym burzeniu...

– Zamknij mordę i gadaj do rzeczy.

– Jak ci się nie podoba...

– Wio dalej!

– Tyś się Radziszewskim nie interesował. Ja – tak. To nie duch. W komisariacie go nie wymyślili. Facet żyje, ma dwie ręce i nogi...

– No... prędzej... – Marek był niecierpliwie ciekawy.

– Kapałeś się z nim razem na Dworkowej. To pewne. Mieszka na Niegórskiej, niedaleko Czerniakowa. Tyle, że nie pod jedenastym, ale pod siedemnastym. Niewyraźnie napisana siedemnastka, stąd pomyłka w adresie. Nasz komisariat oczywiście nie mógł wiedzieć, z kim kapałeś się w gliniance. On sam zgłosił się do swojej milicji, ta dała znać naszej i pasztet gotowy, jak mówią Francuzi. Co teraz pan Kozioł powie?

W miarę jak Lutek mówił, w Marku rosła okrutna złość. Darowanie zemsty nie mieściło się w kategoriach honorowego kodeksu gromadki chłopców.

– Kości draniowi porachuję! – Nie potrafił od razu wymyślić nic lepszego.

– Wpierw należy zbadać tę sprawę. Nie wiadomo, jak ona naprawdę wygląda – mitygował rozsądnie Kazek.

- Wiadomo, wiadomo! Po prostu kapuś! – Kozłowski dolewał oliwy do ognia.
- Tak czy inaczej, baty nie zaszkodzą.

Marka poniósł młodzieńczy gniew na fałszywego oskarżyciela. A podniecenie Kozła zawsze udzielało się łatwo Kazkowi :

- Prędzej – lepiej. Walmy zaraz.
- Tylko ściągnij Jacka i Zbycha. Zawsze raźniej.

Rozklekotany tramwaj, zatłoczony do granic możliwości, jak zwykle po siódmej wieczorem, przetransportował piątkę z Ochoty na Mokotów. Kulawy wcisnął się na przednią platformę, reszta uczepiła się stopni i buforów. Tłok legalizował ten niebezpieczny „sport”. Przy Rakowieckiej, gdy „czternastka” skręcała w prawo, zeskoczyli na ulicę. Idąc minęli jasno oświetlone wejście do teatru. Mimo namowy Zbyszka nie chcieli zatrzymać się przy fotosach.

– To nie film! – zlekceważył Kazek.

– E, głupi! Pewnie, że nie film. Kino to dwa zera przy teatrze. – Zbych był neofitą sztuki scenicznej. – W życiu nie widziałeś takiej zabawy. Baba poszła gruchać z oficerem w krzaki, a koń zjadł jej kapelusz myśląc, że to siano. Z tego wynikła ogromna historia. Bo bez kapelusza nie mógł się odbyć ślub innej. Szukają więc kapelusza. Biegają po scenie prędzej chyba niż w kinie. A przecież żywi ludzie.

Pośpiech marszu utrudniał chłopcu streszczenie pierwszego oglądanego w życiu przedstawienia teatralnego.

Od kiedy Lutek, będąc z rodzicami przed dwoma laty w odremontowanym Teatrze Polskim, śmiertelnie wynudził się na sztuce, w której – według jego relacji – „dziady grały na harfach, wariatka kołowała się po scenie, a wszyscy mówili wierszem”, chłopcy za jego przykładem czuli dla teatru wzdarcie. Kino – to już coś! Chodzili na wszystkie filmy wyświetlane w czterech odbudowanych wtedy kinach. Oglądali je po dwa i trzy razy. Kunszt zdobywania biletów poza kolejką lub wręcz wkradania się „na waleta”, nie miał dla nich tajemnic. Umiejętność tę wykorzystał Zenon, nadając amatorskim poczynaniom bardziej trwałe, zarobkowe formy. Ale teatry jeszcze handlowo nie interesowały Zenona. Zetknięcie się Zbycha z teatrem było wynikiem starań pani Majewskiej, kuratorki, opiekującej się chłopcami na mocy wyroku sądowego.

Kazek miał w głowie jednak ważniejsze sprawy niż artystyczne wzruszenia kolegi. Rozmyślał, jak powstrzymać Marka od zbyt lekkomyślnego zaspokojenia żądzy zemsty. Mścić się należało, lecz groźba „poprawczaka” była nazbyt realna. Ingerencja pani Majewskiej w ich obecne życie stała o tym przypominała. Dlatego Kazek rozpoczął pracę w fabryce, choć nic go tam nie ciągnęło.

Po schodkach na Dworkowej zbiegli w dół. Wtedy Marek, całą drogę milczący, zatrzymał chłopców.

– Tu go poznałem! – Ręką pokazał tafelę lodu pokrywającego sadzawkę. Spojrzał do góry, w dół i nieoczekiwanie wyrwało mu się: – Chyba tak musiało wyglądać przed wojną! – Zatoczył ręką od wschodu ku zachodowi.

– Rzeczywiście – mruknął Jacek. – Tylko Zenon tego nie widzi.

Puławska z jednej strony, Belwederska z drugiej świeciły się bogato. W ciemności nie widać było ruin, tylko elektryczne kule latarni ulicznych i szachownice jasnych okien.

Lecz nie było czasu rozmyślać o odbudowie. Przebiegli oświetloną Belwederską i wpadli między ruiny zaczynającego się Czemiakowa. Na ciemnym i pustym placu przy Niegórskiej Lutek zakomenderował:

– Kazek, pójdziesz do mieszkania. On cię nie zna. Zresztą masz! – Wręczył koledze okulary w rogowej oprawie. Zawsze je nosił przy sobie, uważając, iż znakomicie maskują, gdy zachodzi potrzeba. – Powiesz, że komisariat na Ochocie wzywa go, by zaraz stawił się na świadka. Dla

konfrontacji. W naszej sprawie. Musisz go ściągnąć na dół. Pójdziecie w stronę Chełmskiej, niby że tam czeka na ciebie auto. My będziemy szli za wami i zaraz się nim zajmimy.

Do takich sprawek Kazek był pierwszy. Upewnił się, które drzwi, na którym piętrze – Lutek wszystko świetnie przygotował – i już go nie było. Chłopcy stanęli po drugiej stronie ciemnej ulicy, w pustej bramie spalonego domu.

– Skąd wiesz to wszystko? – po chwili milczenia Marek cicho zapytał Lutka.

– Od Zenona.

– To on napuścił cię na Radziszewskiego?

– Nie, moja prywatna inicjatywa. Tylko dostarczył mi tych wiadomości!

– Kiedyś go widział?

– Już kilka razy. Pytał, gdzie pracujemy. Czy dobrze się nam powodzi. Kazał podziękować za ukrycie tamtego. Rany boskie, gdyby się wydało, że na Szczęśliwickiej to on...

– Cicho, po co gadać, przeszło, minęło...

– Zenon ma już nowe plany. Kazał ci nawet powiedzieć, żebyś do niego przyszedł. Teraz już można. Nie śledzą. Każdy czymś się zajął. Majewska, dumna jak paw, myśli, że to wszystko ona!...

„A to zwyczajny strach” – w myśli odpowiedział Lutkowi Jacek.

Marek umilkł. Rozkaz Zenona stropił go. Nie miał ochoty przeciągać spraw dawnych. Trochę go znudziły, trochę się bał. Po chwili rzekł:

– Nie wiesz, czego on może teraz chcieć?

– Pewnie forsy! Jak zawsze.

– Istna beczka bez dna.

– Wszystko kosztuje. Ale przecież dzieli się z nami uczciwie. Mucha nie siądzie, jak mówią Francuzi.

– Wszystko byczo, tylko ten kryminał. Raz przeleciał, lecz drugi raz...

– Drugi raz będziesz ostrożniejszy, nie będziesz gadał. Kto cię tam złapie?! – Lutek był agresywny.

– Licho nie śpi.

– Idź! Wariat! Odstukaj!

Znowu zapadła cisza. Cicho było i po drugiej stronie ulicy.

– Kazek długo siedzi – zauważył niepewnie Zbych.

– To wszystko w ogóle nie ma najmniejszego sensu. Rzeczywiście – warknął nagle Jacek.

– Aha! Strach kawalera obleciał, jak mówią Francuzi. Teraz to już nie ma sensu, a trzy miesiące temu to był. Sędzia w kiece przestraszył „poprawczakiem” i już chorągiewka zwinęta. Sensu nie ma! O wa, a kto...

Nie dokończył zjadliwej perory. Jacek potężnym susem poderwał się na zdrowej nodze, drzewcem kuli wyrznął Lutka w pierś, aż ten odleciał na mur bramy, odbił się, odzyskał równowagę i już miał runąć na przeciwnika, gdy rozdzielił ich Marek.

– Spokój! – komenderował przypomniawszy sobie o obowiązkach przywódcy gromadki. – Lutek, hamuj się! Jacek, draniu jeden! Bić się przyszlście? Jeżeli tak – won do chałupy. Obaj. Obejdę się bez was.

Marek był zły. Awantura zagrażała jego planom, które i tak cechowała absolutna nieświadomość tego, jak winien za chwilę postąpić z Radziszewskim. Szybki spacer, ziąb, niedogodność oczekiwania sprzyjały refleksjom. Zakołatał jakiś jakby lęk przed konsekwencjami projektowanego napadu. Minęła pierwsza pasja gniewu spowodowana rewelacją Lutka, budzące się myśli mroziły chęć zemsty. Na domiar – tamci wspomnieli Majewską i Wilczyńską. Niepokojąco tracił pewność siebie. Pomyślał nawet, że lepiej byłoby, gdyby Kazek nie zastał tamtego w domu; rzecz się odwlecze i może znajdzie się inne wyjście z przygody. Myśl tę zagłuszył, ale pełen wątpliwości rad był w tej chwili z obecności kolegów. A ci kłóca się!

– Z tobą się jeszcze porachuję! – pogroził Lutek opuszczając wyciągnięte do bójki ręce. – Uważaj na drugiego kulasa, bym ci go nie oderwał. Zas...ny kaleka!

– Sam uważaj, by cię wcześniej nie powiesili! Rzeczywiście! Bandyta!

– Dureń!

– Mordę w kubeł! Jak zaprawię jednego z drugim, rodzona matka nie pozna...

Dwaj antagoniści zaszyli się w przeciwległe kąty bramy, umilkli przeżuając swą wściekłość.

Kazek z wysiłkiem wchodził po schodach. Musiała tu upaść bomba, gdyż zamiast stopni leżały płaskie deski z przybitymi listwami, jak na budowie dla koźlarzy. Na drugim piętrze zaświecił zapalną. Numer dwudziesty – jest. Drzwi od góry sztukowane dyktą. „Wypilowali szabrownicy” – pomyślał. Odsapnął. Założył maskujące okulary. Wyprostował się. Wciągnął nieco więcej powietrza. I zapukał.

Otworzyła wysoka brunetka w okularach, o małej okrągłej twarzy, w eleganckiej gładkiej czarnej sukni.

– Obywatel Radziszewski Zygmunt tu mieszka?

– Mieszka.

– Jest w domu?

– Zygmunt, do ciebie! – „Piękna”, jak ocenił Kazek, zawołała w głąb mieszkania. – Pan pozwoli do przedpokoju. Proszę chwilę poczekać. Zygmunt już leży w łóżku („O tak dziecinnej porze!” – pomyślał Kazek), narzuci tylko coś na siebie i przyjdzie.

„Piękna” weszła do pokoju, skąd po chwili wysłiznął się przez uchylone drzwi, niemal ich nie poruszając, szczupły, średniego wzrostu chłopiec w szlafroku. Twarz bystra, oczy duże, cienki nos wyniosłym garbem wyrastający z niewielkiej twarzy, przykrytej nieproporcjonalnie wysokim czołem. Można było dostrzec jakiś rys podobieństwa z „Piękna”.

– Radziszewski jestem – przedstawił się delikatnym głosem.

„Skąd, u licha, taki lalusz kapał się w gliniance” – pomyślał Kazek, a głośno zawiadomił chłopca, że przysłano go z komisariatu Milicji Obywatelskiej, dokąd Radziszewski natychmiast jest wzywany. W okularach Spokorny prezentował się poważniej i jego młody wygląd nie budził podejrzeń drugiego chłopca.

– O tej porze? To coś niezwykłego, że tak nagle mnie potrzebują.

– Dobrze nie wiem, kazali mi tylko was sprowadzić. Auto czeka. Chyba to konfrontacja. U nas dzień czy noc – obojętne.

– Muszę się ubrać – podsunął Kazkowi krzesło. – To jednak kilka minut potrwa. – Zniknął z powrotem w pokoju, skąd zaraz dobiegł jego głos. – Mery, muszę wyjść na chwilę. Pół godziny. Proszę mnie w jakiejś sprawie do Koła.

– Ciągłe tylko do ciebie mają jakieś interesy. – Głos Mery („To pewnie «Piękna!»”) – pomyślał Kazek) był smutny. – Powinni brać pod uwagę twoje zdrowie.

– Kochana – Kazek słyszał szelest przekładanego ubrania – nie przesadzaj. Trzeba żyć, a nie stale pamiętać o tym, co było, tym bardziej że lekarze nic już nie znaleźli.

– Ech! lekarze! Ja wiem lepiej, ja widzę cię co dzień...

– Dobrze, już wszystko w porządku. Powiem im, żeby mnie rzadziej wzywali. Za chwilę będę z powrotem. Jest dopiero wpół do ósmej. Widzisz, nie trzeba mnie było tak wcześniej zapędzać do łóżka!

Mery nie odpowiedziała. Odezwał się klekot maszyny do pisania.

– Prędeż skończysz to kopiowanie, gdy nie będę ci przeszkadzał.

– Ty mi nigdy nie przeszkadzasz.

Rozmowa urwała się. Chłopiec już w butach tupał po pokoju. Kazek pomyślał: „Radziszewski, widać, ukrywa przed tą panią – matką? siostrą? ciotką? – kontakty z milicją.”

Marek zaczął się niepokoić. Już chyba minął kwadrans. Spacerowali ze Zbychem wzdłuż bramy. Byle jakim słowem chciał rozładować ciężar czekania:

– Zimno!

- Aha.
- Jak ten mróz trzyma. Ciężko pracować.
- U nas w teatrze ciepło. Nawet za gorąco. Grzeją w kaloryferach.
- U was to nie żadna praca. Nosisz papierki tam i sam. Ja już wolę nawet na mrozie, ale prawdziwą robotę. U nas to fajno! Naciskasz guzik i wszystko fruwa do góry. Cegły, kamienie, kurz, jak w powstaniu. Ludzie się tylko gapią.
- Sam naciskasz ten guzik?
- E, nie ja. Inżynier. Ja dźwigam skrzynki z materiałem wybuchowym i obsługuję minierów wierzących dziury. – Marek nosił na trasie papierki, a nie skrzynki, lecz małym kłamstwem chciał zaimponować przyjacielowi.
- Gdy wczoraj do teatru przysła wiadomość o wysadzeniu „Pancera”, to aktorzy pokłócili się między sobą. Jeden twierdził, że to zbrodnia rozwałać resztki, które jeszcze zostały. A drugi, że nie można cackać się z przeszłością, bo inaczej nic nowego nie powstanie. Modystka powiedziała, że cały urok dawnej Warszawy będzie zmarnowany, i to pewnie celowo, bo teraz niszczą wszystko, co stare i dawne.
- Bzdury gada.
- Stara Madejowa też mówiła w domu, że to obraza boska!
- Głupie trele! Wytłumaczył mi nasz inżynier, który to planował. Widzisz, musi być prosty przejazd z Woli na Pragę. Wtedy oszczędza się na benzynie. Rocznie to ogromne sumy. Droga musi być szeroka i prosta, a nie mogą zburzyć do reszty Starego Miasta, bo to pamiątka. Odbudują je. Wobec tego kopią tunel pod Starówką. Tylko że tunel musi zacząć się pod placem, a „Pancer” prowadzi na górę. Wobec tego burzymy wiadukt.
- To sprytne, ale ile to forsy!
- Cie, pieniądze się drukuje. Zenon zawsze mówił, że to papier bez wartości.
- Bez wartości? To dlaczego mu tyle potrzeba? Mądry!
- Komu nie potrzeba? Swoją drogą ludzi strasznie denerwuje ten wiadukt. Matka aż się popłakała, przypomniała sobie, jak przed ślubem w każdą niedzielę chodzili tam z ojcem na spacer.
- Ja tam wiaduktu nie lubiłem. Ani tego, ani tego przy „Poniatowskim”. Jak łapanka – nie było gdzie uciekać. Chyba przez poręcz w dół, a to niezbyt dobra droga.
- Ja właśnie tak raz jadę „dwudziestką piątką” koło Solca... Pst, idą...
- Na schodach obserwowanej kamienicy rozległy się kroki. Czwórka wartujących zniechęciła w bojowym pogotowiu. Przyłgnęli do oblodzonego muru. Dwaj ludzie wyszli z bramy. Zatrzymali się na moment. Zaczajeni usłyszeli ściszony głos Kazka i obie figury ruszyły w umówionym kierunku.
- Ubieranie trwało dość długo. „Mają już pewnie niezłego pietra – uśmiechnął się Spokorny. – Byle mi tylko nie uciekli.” Jeszcze kilka minut ciągnących się nieprzyjemnie i Radziszewski ukazał się zupełnie gotowy do wyjścia, w palcie, w granatowej narciarce.
- Idziemy.
- Schodząc powoli po niewygodnych schodach Radziszewski opowiadał:
- Siostra nic nie wie o tamtej idiotycznej historii z Kozłem. Niechętna jest moim spotkaniom z kolegami. Stale boi się wypadku. A tamto właśnie zaczęło się tak, że z kolegami poszedłem na gliniankę. Inni się kąpali, ja patrzyłem. No i wyście się o tym jakoś dowiedzieli i już trzeci raz wzywacie mnie, bym składał zeznania, a przecież to zupełna błaźnina. On pewnie na serio tego wszystkiego nie mówił, to był żart, który wy bierzecie poważnie. Ciągłe tłumaczenie przy protokołowaniu. – Kazek nadstawił ucha: ciekawe! Czyżby ten miły chłopak nie był nic winien? Lecz Radziszewski znów mówi o siostrze. – Dobrze, że milicjant zawsze zastawał mnie w domu. Gdyby wygadał się. Mery byłoby bardzo przykro. A po co jej robić przykrości... Wyszli na ulicę.
- Chodźmy na prawo, za rogiem czeka moje auto, raz dwa będziemy na miejscu. – Szli ciemną ulicą.

– ...po co jej robić przykrości. Sami zostaliśmy po wojnie. Całą rodzinę nam wymordowali. Mery szaleje na punkcie mego zdrowia.

Kazek nie odpowiadał. Czujnym uchem złowił kroki idących za nimi. Zaraz za bramą dostrzegł postacie kolegów. Czekał na dalsze wydarzenia z niepokojem i z nagle zrodzoną niechęcią. Zamajaczyła mu w myśli wiotka sylwetka pięknej siostry Radziszewskiego.

Wzdłuż pustej zupełnie ulicy sterczały kikuty gruzów, bajecznie wyretuszowane poświęcą księżycą. Gdzieś tam, jakby zawieszane w powietrzu, tkwiły kwadraty światła, znacząc nieliczne, wśród gruzów ocalałe, przyczepione do zgliszczy mieszkania ludzkie. Ulica nie była oświetlona. Przechodniów niewiele. W tej części miasta, ślady wojny trwały jeszcze dotąd – bardzo długo. Radziszewski słyszał za sobą kroki zapóźnionych mieszkańców. Gdy ci zrównali się z nimi – Radziszewski ujęty został pod oba ramiona, na usta spadł mu szalik, ściągnięty z tyłu mocną dłonią, instynktownie obejrzał się za towarzyszem. Właśnie „milocjan” trzymał go pod rękę! Chłopcu przypomniały się różne opowieści, o bandytach mordujących demokratycznych działaczy. Ale jego? Tamci ciągnęli go prędko i zdecydowanie. Gdy sztywnymi nogami zaczął się opierać, popędzały go kuksańce. „Może to sprawka Kozła? – jak powiedział ten «milocjan». Może Mery miała rację – myślał gorączkowo – bojąc się wypadku...”

– Naprzód, naprzód! – poganiał go cichy głos. Za sobą słyszał kroki kilku ludzi. Skręcili w prawo i ogarnęło ich stęchłe powietrze ruin. Teraz skierowali się przez bardzo wydłużone, pełne gruzów podwórze. Usłyszał rozkaz pozostania na górze wydany dwóm napastnikom. Popchnięto go w dół na schody prowadzące do piwnicy. Mimo mrozu z czeluści powiało smrodem. Zatrzymali się w obszernej kamiennej izbie. Trzej napastnicy – i jedna ofiara.

Zdjęto mu szalik z ust – odetchnął swobodniej. Było zupełnie ciemno. Dwóch trzymało chłopca pod ramiona, trzeci stał przed nim. Usłyszał jego głos:

– Tylko nie uciekać. Nas jest wielu, ty sam jeden!

– Czego chcecie, pieniędzy nie mam...

– Nie chodzi o forszę – odezwał się trzymający go za prawe ramię wyższy od pozostałych. Mówiąc to puścił rękę Radziszewskiego. Krępowano go jeszcze tylko z drugiej strony. Wysoki tłumaczył dalej: – Sprowadziliśmy cię tutaj...

– Gwałtem...

– Tak, gwałtem, ale po dobremu byś nie przyszedł, a musieliśmy z tobą pogadać...

– Pogadać... – Postać stojąc przed Radziszewskim parsknęła gwałtownym śmiechem. – Pogadać! – śmiał się Lutek. I raptem rzucił się na Radziszewskiego z pięściami. Wtedy Kazek zwolnił drugie ramię chłopca, który przyjął napastnika skaczącego mu na piersi. Uderzając głucho o kamienie potoczyli się obaj na ziemię. Lutek chwycił przeciwnika za włosy, ten wpił się paznokciami w twarz młodego bandyty. Lutek zaskowyczał z bólu i puścił włosy, wyrzucając z siebie przekleństwa pełne strasznej nienawiści. Radziszewskiemu serce zamarło z lęku. A więc to nie bandyta żądny złota godził w niego, lecz pogrobowiec rodzimego hitlerizmu. Wiedział: z takim porozumienia nie ma. Natężył siły i Lutek stoczył się ze swej ofiary. Radziszewski zerwał się na równe nogi. Dwaj kompani nie spieszyli z pomocą Kozłowskiemu. Marek i Kazek czuli – każdy oddzielnie – że sprawa jest niewyraźna. W co się właściwie w miesza? Złękli się. Prędzej działali, niż myśleli; za nich myślał chyba tylko jeden Lutek, a na pewno – Zenon. Marek chciał zażądać od Radziszewskiego wyjaśnień, nastraszyć go, może dać mu „koca” – i zwolnić. Teraz już nawet nie żywił do Radziszewskiego specjalnej pretensji. Ostatecznie z zarzutu napadów został uniewinniony. Nie miał więc za co się mścić. Kazek szeptem streścił mu rozmowę z Radziszewskim: tamten był niewinny, to milicja pierwsza zażądała od niego wyjaśnień, nie miał powodu ich odmawiać, skoro Kozła nie znał, zresztą i tak go przy następnych zeznaniach bronił... Kazek uważał, że Radziszewskiego należy co prędzej zwolnić. Jeden tylko Lutek doskakiwał do Radziszewskiego zaczepnie i nienawistnie. Fukał na stojących bezradnie towarzyszy :

– No, ruszcie się. Co stoicie jak...

Marek leniwie podsunął się do Radziszewskiego, chwycił go prawą dłonią za kłapy palta, wstrząsnął nim mocno; taki gest oznacza siłę i pewność. Tej ostatniej Markowi brakowało zupełnie.

– Gadaj teraz, jak to na milicji naopowiadałeś bzdur o Kozle, który chciał iść z tobą na rozbój! – „A więc jednak sprawa Kozła.” To uspokoiło Radziszewskiego, gotów był im opowiedzieć wszystko szczerze, ale nie uznawał za słuszne zbyt łatwo ustępować przemocy.

– Czego chcecie? Nie znam was, do diabła!...

– Spokojnie! Teraz to nie znasz? A na Dworkowej, tam koło glinianki, to znałeś! I drogę na milicję też znałeś! He? – Marek wiedział, jak mówić groźnie. Ale co dalej z nim począć?

– Milicja pierwsza wezwała mnie na zeznania... – Radziszewski spokojnie i przekonywająco wyjaśniał szczegóły zajścia. W miarę jak mówił, słabł uchwyt Marka. W końcu puścił go zupełnie. Złość gdzieś znikła. Kazek miał rację – ten Radziszewski jest niewinny. Smród piwniczny nagle dokuczył Markowi – poczuł go dopiero teraz. Rad by już wydostać się na świeże powietrze. Począł mówić prędko:

– Chcieliśmy właśnie usłyszeć to wyjaśnienie. Teraz już wszystko zrozumiałe. Tylko nie gadaj, gdyż już dosyć przez twoje gadanie nacierpieliśmy się...

Chłopcy słuchali słów Marka ze zdumieniem. Radziszewski – ze zdumieniem radości: tak prosty i szczęśliwy był koniec tej awantury. Lutek – ze zdumieniem i złością: cóż ten Marek wyrabia? I gdy Zygmunt ruszył do wyjścia, Kozłowski stanął mu na drodze:

– Wara! Nie wypuszczę!

I z całą furją skoczył znów na Radziszewskiego. Ten przyjął walkę – silniejszy o świadomość, że ma poparcie tamtych dwóch. Szczepili się rękami, znowu upadli na kamienie. Lutek pluł przekleństwami. Marek skoczył, by ich rozdzielić.

Lutka opanowała wariacka pasja. Świadomość, że wróg może ująć bezkarnie, zdwoiła mu siły. W ciemnościach Marek nie odróżniał obu walczących. Po tuszy – Kozłowski był tęższy – wyczuł korpus towarzysza i krępował mu ręce. Otrzymałszy pomoc Radziszewski strząsnął z siebie napastnika. Lecz Lutek nie dawał za wygraną. Szarpał się z oboma. Marek krzyknął do Kazka, który stał bezradnie w ciemności, nie wiedząc, komu pomóc, by leciał zaraz po Jacka i Zbycha, sam nie umiał zażegnać bójki.

Kazek wyskoczył na podwórze; za sobą słyszał odgłosy szamotania.

– ...dziewczyny cudnie tańczą. W pantoflach mają specjalne kule z waty, tak że mogą stać i poruszać się na czubkach palców. Bez takich pantofli w ogóle nie mogłyby tańczyć. Wirują tak, że spódniczki idą w górę.

– Ładne mają nogi?

– Piękne. Tam są same ładne dziewczyny. Za kulisami, w garderobie, gdzie się przebierają na scenę, to można niejedno zobaczyć. A żebyś ty wiedział, jak się aktorzy malują. Kobiety i mężczyźni. Z bliska wyglądają, jakby im kto plastry różowej farby ponalepiał na policzki. Gdy świecą reflektory – twarze są normalne. Bez tej farby byłyby tak blade jak twarze ludzi idących wieczorem przez „Poniatowskiego”, gdy świecą żółte lampy. Mówił mi jeden aktor, że gdy grają w filmach...

– No co tam? – przerwał Jacek ujrawszy Kazka wbiegającego pędem z podwórza w bramę.

– Za mną do piwnicy! Lutek oszalał! To wariat... – tłumaczył im, gdy biegli przez podwórze. Jacek na swej kuli nie zostawał w tyle. – Ten Radziszewski nie jest nic winien. Marek woła, by go ratować...

Informacje Kazka były chaotyczne, głos zasapany z wysiłku i wrażenia. Niewiele rozumieli.

Z ciemnego otworu wyłoniła się im naprzeciw czarna sylwetka – Marek. Nie mogąc rozdzielić walczących wybiegi sam po pomoc.

– Co się tak gramolicie! Dziady! – fuknął gwałtownie i skoczył z powrotem po schodkach. – Prędeż! Prędeż! – Z podziemia odezwał się przeraźliwy krzyk. – Prędeż! – Skakali, choć było ślisko, po trzy stopnie.

Na progu piwnicy stał Lutek – wściekły.

– Uciekł drań! Uciekł. To wasza wina. Zostawiliście mnie samego i ten zwiął...

Na schodkach nie spotkali jednak nikogo. Widocznie Radziszewski przyczał się tylko. Marek głośno zawołał go raz i drugi. Cisza. Lutek opowiadał: szamotali się na stojąco, w pewnej chwili Radziszewski pchnął go na ziemię. Przewracając się Lutek usłyszał krzyk – ten sam, który tamci słyszeli na schodkach – i jakiś łomot, gdy poderwał się znów, przeciwnika już nie było. Za moment nadbiegli koledzy.

Marek potarł zapałkę i płonąca podniósł wysoko nad głowę, by rozświetlić szerszy krąg. Jeszcze raz wezwał Radziszewskiego – bez skutku.

Kozioł powoli posuwał się naprzód. Skupili się wokół. Zapałka dawała mało światła. Lutek został z tyłu.

Zapaliwszy piątą zapałkę chłopcy odkryli otwór w ścianie, do której tyłem pewnie stał Radziszewski. Jakieś schodki prowadziły w dół. Zeszli nimi ostrożnie. Stopni było kilkanaście.

Na samym dole, w korytarzyku na pół zawalonym, leżało ciało poszukiwanego. Nieruchome. Spadając uderzył ciemieniem o kamienne stopnie.

Na ten widok zrobiło im się straszno. Oniemieli, świecąc zapałką nad ciałem. Oględziny potwierdziły pierwsze wrażenie. Zbych ściągnął czapkę z głowy i przeżegnał się. Wtedy zawrócili i biegiem wypadli z piwnicy. Marek bełkotał coś z oburzeniem i zgrozą. Zbych skomlał jak mały psiak. Ogarnęła ich złość na Kozłowskiego. Czuli się współwinowajcami śmierci Radziszewskiego, choć śmiertelny krok uczynił on sam. Słowo „zbrodniarz” legło się w myślach, odsuwali je od siebie, lecz żadne wykręty nie uspokajały sumień. Nie umieli znaleźć słów. Lęk paraliżował im mowę. Groźba domu poprawczego czy wręcz więzienia stała się przejmująco bliska. Kozłowski drżał cały, wstrząśnięty bardziej niż inni, gdyż nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

Pędzili ciemną ulicą, pośpiesznie i nerwowo. Jacek na swej kalekiej nodze nie mógł nadażyć, został w tyle. Potem Kazek pośliznął się i upadł w błotnistą maź. Nie zatrzymali się, by mu pomóc. Szybciej. Byle dalej od straszego miejsca. Rozdzielili się i rozpierzchli w pogmatwane uliczki tej dzielnicy. Zapadli w noc, kołacząc się wśród niej ze swym upiornym strachem i swą winą. Każdy oddzielnie wracał na Ochotę. Tylko Jacek jeszcze długo stał przed oświetlonymi fotosami teatru na Puławskiej. Aż zapędził go do domu śnieg, który dużymi płatami zaczął pokrywać miasto, jego brudne ruiny, odbudowane gmachy, ulice...

«Fura!»

– Ślip!

– Biję po banku! – Kazek tryumfującym ruchem zgarnął karty ku sobie. Obliczał wygraną.

Teraz rozdawał Marek. Wytluszczone, sfatygowane karty ślizgały się po pluszowym gryząco zielonym pokryciu tapczanu. Gdy ostatnie rozpadły się na cztery strony, dzwonek zadźwięczał u drzwi wejściowych. Odruchowo, choć bez oczywistej potrzeby, każdy chwycił karty w dłoń, gotów schować je do kieszeni. Lutek, przeklinając intruza, wyskoczył do przedpokoju. Usłyszeli, jak otworzył drzwi i powitał gościa głośno i szarmancko:

– Uszanowanie pani! Dobry wieczór!

– Czy ojciec jest w domu? – zapytał znajomy głos kobiecy. Spojrzeli po sobie zdziwieni. Czego ona tu chce? Szurgot w przedpokoju ucichł. Oboje przeszli do stołowego. Na sekundę ukazała się w drzwiach sypialni głowa Lutka.

– Cholera, baba przyszła, grajcie chwilę sami.

Kuratorka Majewska niełatwo zdecydowała się na ponowną rozmowę z rodzicami Lutka. Nie miała miłych wspomnień z pierwszej u nich wizyty dwa miesiące temu.

Z całej piątki powierzona jej opiece najwięcej trudności w wypełnianiu kuratorskich obowiązków miała z Kozłowskim. Czterej pozostali chłopcy bardziej potrzebowali pomocy. Choć sami tego nie odczuwali, Majewska łatwo zrozumiała, że brakuje im pracy i nauki; jej tedy rzeczą było – kierując się rozpoznanymi upodobaniami – wynaleźć dla nich zajęcie, może w ten sposób kładąc podwaliny pod przyszły ich zawód. Rodzice czy opiekunowie nie czynili żadnych wstrętów, rozumiejąc, że w ten sposób ubywa im troski o chłopców. Inaczej Kozłowscy. Ostрым tonem oświadczyli, iż nie życzą sobie, by syn jakkolwiek pracą przeszkadzał sobie w nauce! Majewskiej trudno było przeciwstawić się ich woli. Dawna nauczycielka, przed laty tragedią rodzinną wytracona z pedagogicznego zawodu, pełna rozgoryczenia, że nie znalazła dość sił, aby wrócić do ukochanego zajęcia – też sądziła, że systematyczna nauka szkolna może być dla młodego najlepszym zabezpieczeniem przed pokusami gorących lat. Dyrektor gimnazjum przyrzekł informować ją stale o sprawowaniu Kozłowskiego. Wczoraj otrzymała list, że jej podopieczny nadal źle się uczy, ucieka ze szkoły, symuluje choroby, jednym słowem – po staremu. A że przed dwoma miesiącami Kozłowscy byli oschli i nieuprzejmi, jakby kuratorka działała na ich szkodę – nie łudziła się, by obecna rozmowa mogła być przyjemniejsza.

Drzwi otworzył Lutek, z kawaleryjskim fasonem trzaskając obcasami. „Pewnie dlatego – zgryźliwie pomyślała Majewska – by lepiej zaprezentować swe nowe bryczesy i wysokie buty.” Denerwowała ją ta wojenna moda chłopców i dziewcząt, która przedłużała się w czasy pokojowe, tyle tylko, że teraz zarażała coraz głupszych. Nastroszona, weszła do stołowego jak do jaskini lwa.

Na powitanie podniósł się z kanapy pan domu. Kozłowski znakomicie harmonizował ze swym pokojem. Czego on na sobie nie miał: i ciepłą koszulę, i sweter, i wiatrówkę, i marynarkę, i złoty brelok od zegarka, i złoty sygnet, i grubą obrączkę. A dokoła zbieranina mebli, każdy z innej parafii – biurko, stół, kanapa, fotele, biblioteka z wybitymi szybami, wypełniona szmatami i garnkami, rozbebeszony tapczan, dwa zrolowane dywany w kącie, stare nie uży-

wane lampy, ogromna taca z najrozmaitszą porcelaną ustawioną byle jak – wszystko stłoczone tak nieporządnie i chaotycznie, że robiło wrażenie nie mieszkania, lecz jakiegoś magazynu czy rupieciarni, aż mroczno było w pokoju. Majewską dreszczem przejęła ta zbieranina bez ładu i sensu – byle mieć.

Tym razem gospodarz był uprzejmy i gadatliwy.

– Pani kurator rozgląda się po pokoju. Umeblowany w istocie z nadmiarem. He, he! Ale to nic. Grunt, że są te graty. Po powstaniu zostaliśmy z żoną jak pięć gołych palców. Teraz, gdy będzie nowe mieszkanie... człowiek nie traci nadziei... Pięć pokoi umebluję tymi dwoma, co mam tutaj.

– Pan wierzy w nowe mieszkanie? – zapytała na pół serio.

– Jak w życie pozagrobowe! I rozgrzeszenia księża dają za pieniądze – Kozłowski uważał się za wolnomyśliciela – to w Polsce Ludowej mieszkanie się też znajdzie.

– Każdy ma prawo porządnie mieszkać! – Z goryczą wspomniała własny współlokatorski kąk w trzypokojowym mieszkaniu zajmowanym przez kilka rodzin. Użeranie się o kuchnię, ranne galopy do łazienki, wieczorem hałasy, kolejki do ubikacji.

– Gazety piszą, że powodzi się nam coraz lepiej. – Kozłowski uderzył palcem w nagłówek „Życia”.

– Ech! Tak zawsze wszyscy piszą!

– O! – zdziwił się. – Rozumiem, mnie jest źle, podatki, komisje, urwanie głowy, no, ale ja jestem facet z prywatnej inicjatywy, mnie zwalczają, pani jednak...

– Panie Kozłowski, nie o polityce przyszedłam rozmawiać, ale o Lutku.

– Cóż nowego zmalował?

– Dyrekcja gimnazjum skarży się, że Lutek opuszcza lekcje, chodzi na wagary, dwójce zbiera.

„Tędy cię wiedli, stara prukwo” – pomyślał niechętnie chłopak wciskając się w obszerną kanapę.

– Któż z nas, proszę pani, nie był młody. He, he, he...

– Na bank – brawurował Marek. Szmer spadających kart.

– Ślip, psiakrew!

Suchy trzask kartoników.

– Fura! Tak przetrząść, cholera! – Kozioł zaklął.

– Cóż oni tak długo radzą. Rzeczywiście.

– Majewska skarży się pewnie na Lutka.

– Bo idiota zarywa z budą. Rób swoje, ale na zewnątrz... cukierek – skonstatował Marek.

– Rzeczywiście. Lutek w ogóle narwany kretyń. Z tym Radziszewskim też było potrzebne jak dziura w moście. Rzeczywiście...

– Ale jakoś na psa urok... – Kazek odstukał w spód krzesła.

– Ii, nie wiadomo! Na pewno milicja węszy na wszystkie strony. Przepadł chłopak, a to nie kamień w wodę, tylko człowiek. Rzeczywiście. – Kazek pomyślał, że jednak Lutek miał głowę na karku, dając mu swoje okulary. – I wiecie...

Jacek zamilkł w połowie zdania. Po co straszyć przyjaciół? Od kilku dni rozważał, czy uczynionym w redakcji odkryciem podzielić się z kolegami; niezdecydowany, unikał o tym rozmów. Dla wszystkich zresztą temat ten był niemiły. Dziś dopiero po raz pierwszy zaczęli mówić o ponurej sprawie. I zaraz w drugim zdaniu padło słowo: milicja. Usłyszawszy je skulili się jak pod razami pejcza. Nie byli ciekawi przerwanych rozważań Jacka. Zamilkli; lepiej być cicho, nawet między sobą.

Od straszego wieczoru sytuacja w gromadce chłopców uległa poważnej zmianie. W tej chwili już spokojniej myśleli o „tamtych”, lecz niedawno jeszcze wydani byli na wszystkie męki młodzieńczego sumienia, wyobraźni i lęku. Teraz już to trochę przyschło, sami zdumiewali się, że do świadomości zbrodni też można się przyzwyczaić, tak iż nawet najbliżsi nic nie poznają.

Zabójstwo Radziszewskiego stało się jakby barierą, której już nigdy nie przestąpiła dawna solidarność gromadki z ulicy Barskiej. Lęk, obrzydzenie, poczucie winy – wyzwoliły w nich jakieś siły odśrodkowe; poczęli się wzajemnie unikać, co od sąsiadów mieszkających na jednej małej uliczce wymagało drobnej, stałej strategii. Stosowali ją odruchowo. Najbardziej odosobniony był Lutek. Czując potępienie, stale był zdenerwowany, choć w przeciwieństwie do kolegów otrzymał już rozgrzeszenie, i to nie tylko cywilne, od Zenona („gdzie zginąć by mogło wielu ludzi, lepiej, że przepadł jeden”), ale i kościelne, przepisowe, też zresztą za sprawą „szefa”. Inni znajdowali się w trudniejszym położeniu: sami musieli staczać walkę z własnym sumieniem, sami dźwigać swój ciężar. Ich siły moralne były jednak zbyt słabe – a nie znaleźli innych poza sobą – by z Lutkiem zerwać całkowicie. Zbrodnia łączy groźbą wykrycia i kary. Gdy „szef wezwał na rozmowę Marka, przewodryra gromadki, ten milcząco wysłuchał potępienia Lutka za „przypadkową zbrodnię” i posłusznie przyjął od „szefa” rozkaz dalszej współpracy z Kozłowskim.

Znowu więc zaczęli się spotykać. Jednak w obecności Lutka czuli się skrepowani. Milczeli; a gdy milczenie to przerywali – dochodziło do kłótni.

Dzisiejsze „oko” zorganizował Marek. Tylko Kozłowski dysponował wolnym pokojem, więc grano u niego. Marek chciał wtajemniczyć przyjaciół w nowe plany „szefa” – rozmawiał z nim już dwukrotnie. Wydawało mu się, iż w atmosferze hazardu najłatwiej będzie pozyskać ich dla nowych prac; przy grze bardziej odczuwa się potrzebę pieniędzy.

Teraz chciał skorzystać z nieobecności kłótliwego Lutka.

Kazek rozdawał karty.

– Muszę jednak zwrócić panu uwagę, że Lutek ma wyrok sądowy i bardziej niż inni chłopcy winien uważać na siebie.

– Inni jeszcze gorzej chodzą do szkoły! – warknął z kanapy Lutek.

– Ale nie byli sądzeni i mniej się od nich wymaga! – Majewska zaperzyła się nie na żarty. Ten smarkacz dobrze jej już zalał sadła za skórę. Z jego kolegami jakoś sobie radzi. Przycho-dzą, opowiadają o swych pracach. Zbych godzinami słucha muzyki. Raz wprowadzie po wizycie Jacka przepadło jej tysiąc złotych, odłożonych pod serwetą na abonament klubu książkowego, machnęła jednak na to ręką; nie od razu Kraków zbudowano. Marek z takim zapałem opowiadał o budowie Trasy. Tylko Lutek stroni od kuratorki. Unika jej na ulicy, byle się nie ukłonić.

– Ten cały sąd! – zachnął się pogardliwie sklepikarz.

– Niech pan nie narzeka; dla syna pani sędzia aż zbyt była łaskawa.

– Ja o tamtej pani nie chcę nic złego powiedzieć. W politykę się nie bawię. Ale bądźmy szczerzy, proszę pani – o co tyle hałasu? Przecież to nie Lutkowi zarzucano napady rabunkowe, nie on grabił porządnych ludzi, no, a jak się okazało, jego koledzy też tego nie robili.

– Pan zapomniał o papie?

– No, wziął! Nie przeczę. Ile jednak to wszystko razem wyniosło, no ile, czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy?!

– Nie chodzi o sumę...

– O sumę też chodzi. Po co tyle wrzasku o taki grosz. Zwróciłbym, oddałbym, słowo daję. Nawet z procentem.

– Tu ważny jest fakt kradzieży, nie pieniądze.

– Fakt kradzieży? To tylko mego syna się czepiacie. A ilu innych kradnie...

– A ilu dlatego siedzi!

– ...dyrektorzy, inżynierowie, naczelnicy. – Kozłowski nie zważając na replikę Majewskiej ciągnął swój wywód dalej. – Każdy z nich kradnie. A zresztą, czy to jest kradzież?

– Jak to?

– Nie wiem, jak dla pani, ale dla mnie to nie jest kradzież. Tak, tak! Z chwilą gdy wszystko jest wszystkich, gdy wszystko wszystkim odebrali...

– Panu nic nie odebrali.

– Odebrali, łaskawa pani, odebrali już nie raz, nie dwa. Czyta pani przecież, że walczą o ten uspołeczniony handel. Odbiorą i resztę, jeżeli zdążą. Dziś mam sklepik, marny sklepik...

Majewskiej przypomniał się Judasz, który ustami Solskiego skomlał usprawiedliwiająco: „Jam w Kafarnaum sklepik miał, otwarty ledwo do wieczora...”

– ...co to za sklepik? Gdyby wojna skończyła się inaczej, miałbym magazyn. Ho, jeszcze jak mi odebrali! A dlatego że odebrali, to państwowe dobro jest naszym dobrem wspólnym, naszym własnym. Sami tego chcieli. Za okupacji polecono nie płacić za tramwaje...

– Panie!...

– Pani oburzona, że mówię „za okupacji”. Ja wiem, wiem,

teraz nie ma już okupacji, jesteśmy zasadniczo wolni, ale dla mnie – nie wiem, jak dla pani – prawdziwą ojczyzną jest ta, która ze mną nie walczy! Niemcy mnie prześladowali za to, że jestem Polakiem. Teraz rodacy za to, że jestem kupcem. A ja pamiętam czasy, gdy ludzi za nic nie prześladowano. Polak mógł handlować i dobrze było i jemu, i tym, co kupowali, i wszystkim. Wtedy Lutek nie potrzebowałby kraść!...

– Tylko wtedy tacy jak Lutek, synowie tego miliona bezrobotnych, co nie mogli kupować w pańskim sklepie, musieli kraść z zimna, z głodu. Lutkowi, o ile wiem, nie było ani chłodno, ani głodno... – Przeraziła się, że sformułowaniem tej społecznej prawdy zgwałciła własne zasady o apolitycznym posłannictwie pedagoga.

– Było, łaskawa pani, głodno i chłodno... – Kozłowski machnął dłonią: obojętne, co było. Chciał powiedzieć, że Lutkowi było już w życiu tak głodno i chłodno, że on, ojciec, kradł dla syna, i dopiero wojna dała mu wielką szansę; dotrzymał teraz przysięgi danej sobie wtedy, że już nigdy nie będzie nędzarzem.

Majewską zaskoczyło nieoczekiwane, nawet tak urwane, wyznanie Kozłowskiego. Myślała, że zawsze był kupcem. Speszyla się; co prędzej trzeba rejterować z obcego jej terenu „polityki”.

– Zresztą nie ja jestem od uczenia pana praw społecznego życia czy od sądenia pańskiego syna. Sąd to już uczynił, boję się, czy nie za łagodnie. I teraz osobiste zdanie rodziców nie ma żadnego znaczenia. Ja pragnę tylko zwrócić pańską uwagę na to, że chłopiec nie chodzi do szkoły, nie uczy się, jak należy. Może to spowodować wysłanie go do zakładu poprawczego, a dla pana... też może się skończyć nieprzyjemnościami. – Zaryzykowała mały szantaż.

– Dla mnie? Dlaczego?

– Sąd uznawszy, iż rodzina zbyt małą uwagę zwraca na chłopca, jest więc nieodpowiedzialna, może zarządzić postępowanie karne...

– Co? Za co? Za to, że szczeniak wagaruje? A jak możemy go upilnować, jeśli oboje z żoną cały dzień pracujemy.

– Jednak musicie państwo...

– Obejdzie się bez opiekunów! – fuknął z kanapy chłopiec.

– Milcz! – Stary Kozłowski niespodziewanie podskoczył do syna i na odlew wyrzwał chłopaka w twarz. – Buty odbiorę, bryczesy podrę, w komórce zamknę, zakatuję. Żołnierza udaje, szczenię przeklęte, a na głowę mi ściąga nieszczęście. Pracuję na niego, staram się jak komu dobremu, a on nic!

– Ojczel!

– Teraz to „ojcze”, a kto chodził z tymi opryszkami? Kto?! Ja swoje zarabiam, polityki unikam, radia nie słucham. Obojętne, kto, tam na górze. Sam Pan Bóg może siedzieć, byle-bym mógł żyć. Zobaczysz, że przez ciebie...

I znowu ciężka dłoń ojca grzmotnęła w twarz syna, potulnie przyjmującego potok wymyślań. Drugi policzek poruszył chłopaka. Wyprostował się nagle, burknął coś, a gdy stary Kozłowski nie ustawał w wymyślaniu, Lutek runął na ojca...

– Widziałem się drugi raz z Zenonem – zaczął Marek.

– No i co?

– Kazał wam przypomnieć, że jeszcze żyje i działa...

– Szkoda. Rzeczywiście.

– ...że – Marek zawahał się – że przysięgaliśmy...

– Przysięga ważna była tylko do wyroku. Rzeczywiście.

– Nieprawda. Obowiązuje stale! – Kazek, łącznik Zenona jeszcze z czasów powstania, traktowany był przez kolegów jako autorytet w sprawach zasad konspiracji.

– Ma pewne plany. Nie skacz, Jacek, forsa wszystkim potrzebna. Zresztą... zresztą – zwlekał z powtórzeniem najbardziej przekonującego „argumentu” Zenona – zresztą, cóż ty wiesz o Zenonie, a on wie o nas wszystko, o tobie też; nie trzeba będzie czekać dwóch lat zawieszenia...

To Jacek wiedział. Zenon mógł ich sypnąć nie narażając siebie. To była groźba realna. Jeszcze widać za wcześnie na bunty. Trzeba było wysłuchać planów Zenona.

Marek wyłożył je zwięźle. O wiele krócej, niż uczynił to przed dwoma dniami sam „szef, lubiący swe „punkty uderzeń” – jak je nazywał – szeroko motywować względami bardziej ideowymi, niż patrzącemu z boku na bandyckie rezultaty mogłoby się wydawać. Zenon chętnie używał słów takich, jak „sprawa”, „działacze”, „bojownicy”, niby że chłopcy byli tymi bojownikami, którym w pierwszym rzędzie należały się wszelkie dobra i przywileje. Nazywał to „zabezpieczeniem majątku”, „sprawiedliwą dystrybucją”, „dezorganizacją wrogiego handlu”. Marek cenił Zenona za to, że nigdy nie nabrał ich przy podziale kradzionych zdobyczy. Był to złodziejski spryt, ale chłopiec nie dbał o nazwę. Lubił, gdy mu Zenon wyjaśniał dokładniej sens każdej akcji. Dodawało mu to poczucia własnej wartości. Sam jednak nie umiał mówić tak składnie, dlatego też z rozsnutej przez „szefa” pajęczyny projektów musiał wyplątać nici najistotniejsze. Jakże jednak to wszystko bladło w tak suchej konkretyzacji! Robiło się trudniejsze do zrealizowania, ohydnie niedwuznaczne.

– Trudne. Rzeczywiście. – Jacek miał słuszne skrupuły. – Jeżeli ciotce powiem wprost, że zarobi na tym, to będę musiał powiedzieć, że dalej kombinuję, a tego ona się boi jak ognia i już bym w domu nie mógł zostać. Rzeczywiście. Nie ja się boję, tylko ona. A jeżeli będę czekał, aż coś kapnie przypadkowo, to nigdy nie wiadomo, co i kiedy; gra w ciuciubabkę. Rzeczywiście. Może Zbychowi w teatrze lepiej się uda. Pogadajcie z nim. Tam jednak z biletami jest inaczej niż w kinach. Droższe, jeden seans dziennie. Rzeczywiście. Ale może z tą Trasą. – Jacek odsuwał od siebie zadania, wołał, by je realizowali inni.

Marek jednak czuł, że z Trasą też nie taka prosta historia. Jak zorganizować, by właśnie w ich ręce dostało się to, co przecież przez każdego innego może być odkopane.

– A jak ty byś kombinował z Trasą? – zapytał Jacka.

– O wa! – wskoczył w rozmowę Kazek. – Skoro masz dokładny plan, to trzeba się dostać do...

Krzyk i łomot w sąsiednim pokoju. Rzucili karty na tapczan i wyskoczyli do stołowego.

Na niewielkiej przestrzeni podłogi, między stołem a kanapą, szamotali się ojciec z synem. Młody górował.

Trzej przyjaciele zatrzymali się w progu. Majewska, z wzniesionymi jak do błogosławieństwa rękami, ujrawszy chłopców zawołała błagalnie:

– Patrzcie!

Kazek oprzytomniał pierwszy. Podbiegł ku bijącym się. Chwycił Lutka za marynarkę, próbując oderwać go od ojca. Stary skorzystawszy z pomocy wysunął się spod syna i stanął na nogi. Wtem zabrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych.

Jacek, nie zastanawiając się, czy słusznie czyni, dwa kroki posunął się na swej kuli i otworzył drzwi.

Do przedpokoju wkroczyło trzech mężczyzn: dwóch cywilów w asyście mundurowego milicjanta. Ujrawszy przybyłych wszyscy skamienieli.

Przybysze odczuli niezwykłość powitania, innego w swym zaskoczeniu niż ugrzeczniony lęk, jaki ich zwykle spotykał. I zamiast zgodnie z przepisem poinformować przede wszystkim, kim są, jeden z cywilów zapytał:

– Co się tu stało?

– Nic wielkiego, rodzinne nieporozumienie, ot i wszystko! – Marek uznał za celowe od razu wyjaśnić sytuację. Kimkolwiek są przybyli, coś ich łączy z milicją, a tacy nie powinni zbyt wiele się domyślać, lepiej niech od razu wiedzą.

– Czego panowie sobie życzą? – Kupiec opanował się i przyglądziwszy dłonią włosy, postąpił ku intruzom.

– Jesteśmy z Komisji Specjalnej. Mamy nakaz rewizji. – Wyższy, brunet w pilśniowym kapeluszu, pokazał trzymaną w dłoni karteczkę.

– Komisja Specjalna! – powtórzył Kozłowski i ton jego głosu stał się arogancki. – U mnie nic nie macie do roboty. Wszystko jest w zgodzie z prawem.

– Tylko z jakim prawem? Najpierw przeprowadzimy rewizję. Proszę nam asystować.

I tak w mieszkaniu Kozłowskich delegaci Komisji Specjalnej rozpoczęli śledztwo. Milicjant wylegitymował obecnych.

– Majewska, kurator sądowy, z urzędu roztaczający opiekę nad synem pana Kozłowskiego. – Przedstawiła swój dowód służbowy. Choć z tytułu zawodu miała już wiele do czynienia z organami władz bezpieczeństwa i porządku publicznego, nigdy jednak nie asystowała przy funkcjach najbardziej drastycznych: przy rewizjach czy aresztowaniach. Wylegitymowana, uznana widać została przez rewidujących za reprezentanta tej samej władzy co i oni, a więc za sprzymierzeńca, gdyż nie obserwowali jej tak bacznie, jak resztę zebranych. Kozłowskiego i chłopców ani na moment nie spuszczano z oka. Mimo okazywanych jej dowodów zaufania Majewska była przerażona. Siedziała sztywno na krześle drząc z wewnętrznego oburzenia na widok takiej profanacji (kilkakrotnie powtórzyła sobie w myśli to określenie!) prywatnego mieszkania. Komisja Specjalna była dla ludzi jej pokroju czymś szczególnie odrażającym. Milicja tępiła przestępców kryminalnych, dbała o porządek publiczny. Natomiast Komisja służyła – jej zdaniem – do sekowania kupców, ludzi zasadniczo uczciwych; handel przecież nie jest wzbroniony. Chętnie powtarzała zawsze, że należy ostro tępić paskarzy; ale po co prześladować ludzi uczciwych? Z niepomiernym zdumieniem dowiedziała się kiedyś, że właściciela sklepu z zabawkami zatrzymano, jako czołowego rekina z czarnej giełdy. Majewska hodowała w sobie prostą szlachetność starej panny, „takiej pierwszej naiwnej z trzeciego aktu”, jak ją złośliwie charakteryzowali znajomi; toteż nie mogła wprost uwierzyć, że szlachetny ideał pozytywisty, kupca warszawskiego, owego Wokulskiego z powieści lub jakiegoś Hiszpańskiego czy Bruna z ojcowskich opowiadań – „którego słowo, córko, znaczyło więcej niż weksel” – można było poniżyć do niegodnego procederu paskarstwa. Na doświadczenia okupacyjne Majewska po prostu zamknęła oczy, uznawszy je za konieczność owych strasznych czasów. I gdy z powrotem przyszło jej żyć w wolnym kraju, uprawomocniła swój ideał, wzbogaciwszy go jeszcze patriotyzmem sfery kupieckiej, zadokumentowaną działalnością budowlaną, polegającą na remontowaniu prywatnych will. I oto Komisja Specjalna zajmowała się tępieniem takich właśnie ludzi. Stąd niechęć do instytucji nazbyt brutalnie ingerującej w krainę „złoto-narodowych” mitów. Niechętnie więc przyjęła narzuconą sobie rolę zaufanej. Może wolałaby być w tym wypadku też uznana za ofiarę! Burzyła się, gdy rozpruto

kanapę – nic nie znajdując. „Wandale” – pomyślała, gdy męskie dłonie niezgrabnie gmerały w bielizniarce pani domu, rozrzucając sterty wykrochmalonej bielizny stołowej, pościelowej i osobistej. „Ale ta nazbierała!” – skonstatowała, zdziwiona, że ktoś mógł pozwolić sobie na kupno takiej ilości materiałów. A koszule, majtki i kalesony nie były już przejawem takiego samego „patriotyzmu” jak cegły i cement. Podziwiała nadskakującą, jakby drwiącą, uprzejmość, z jaką traktował urzędników Kozłowski, który po każdym przeszukanym obiekcie powtarzał: – Jak panowie widzą u mnie nic nie ma, wszystko zgodnie z prawem. Nie warto się było fatygować! – Czuła, że ona nie potrafiłaby tak łagodnie reagować na nieusprawiedliwione podejrzenia, połączone w dodatku z rewizją.

Przy okazji obserwowała czwórkę swych podopiecznych stłoczonych w kącie. Przyglądali się rewizji w skupieniu. A nawet – poza kamiennie obojętnym Lutkiem – twarze pozostałych trzech wyrażały pewne zainteresowanie. To ją zdumiało. Nie wiedziała przecież, że gdy padła nazwa: „Komisja Specjalna”, przerażeni początkowo chłopcy uspokoili się momentalnie. Wiedzieli, że ta instytucja nimi się nie interesuje. Poza tym Majewska oświadczyła legitymującym, że są kolegami Lutka, jej podopiecznymi, na co rewident tylko się skrzywił i parsknął krótko: – Też złodzieje! – Wtedy Marek szepnął Jackowi z uznaniem w głosie: – Staremu paskarzowi dadzą szkołę! – Kazek był z lekka zaniepokojony kartami pozostawionymi w sypialni: wolał, by o tej rozrywce nie dowiedziała się Majewska.

Nie znalazłszy nic w stołowym rewidujący przeszli do drugiego pokoju. Majewska przez moment nie mogła się zdecydować, czy iść za nimi; chciała udawać zupełną obojętność. Usłyszawszy jednak głos Marka tłumaczącego: „To myśmy grali w te karty” – co prędzej weszła do sypialni. Ciekawość jej została urzędowo uprawomocniona: musiała przecież nacznie stwierdzić, że powierzeni jej opiece chłopcy uprawiają hazard.

Nie pożałowała ciekawości. W sypialni Kozłowski stracił zimną krew. Z tapczanu wyciągnięto osiem kuponów stuprocentowej wełny na ubrania i płaszcze oraz dziesięć kuponów jedwabiu. Nie one jednak stanowiły cel poszukiwań rewidujących. Odłożyli je z powrotem, zapisawszy tylko w notesie. Majewska znowu pomyślała: „Skąd on tego nabrał? To ogromny majątek! Po co Lutkowi było tych osiem tysięcy z podziału gotówki otrzymanej za papę?”

Kozłowski zaczął wymyślać. Na radę milicjanta: – Panie, spokojnie – odpowiedział stemkiem wyzwisk, na które przybyli nie reagowali, w uprzejmym milczeniu dalej przeglądając pokój. W toalecie pani domu znaleźli trzydzieści sztuk francuskiej kredki do ust, dziesięć flakonów nie rozpieczętowanych zagranicznych perfum, kilkanaście pudełek z pudrami i całą serię innych kosmetyków. Kozłowski wyjaśnił krótko: – Żona lubi się malować! – Rewidujący roześmiali się na to tłumaczenie, Majewska się zdziwiła.

Pasja Kozłowskiego, ujawniona przekleństwami, jeszcze wzrosła, gdy całe towarzystwo przeszło do kuchni. Majewską poczyniała ujmować spokojna grzeczność rewidujących. Na progu kuchni pomyślała odruchowo: „Grzeczny był w jadalni, tam nic nie znaleziono. Denierwował się w sypialni – materiały i kosmetyki. Teraz krzyczy – to co będzie w kuchni?”

Goście byli tego samego zdania, gdyż zaczęli starannie opukiwać ściany młotkiem i wymierzać je centymetrem. Przedtem tego nie czynili. Brunet porównywał jakieś notatki. W kuchni nic nie znaleźli. Kozłowski, sypiący wyzwiskami, teraz się uciszył, przybrał poprzednią maskę uprzejmości. Jednak przybysze nie kończyli rewizji. Interesowały ich ściany. I raptem milicjant ujął dłońmi kran nad zlewem, nacisnął go niby klamkę w prawą stronę. Kurek przekreślił się – ku zdumieniu Majewskiej i chłopców. Gospodarz zamilkł. Wtedy milicjant szarpnął zlew ku sobie, mówiąc:

– Panie Kozłowski, znam te sztuczki, za okupacji miałem taki sam skład... bibuły. Tylko że tutaj nie bibułę pan chowa... – Zlew odskoczył, jak drzwi na zawiasach. Otworzył się kwadrat w ścianie. Chłopcy wybałuszyli oczy. Brunet poświecił latarką. Ujrzano coś w rodzaju płytkiej i wysokiej celi. Milicjant wszedł do środka i zaczął podawać swym towarzyszom

worki z mąką, kaszami, ryżem, połcie słoniny, puszki smalcu, paczki kakao, kawy, herbaty. Gdy ukazał się w otworze wielki worek z cukrem, Jacek ubawiony zawołał głośno:

– Fura!

Na co brunet, świadom widocznie żargonu gry w „oko”, dodał niemal wesoło:

– Cały bank poszedł. Przegrana.

Kuchnia napełniła się wyborowymi towarami kolonialnymi. Kozłowski siedział bez ruchu i raz tylko rzekł:

– Tam ukrywali się Żydzi! – jakby chcąc się tym usprawiedliwić, choć przecież nie on ich przechowywał, tylko sąsiedzi. Nawet starannie kryli się przed nim, bojąc się go, gdyż Niemcom pomagał przy rozbiórce getta. Kozłowski o Żydach wiedział. Nie miał jednak zamiaru ich wydawać, swoje i tak zarabiał, a denuncjacji nie lubił. Wiedział, że Niemcy stąd pójda. Wolał nie mieć przykrości po wojnie.

W Majewskiej pulsowało oburzenie. „Paskarz! paskarz! paskarz!” – łomotało jej w głowie. „Pięć lat temu byłby narodowym bohaterem – myślała. – Teraz... paskarzem.” Ale to przecież nie jego państwo... Wspólne dobro! Zaczyna się od wyrozumiałego uznania, gdy syn nie płaci za tramwaje. Bo to moje państwo? Lutek ma przykład z góry. U tego paskarza j e j chłopcy hazardują się. Na nic wszystkie morały i wysiłki. Na nic próby wyrwania ich z dotychczasowego trybu życia. Dla niego może kradli papę. Może pomagali mu w gromadzeniu tych zapasów? Może jednak t e g o to już nie czynili... – twarze całej trójki były niepomierne zdumione.

Majewska zapytała Marka, co o tym sądzi.

– Taki schówek, a to cwaniak! – W głosie chłopca było tyleż aprobaty dla wynalazczości, co potępienia dla paskarstwa.

– Spryciarz. Rzeczywiście. – Jacek aż cmoknął. Radość ze zdemaskowania paskarza, który matce czy ciotce mimo przyjaźni synów nieraz dobrze dokuczył, mieszała się z chłopięcym podziwem dla techniki.

Rewizja dobiegała końca. Opieczętowano schówek. Zapasy żywności wyniesiono na schody. Kozłowskiego aresztowano. Cała karawana wzbudziła sensację w kamienicy, gromadnie pomstującej na spekulanta. Zjawiała się i Kozłowska. Została z Lutkiem w rozbebeszonym mieszkaniu. Marek, Jacek i Kazek pogalopowali do domów z niezwykłą nowiną. Majewska wolnym krokiem wracała do siebie.

Szła okrężną trasą, by uspokoić wzburzone nerwy. Komisja miała rację, to istotnie był łobuz. Lecz myśli głównie krążyły wokół chłopców. Gra w karty w mieszkaniu paskarza po dwóch miesiącach pedagogicznych wizyt, co tydzień składanych jej przez każdego z chłopców, wstrząsnęła całym systemem wychowawczym. A więc jej słowa i jej osobiste oddziaływanie nic tu nie znaczą?!

Długo w nocy borykała się ze swym kłopotem. I bardzo już musiało być późno, gdy uspokojona, zasnęła. Zdawało jej się, że znalazła ratunek.

Wino

Słońce, grzejąc nieustannie, wysuszyło już błotniste kałuże roztopionego śniegu. Jeszcze nie spadły wiosenne deszcze. Kurz z walących się ruin i budujących się domów był plagą tego miasta. Atakował oczy i gardło. Właśnie jedna z gazet wydrukowała żart statystyczny, dowodzący, iż każdy obywatel Stolicy połyka rocznie półtorej cegły.

– ...Phii, półtorej cegły rocznie; przez całe swoje życie, choćby najdłuższe, połowy ściany jednego pokoju nie skonsumujesz!

– Ale za to pół miliona warszawiaków rocznie zjada siedemset pięćdziesiąt tysięcy cegieł, w dwa lata – półtora miliona, w cztery lata – trzy miliony, w osiem – sześć, w szesnaście...

– Tym sposobem jedno pokolenie zje przeszło dwadzieścia milionów cegieł, co w przerażeniu na cenę w złotych polskich...

– To już lepiej gryźć od razu forszę. Prędzej zjesz!

– Ale banknot niesmaczny, papier drapie w żołądku, a małe dawki cegły okazują się całkiem, całkiem...

– To trzymaj, jak masz apetyt! – Rzucony przez żartownisia ułamek cegły omal nie trafił Marka w ramię. Chłopak uchylił się burknawszy coś niezbyt uprzejmego. Dyskusja nad połykanymi cegłami urwała się. Brygada majstra Tybury uwijała się właśnie przy odsłanianiu wejścia do piwnicy jednego z domów przy dawnej Miodowej.

Teraz zamiast Miodowej sterczały wypalone, w części już nawet zburzone, szkielety kamienic.

Marek doskonale pamiętał cmentarny chłód gruzów i wąską ścieżynkę między osypiskami murów. Szedł taką Miodową akurat w kwietniu przed trzema laty. Żywej duszy dokoła! Z wysiłkiem brnął karkołomną drożynką. Fasady domów straszły pustymi, wypalonymi oczodołami okien. Resztki rynien szczykały w górze, kołysane wiatrem. Budynki ocalałe od ognia, lecz rozcięte bombami aż do samych piwnic, demonstrowały oberwane stropy i podłogi, przyklejone do ścian piece i kłozety, różnokolorowe tapety, samotne obrazy w złoconych ramach. Z porozbijanych piwnic i resztek bram wiał słodkomdłący trupi fetor. Asfalt jezdni i chodniki pokryte były wygarbionymi naroślami zwalonych cegieł lub wtłoczone w ogromne leje napełnione zieloną, zgniłą wodą. Gdzieniegdzie krzyże znaczyły powstańcze groby. Latarnie powyginane ku ziemi. Siatka tramwajowa, pocięta pociskami, zwisała girlandą nieskończonego szeregu stryczków. Tak wtedy wyglądała Miodowa. Markiem wstrząsnął dreszcz, gdy spojrzawszy w głąb ulicy, ponad gładko sunący czerwony trolejbus, na stojące jeszcze ruiny przypomniał sobie tamtą wędrówkę.

Dzisiejsza Miodowa niepodobna jest ani do dawnej z 1944, ani do tej z 1945 roku. Oswojono dzikie gruzy, ujęto je w ramy uporządkowanej ulicy, z której usunięto zwały cegieł, udostępniając jezdnię i chodnik. Puszczono tędy trolejbus. A przy zbiegu Senatorskiej i Koziej powstał jeden wielki plac budowy, ciągnący się aż do Wisły, do ruin Zamku, pod Teatr Wielki, Hipotekę i kościół Kapucynów. Obserwować tu można wszystkie stadia rozbiórkowej roboty. I początkowe, gdy pojedynczy robotnik, tkwiący na wąskim kikucie kilkupiętrowej ruiny, spod własnych stóp kilofem wyrąbuje kawały muru, starannie, by nie zniszczyć cegły, którą zużyje się potem do budowy. I dalsze, gdzie buldożer spycha przed sobą zwały gruzu i

jak gdyby goli przy skórze skamieniały pagórek pokruszonych cegieł, od trzech lat wrastających w ziemię. I to ostatnie, gdy oddzieliwszy starannie gruz od zdatnej jeszcze cegły ładuje się go na furmanki i wywozi na usypisko. Z samochodami było wtedy na Trasie jeszcze ubogo. Prymitywizm środków technicznych był karykaturalnie niewspółmierny z rozmachem planów. Ręczną dobną wbijano w dno Wisły pierwsze słupy rusztowania mostowego. Niektórzy wzruszali pogardliwie ramionami : z motyką na słońce! Mury rozbierano ostrożnie – ze względu na cegłę. Piwnice rozkopywano uważnie, gdyż mogły kryć czasami niebywale cenną zawartość.

Marek Koziół wraz z towarzyszami przebijał się przez zwały gruzu i ziemi, barykadujące dostęp do piwnicy. Pracowali razem z nim osiemnastoletni chłopcy, mężczyźni w sile wieku, starcy, może już niezdolni do pracy przy moście lub na ścianie oporowej tunelu, ale jeszcze dość krzepcy, by rozbierać ruiny. Jedni kilofami rozwalali bryły gruzu tarasujące wejście, inni segregowali cegły.

Praca nie szła składnie. Ani w brygadzie majstra Tybury, gdzie element był zbyt mieszany, ani na całej Trasie. Każdy swoje robił powoli, żeby się nie przemęczyć, „byleby z pracy nie wyleli”. Lecz jakże niewiele było potrzeba, aby zostać na stałe w załodze Trasy! Nikogo nie wyrzucono za nieróbstwo, wszystkich chętnie przyjmowano. Ludzi było stale mało. Ochotnicy ściągali z całego kraju. Wszędzie mówiono, iż przy tej robocie płace będą szczególnie wysokie. Zgłaszali się młodzi, materiał surowy, nieokrzesany. Pierwszego dnia kręcili się na Trasie, ale już nazajutrz handlowali na bazarze; za trzy dni znowu pojawiali się przy pracy, przyjmowani z otwartymi rękami. Nie ujęci w karby ideowych organizacji – PPR i PPS grupowały niewiele ponad dziesiątą część załogi – bałaganili, stroili fupy. Szczególnie niekarny element gromadził się przy rozbiórce ruin, gdyż tam kierownictwo posyłało nowo zaciężnych, niewykwalifikowanych.

Gadania było więcej niż pracy. Ledwo ucichły żarty z cegłami, stary Waławczyk mruknął gderliwie, lecz bardzo wyraźnie:

- A dziś nie ma tam znowuż jakiego mityngu?
- Co dzień? – z głupia frant podchwycił drugi.
- Oni potrafią i co dzień. Gadanego to mają. Naprawdę.

– I po cholere! Co tu jest do tłumaczenia? Każą, płacą – robię swoje i nic mnie reszta nie obchodzi. Rozbierać całą kamienicę – rozbieramy! Rozwalać cały wiadukt – rozwaliliśmy! Co tu jeszcze gadać! – Waławczyk, warszawiak z krwi i kości, nabierał opozycyjnego animuszu. Wczoraj wieczorem żona mu wyperswadowała „nowinki”, z jakimi przywędrował z mityngu do domu.

- Ale może będzie ładniej, panie starszy! – zawołał Kalinowski, dwudziestoletni chłopak.
- Było ci brzydko?
- Mnie tam nic nie było. Znam Warszawę od dwóch lat, ale...
- To nie gadaj, jak nie znałeś. Było najlepiej, najlepiej!
- To dlaczego jeździsz, majster, koleją do domu, do Pruszkowa? Trzeba wam dymać na pieszkę, jak wam wszystko nowe śmierdzi. – Marek solidarnie wsparł kolegę swym konceptem. – Nowe zawsze lepsze.

Marek nie mógł w tej chwili wygrać bitwy przeciw argumentom Waławczykowej, jeżeli bitwy tej nie wygrali nawet inżynierowie budujący Trasę. Zebrania, na które żołądkował się Waławczyk, organizowało kierownictwo budowy. Co dzień gromadząc w świetlicy „Pod Blachą” poszczególne zespoły, pragnęło ono, by wszyscy pracujący na Trasie mieli pojęcie o całokształcie koncepcji urbanistycznej, by widzieli całość roboty, a nie tylko jej dzisiejszy odcinek. By wiedzieli, po co się męczą. Była to innowacja – jak każda innowacja – witana niechętnie, tym bardziej iż zabierała wolny czas.

Tłumaczono robotnikom, że Trasa ma być pierwszym wielkim, w całości odbudowanym fragmentem miasta, ma wszystkim wątpięcym wykazać możliwość rekonstrukcji całej stolicy.

Pałeczka inżyniera zakreślała piękną linię ponad planem miasta. To, co mówił, było naprawdę wspaniałe. Wszyscy słuchali jak urzeczeni. Pytali, pragnęli wiedzieć jeszcze więcej. Lecz gdy z zacisznej świetlicy wyszli na rozorany plac Zamkowy, na bezkształtną dziurę po „Pancerze”, na nieoczekiwanie odsłonięty oczom warszawiaków pałac „Pod Blachą”, na stromizną skarpy – zabrakło im wyobraźni. Piękne plany pozostały na ścianach świetlicy. Nie umieli dopasować ich do terenu. Tamto, co było – znali dobrze. To, co będzie – jak długo mówił inżynier – wydawało się bajeczne, ale gdy wieczorem powtarzali swym żonom i dzieciom, nie potrafili projektów umiejscowić. Zburczały ich kobiety, jeszcze bardziej pozbawione wyobraźni niż mężowie, a za to goręcej przywiązane do tradycyjnej przeszłości. Tamte widoki były przecież krajobrazami ich młodości. Któż takich nie kocha?

Dlatego młodym było łatwiej. Ich młodość miała za tło swych pierwszych uczuć – jak dotąd – wyłącznie ruiny. A tych nikt, nawet odruchowo, nie wielbi. Srebrna tuba tunelu na rysunku przyszłości wabi swym urokiem; chciałoby się spacerować tam ze swoją dziewczyną. Dlatego młodzi kłócili się ze starymi.

Dlatego i Marek bronił przed starymi koncepcji Trasy, choć prawdę mówiąc i dla niego była ona wielką, pasjonującą zagadką. Wczorajsze zebranie wyjaśniło mu wiele. I chociaż on także nie bardzo pojmował, jak tunel będzie wyglądał w przyszłości, w żyjącym mieście, był oczarowany wielkością pomysłu. Matce opowiadał z ogniem w oczach o przyszłej Trasie. Lecz gdy nazajutrz znowu pochylił się nad kilofem, znowu zabolął go kark i ręce, ogarnęły niepokojące myśli i pytał siebie, czy możliwe jest rękami i furmankami dokonać dzieła tak poważnego. Przypomniał sobie drwiny Zenona i jego kąśliwe pytania: czy rewolucję robi się po to, by pracować więcej, czy też po to, by być szczęśliwszym, to znaczy pracować mniej? Marek wychowany w kulcie pieniądza, a nie pracy, nie potrafił nic zarzucić tej „logice”.

Dla mirażu pieniędzy i na rozkaz Zenona zgodził się ciężko harować w brygadzie majstra Tybury. Sam się do tej pracy zameldował. Robota była mozolna, nudna, ale Marek, obiecywał sobie dobrze się odkuć na dolarach. Zenon mówił o trzydziestu tysiącach „miękkich”, a broń też coś warta! Lecz najważniejsze – to absolutna legalność tego wszystkiego, żadnego przestępstwa, nikt nie posiada większego prawa do „kasy” niż Zenon.

Marek stosunkowo łatwo uzyskał przydział do brygady majstra Tybury; na Trasie potrzebowano teraz bardziej robotników niż gońców, a pozytywna opinia Józefa Wojciechowskiego – z tytułu pełnionego przezeń obowiązku sekretarza Koła PPR – stanowiła dla kierownictwa kadr wystarczający argument, by zmienić młodemu chłopcu rodzaj pracy.

Józef Wojciechowski był mężczyzną o bogatym doświadczeniu życiowym. Los nie obeszła się z nim łaskawie. Murarz z zawodu, nie tylko przy stawianiu domów spędził swe lata młodzieńcze i dojrzałe. Dotychczas zarabiał na życie nadzwyczaj ciężko. Nie bardzo układny, zadziorny, namiętny i bezwzględny – lubił chadzać swoimi drogami. Dlatego właśnie nie raz, nie dwa razy powiększał kadry bezrobotnych, nie tylko sezonowych, zimowych ale i całorocznych; musiał wtedy handlem domokrażnym zarabiać na utrzymanie rodziny, póki za pośrednictwem kolegów nie złapał nowej jakiejś pracy. Nie bardzo potrafił temperować swój charakter, to znaczy zamykać oczy na ludzką krzywdę – nawet gdy na świat poczęły przychodzić dzieciaki, a więc wtedy, gdy zazwyczaj człowiek łatwiej sobie wybacza liczne odstępstwa od młodzieńczych ideałów. Dzieci rosły, a Wojciechowski raz na wozie, częściej pod nim, to stawiał mury, to szlifował bruki ukochanej Warszawy. Okupację przetrwał jako dozorca mleczarsko-jajczarskiego magazynu „Społem”, dorzucając niejedno gorzkie doświadczenie do swej znajomości ludzi i świata. W styczniu roku wyzwolenia karta jego dziejów przewróciła się z tryumfującym hałasem. Krzywa życia zaczęła się piąć w górę. Lubił mówić, że dla niego i dla jego dzieci zrobiono rewolucję. Gdy pewnego dnia stanęła przed nim Majewska, kurator sądowy Marka Kozła, ten niewysoki, chudy, o węzowych ruchach mężczyzna piastował właśnie funkcję sekretarza Koła PPR na zachodnim odcinku budowy Trasy W – Z.

Nie bez trudu przychodziło Majewskiej wytaczać pedagogiczne kłopoty przed zwyczajnym robotnikiem-partyjnikiem. Najpierw udała się do tego samego znajomego inżyniera, który Marka przyjął do pracy na Trasie. Ten jednak zbył ją niczym, niechętny jakiegś tam pedagogice stosowanej. Odesłał ją do Wojciechowskiego, uważając urząd przez niego sprawowany za najstosowniejszy do realizacji śmiałych zamierzeń kuratorki.

Wojciechowski oczarował Majewską rozsądkiem i gotowością spełnienia jej prośby. Obiecał dołożyć starań, by chłopca przesunięto do jakiegś specjalnie interesującej go pracy, zdolnej obudzić w nim entuzjazm twórczy. To był plan Majewskiej. Wojciechowskiego zaciekała walka o charakter chłopca. Majewska odeszła uradowana, lecz spotykając Marka z niemalą troską dowiadywała się przez jakiś czas, że jego zajęcia nie uległy zmianie. Wojciechowski w istocie zwlekał, ciągle nie mogąc wymyślić odpowiedniej recepty, gdy nieoczekiwanie któregoś dnia, w porze obiadowej, zadrgały ściany klitki mieszczącej się w rachitycznym baraku na placu Zamkowym. Ktoś trzasnął drzwiami z ogromnym rozmachem i przed Wojciechowskim pojawił się smukły wyrostek mnący w garści czapkę harcerską, ugarniowaną, jak każała szczeniacka moda, pasemkiem znaczków z herbami miast polskich.

– Proszę pana... towarzyszu, ja do was...

– Co tam?

– Nazywam się Kozioł, Marek Kozioł...

– Aha, to ty?

– Pan słyszał o mnie? – nuta lęku zabrzmiała w głosie chłopca.

– Głupstwo. Nic ważnego. Czego chcesz? Wojciechowski na widok chłopca pomyślał tylko, i chyba raczej dobrotliwie: „Oto i mój złodziejaszek!”, i świadom niejednej życiowej zagadki, nie wgłębiał się w analizę kontrastu między budzącą ufność twarzą chłopca a jego złodziejską przeszłością.

– Ja, towarzyszu sekretarzu, w takiej sprawie... Marek nigdy nie był tak wymowny jak teraz, gdy zależało mu na uzyskaniu przydziału do brygad burzących Miodową; na tym opierały się przecie jego ukryte zamysły. Tłumaczył Wojciechowskiemu, że dość ma już biura, roznoszenia papierków, gdy praca na Trasie nabiera – a to mówił szczerze – takiego rozmachu.

– ...Udźwignę lekko kilof czy łopatę. Ja sam wiem, że może tak od razu do prac poważniejszych to bym się nie nadawał, ale odgarniać gruz...

Ochotniczy meldunek Kozła był Wojciechowskiemu bardzo na rękę. Zamiar wydawał mu się rozsądny. Rozbiórka ruin nie wymagała specjalnych umiejętności.

– W którym zespole chcesz pracować?

– Jeżeli można wybierać... w brygadzie majstra Tybury, mam tam kolegów. – Brygada ta posuwała się linią Miodowej, gdzie znajdowała się upragniona piwnica.

Będąc ochotnikiem, nie mógł Marek narzekać na swą pracę. Dziś zaś, choć sprzeczał się z kolegami o wczorajszy referat, uwaga jego zaabsorbowana była czym innym. Od rana pilnował zespołu przekopującego wejście do podziemia, by wsunawszy się tam w czołowej grupie, stwierdzić, czy ziemia w trzeciej piwnicy na lewo z korytarza nie jest naruszona. Wtedy zamierzał tak opóźnić dalszą rozbiórkę ruiny, by w ciągu tego dnia nie rozpoczęto piwnicy trzeciej. A noc należała do niego! Już widział zupełnie wyraźnie paczki „miękkich”: podłużne, zielonkawe papierki szeleszczące jak cieniutka blacha.

Jeszcze tylko kilka kwadransów pracy. Kilofem rozbijał ostatnie warstwy ceglanego gruzu. Inni odgarniali je na bok. Na koniec odsłoniły się czarne, zgniłe drzwi. Uderzone kilofem upadły, jakby nigdy nie były zamknięte. Powiało zimnem. Powietrze było jednak świeże i nie śmierdziało truchłami.

Drzwi, do których dotarli, znajdowały się na planie Zenona. Był to zresztą rzadki wypadek, że piwnicę „zaczynali od frontu”, jak należy, od drzwi wejściowych; na ogół wwiercali się w nie, obojętnie z której strony, przez mur, przez strop od góry. Teraz też dobierali się od góry, ale przez wejście.

Za drzwiami, zgodnie z planem, miała być pusta przestrzeń – wielka izba piwniczna – potem korytarzyk i pierwsza, druga, trzecia...

Marek skoczył do lochu piwnicznego i zapominając o koniecznej ostrożności, przed wszystkimi pobiegł w ciemną przestrzeń podziemia. Raptem jakaś niska przeszkoda podcięła mu nogi. Zwalił się na twarz, krzyknąwszy tylko. Rękami wyczuł że pada na jakieś skrzynki.

Dwóch następnych robotników też już było w piwnicy. Usłyszawszy krzyk Kozła, Tybura zaklął i zaświecił zapalkę. W jej nikłym płomyku dostrzegli półki i zarysy stojaków. Druga zapalka wyłoniła z ciemności kształty jakichś butelek. Waclawczyk chwycił jedną i podniósł do dziennego światła. Cała w gęstym kurzu. Cegłą utracił zalakowaną szyjkę butelki.

Ostro, z szumem bluznęła struga czerwonej cieczy. Podstawił palec. Powąchał. Liznął. Wylał nieco na dłoń. Wszystko to było dziełem sekundy. Marek grzebał się z pomocą majstra ze skrzynek, w których dzwięczało szkło. Waclawczyk umoczył ostrożnie język. Raz, drugi. Wreszcie wlał dobry łyk prosto do gardła i zawołał donośnie:

– Wino, chłopaki, szampan!

Zakotłowało się wokół niego. Odtluczoną butelkę chwyciło kilka rąk. Ktoś łyknął całym haustem, łapczywie. Tybura wrzasnął:

– Kozioł, dymaj do kierownika. Melduj, że znaleźliśmy skład win!

Marek poleciał „Pod Blachę”. Jak na skrzydłach gnał krętą siatką schodków rozpiętych na rusztowaniach ponad ziemnymi robotami. Wymijał ogromne hałdy ziemi i gliny. Uważał, by się nie potknąć na pajęczynie rozsnutych wszędzie szyn torów normalnych i wąskich. Na całym obszarze prowadzono prace równocześnie: odgruzowywano linię Trasy, betonowano ściany oporowe tunelu, zakładano fundamenty mostu. Zawsze głodnym wzrokiem chłonąc postęp robót – Marek gnał teraz ślepy na wszystko, uważając jedynie na nogi, by przez upadek nie stracić czasu.

Tymczasem ludzie Tybura bezpośrednio zaznajamiali się z wartością odkrycia. Porzucili narzędzia. Sięgnęli bezceremonialnie po butelki. Z czeluści piwnicznej wyciągano jedną po drugiej. Tybura początkowo krzyczał, by dali spokój, przecież to własność państwowa, publiczna, ktoś się zgłosi po odbiór. Nikt go nie słuchał!

– Kto tam policzy! – krzyczano na majstra. – Tyle butelek, kilka mniej nie zaszkodzi!

– Znalazca też ma prawo do znaleźnego!

– Na zdrowie!

– Niech żyje Wu-Zet!

– Chłopcy, dajcie spokój, będzie granda!

– Babcię masz?

– Wiesz co, pocałuj...

– Na zdrowie!

– Niech żyje majster Tybura!

– Ty bura czy ty ruda, wszystko jedno! He, he, he...

Pryskwały szyjki i wino rubinowe i złote wlewano prosto z omszałych butelek w gardła.

– Mocne! – mlaskali z uznaniem.

Tyburze wcisnęli butelkę w garść, a ten mimo wzdragań i mimo obawy, jak zwierzchnikom spojrzy w oczy – wychylił kwaterkę. Stary trunek szybko kładł się tumanem na myślach i czuciach. Niejeden walił się koło ustawionych cegieł, zaczerwieniony z wysiłku i emocji. Puste flaszki padały na ziemię.

Odnalezienie składu win było sensacją wysokiej klasy. Zbiegli się ludzie z sąsiednich robót. Przy władzie do piwnicy zgęstniał tłum i trudno się było dostać. Robiło się coraz weselej. Ktoś śpiewał z zacięciem godnym lepszego głosu.

Stare wino, młody śpiew,

Siupaj, siupaj, siupaj, hep!

– improwizował Waclawczyk, wylewnie, już setny raz opowiadając wszystkim wrażenie pierwszego łyku:
– Myślałem, że iperyt albo... może cyklon, a tu, ot i niespodzianka, stare wino, he, he, stare wino, młody śpiew, siupaj, siupaj, siupaj, hep!...

Zanim z kancelarii wyruszyli zaalarmowani kierownicy budowy, Marek już był z powrotem. Uskrzydłony marzeniami, pełen obaw, czy wino nie pokrzyżuje jego planów, bardzo zgrabnie przepchnął się przez zebrany tłum i wskoczył do piwnicy. Panował tu ogólny rozgardiasz. Nie zwracano wzajemnie na siebie uwagi. Każdy brał tyle butelek, ile mu się zmieściło w kieszeniach, ile mógł unieść w zanadru: nie wypije teraz, to schowa na później. Marek nie zatrzymał się w składzie, odszukał drzwi na korytarz. Wyważył je kilofem – znalazł go koło skrzynek, gdzie upadł. W korytarzu namacał trzecie drzwi na lewo. Znowu wyrwał zamek, poświecił zapalką, ziemia była nie naruszona. Kilof zostawił, drzwi zamknął, wrócił z powrotem do brygady.

Ledwie wydostał się z dołu, usłyszał potok wymyślań. Sekretarz Wojciechowski trzymał za kołnierz majstra Tyburę, trzęsąc nim z niemałym impetem – miał siłę ten niski człowiek! – rugając go jednocześnie za to, co działo się wokoło. Działo się w istocie niedobrze. Robota stanęła, pracownicy pijani, czyjaś własność topniała, wprawdzie nie tak bardzo, gdyż magazyn był ogromny, ale w każdym razie... nie należało do tego dopuścić!

Tybura opowiadał jak wyuczona katarynka, choć język stawał mu okoniem:

– Mówiłem tym draniom. Mówiłem tym draniom, mówi... Wojciechowski ujrzawszy Marka krzyknął w pasji:

– Ciebie tu jeszcze brakowało! – Nie wiadomo, czy jego to obciążał winą za bałagan, czy też zląkł się o nową demoralizację swego wychowanka. W ogóle był zły, taka kompromitacja!

– Ja, panie sekretarzu, nie piłem! Jedyny!

Sekretarz spojrział zdziwiony.

Na koniec przywędrowali inżynierowie. Pojawili się milicjanci. Złość ogarnęła Marka, gdy ujrzał, jak zaciągnęli wartę przy magazynie. Cholera! Na koniec wyskoczył z tłumy jakiś nieznanego im człowieka. Bardzo był podniecony, na przemian to wymyślał pijanemu Tyburze za kradzież win, to wylewnie mu dziękował za odkrycie i uratowanie magazynu. Mówił, że to przecież miliony złotych. Marek pętał się koło domniemanego właściciela, pragnąc zorientować się co do przyszłych losów magazynu. Łatwo było domyślić się, że rozbiórka nie ruszy dalej, zanim butelki nie zostaną wywiezione. Pytanie więc było tylko jedno: kiedy opróżnią magazyn?

Milicja spisywała protokół. Marek, jedyny trzeźwy spośród odkrywców, pytany był najdokładniej. Minęła tak godzina czwarta – Kazek i Lutek czekali. Jasne było, że dziś już nie zaczęną wywozić magazynu. Należało odłożyć wyprawę do dnia następnego. Wściekły na świat i ludzi, włókł się Marek na skwerek Wilsona.

Z daleka dostrzegł rozradowaną minę Kazka. Rozzłościła go ona jeszcze bardziej.

Kazek

– Rocznie każdy z nas połyka półtorej cegły. Czytała pani? Kazek był dnia tego w znakomitym usposobieniu; rozsadzała go radość zwycięstwa, kusila przygoda czekająca na Miodowej; nie mógł więc powstrzymać się od zaczepienia Drożdżowej, choć zawsze nadętej i niechętniej ludziom.

– Nie czytuję gazet. Mógłbyś się tego domyślić! – odburknęła z naciskiem na słowie „mógłbyś”.

– Ej, tak zupełnie?!

– Zupełnie. Kłamię!

– Ale tylko w polityce. Pierwszą stronę można opuścić. Kto by ją tam czytał?

– Na każdej stronie jest polityka!

Z tym, że prasa jest tendencyjna, uczeń Zenona godził się zupełnie. Gazety kłamię! – to było hasło przez chłopców bandy Zenona bynajmniej nie kwestionowane, to był slogan walki politycznej. Młodzieńczy duch przekory miał jednak i tu coś do powiedzenia.

– A skąd pani to wie, jak nie czyta?

– Nie bądź taki mądry! Ot wychowanie!

– W przedmiotach znalezionych – nie kłamię. W wynikach sportowych – nie kłamię. „Przyjacieli” (Kazek uśmiechnął się wspominając list „skomponowany” z kolegami, na który dostali dla „stroskanej żony” zupełnie poważną odpowiedź) – nie kłamię. Repertuar kin...

– Nie chodzę do kina!

– O rety! Ale życie! Gazet – nie, kina – nie, meczu – pewnie też nie. To już lepiej od razu do grobu...

Pogardliwe „smarkacz” przerwało interesującą dysputę, prowadzoną nie bardzo ściszym głosem ponad dwoma warsztatami. Drożdżowa była najbliższą sąsiadką Kazka na sali. I jakby uzupełnienie tego „smarkacz” usłyszeli wszyscy od warsztaciku, przy którym pracował Kowara, pełne zjadliwości:

– Uff, t a k i aktywista... Kazek nie pozostał dłużny:

– Chciałbyś być aktywistą przy dziewczynach, ale to senne marzenie!

Sala ryknęła śmiechem. Kowara zrobił się pąsowy. Kazek wiedział, gdzie strzelić. O niefortunnych przygodach miłosnych Kowary opowiadano w fabryce legendy.

Kazek starannie pochylił się nad uchwytem z założoną nań cienką szklaną rurką, długości czterech centymetrów. Jego zadaniem było przesunąć przez nią dwa pręciki – elektrody. Rurkę z drucikami podawał dalej. W następnej fazie produkcji przymocowywano do szczytu szklanej pałeczki koronę delikatnych pręcików z przeciągniętą przez nie wolframową spiralą.

Chłopiec pracuje przy montażu stosu elektrycznego, na którym osadza się gruszkę żarówki. Robota idzie mu znakomicie. Palce miał zawsze zgrabne do wszelkich robót ręcznych; jako mały brzdąc zgrabnie sklejał miniaturowe zabawki.

Teraz wrodzona zręczność palców i bystrość oczu przydawały mu się. Gdy koledzy miast trafiać drucikami w środek milimetrowej rurki uderzali obok, jego oko pracowało bez pudła. Ruchy dłoni były jubilerskie, precyzyjne, prędkie. Może były to ruchy kocie, a może złodziejskie; przecież „ręce ludzkie zginają się do siebie, a nie od siebie” – często tym ludowym

przysłowiem raczył ich Zenon. Każdemu, kto obserwował Kazka przy pracy, zdawało się, że mógłby równie sprawnie i po omacku nawlekać elektrody.

Toteż mimo absorbującej uwagę sprzeczki, tempo nawlekania nie osłabło nawet na chwilę. Na podstawce po lewej stronie warsztaciku prędko rosły piramidki gotowych rusztowań. Ręcznie przesuwano je do następnego warsztatu. W fabryce zupełnie zmechanizowanej cała produkcja winna odbywać się na taśmie, lecz w tej wytwórni, zaledwie przed niewielu miesiącami powstałej z gruzów, tylko druga część produkcyjnego cyklu była zautomatyzowana. Dopiero po założeniu szklanej gruszki żarówka wchodziła na taśmę.

Kazek, zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samego, odkrył pewnego rodzaju zabawę w coraz to szybszym przewlekaniu drucików elektrodowych. Podniecała go walka z kolegami, których nie lubił. Dumny był z wyróżniającej go umiejętności, choć przecież tu tkwiło właśnie źródło jego osobistych kłopotów.

Zaczął się wszystko przed miesiącem. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego właśnie na niego padł wybór technika Leja. Po prostu nie wiedział, że dwa dni przedtem pani Majewska odbyła z technikiem długą rozmowę. Leja, absolwent Wawelberga, przed wojną był szkolnym kolegą znajomego Majewskiej, Andrzeja Korneckiego. Przez niego kuratorka trafiła do technika jeszcze w styczniu, prosząc o przyjęcie Kazka do fabryki. Teraz powtórnie zjawiała się, by błagać o dalszą pomoc.

Spokorny wezwany do kierownictwa przestraszył się nie na żarty. Nieporządek właściwy pierwszym stadium organizacyjnym produkcji teraz sprzyjał temu, że wkrótce po objęciu pracy w fabryce Kazek zręcznymi palcami przeniósł do swej kieszeni całą paczkę cennych wolframowych spiralek importowanych z zagranicy. Prowadzono śledztwo. Odpowiedzialny magazynier został aresztowany, lecz potem wypuszczono go na wolność. Właśnie w przeddzień. Jednoczesne uwolnienie magazyniera i wezwanie Kazka do dyrekcji, co nigdy przedtem mu się nie zdarzało, zaniepokoiły chłopca. Zastanawiał się, czy nie uciec – raz na zawsze! Idąc po schodach do części biurowej budynku liczył stopnie: „iść” – „wiał”. Wypadło mu „wiał”, wobec tego machnął desperacko ręką i zameldował się w biurze technicznym, skąd przyszło wezwanie.

Technik Leja był niezwykle serdeczny przy powitaniu.

Prosił Kazka, by usiadł. Częstował go papierosem. Chłopiec dobrze pamiętał przebieg rozmowy.

– Pragnę ci pogratulować rezultatów – zaczął Leja – nawlekasz znakomicie!

„...Po to, by za chwilę zawołać milicję” – pomyślał chłopiec, lecz uśmiechnął się niemrawo, dziękując za pochwałę.

– Słyszałem, że masz podobno jakieś kłopoty z kolegami na hali...

To była w istocie fatalna historia. W styczniu, gdy Kazek rozpoczynał pracę, fabryce brakowało wykwalifikowanych robotników. Więc zamiast uczynić go chłopcem na posyłki, posadzono do przewlekania elektrod; pracę tę zazwyczaj wykonują kobiety, lecz zgodnie z przepisami właśnie taki typ zajęć bywa przydzielany i młodzieży. Już drugiego dnia okazało się, że lepszego wyboru trudno było dokonać – zręczne palce Kazka nawlekały więcej rurek, niż koledzy chcieli odbierać od niego do dalszej produkcji, więcej nawet, niż byli mu w stanie dostarczyć z poprzedniego warsztatu. Inni mozolili się jeszcze, on był już wolny i domagał się dalszej porcji. Domagał się zresztą zgoła demonstracyjnie; chciał, by do kuratorki doszła wieść o jego solidnej pracy. Chciał mieć opinię gorliwca, co zresztą w tym wypadku dzięki zręcznym palcom przychodziło mu bez trudu. Lecz to właśnie nie w smak było niektórym pracownikom. Groziło nieprzyjemną dla nich podwyżką ustalonych norm; produkcja z jednego działu nie mogła się gromadzić! Kilka awantur, kilka zasadniczych rozmów przeprowadzonych poza obrębem fabryki, nawet pogroźki – reakcja polityczna mobilizowała się przeciwko idei współzawodnictwa pracy, sprzyjającej budowie państwa ludowego – i Kazek skapitulował, bez zbytejnego zresztą oporu. Nie zależało mu na ilości wykonanych żarówek, tylko

na zademonstrowaniu dobrej woli. On chciał najlepiej. Inni zaprotestowali. Jest koleżeński, trudno, będzie tedy więcej odpoczywał! Tym bardziej iż w dyrekcji już i tak wiadano o jego znakomitej sprawności. Cała afera nie pozostała tajemnicą. Leja ją wyciągnął i od razu uderzył w wielki dzwon:

– Słuchajcie, Spokorny. Jesteście chłopakiem byстрыm i pojmujecie łatwo nasze fabryczne kłopoty. Rzecz w tym, iż w kraju jest straszliwy brak żarówek...

Kazek wiedział o tym dobrze. Dostarczane przez Zenona żarówki rozprawdzał po wygórowanej cenie.

– Aha! – potaknął jeszcze ciągle niepewnie; od patriotycznego apelu mogą łatwo przejść do żądania zwrotu spiralek!

– ...co dzień dostajemy – Leja uderzył dłonią w paczkę papierów – tyle zamówień, wezwań, żądań, próśb od instytucji, sklepów, osób prywatnych. Wszyscy krzyczą wielkim chórem: żarówki, żarówki, żarówki! Niebawem żarówki nie kupisz na rynku, a jeżeli, to po paskarskiej cenie... Trzy nasze fabryki pracują na pełnych obrotach, ale przed zainstalowaniem nowych maszyn, które dopiero za rok do nas nadejdą, musimy pomyśleć o innych sposobach zwiększenia produkcji, by zapobiec katastrofie oświetleniowej...

Leja zatrzymał się na chwilę, szukając dostatecznie przekonujących słów. Uważna, ale stale jednakowa maska chłopca nie pozwalała zorientować się w efekcie wygłoszonych zdań. Chwycił przeto silnie Kazka za rękę – ten aż szarpnął się, bezskutecznie – i z przejęciem wydeklamował mu prosto w twarz:

– Niedługo w naszych mieszkaniach pogasną światła. Uczyć się lub pracować przy ogarku, co za strata energii narodowej. A nawet... cóż to za podły odpoczynek! Chcemy elektryfikować wieś, a nie łuczywem oświetlać miasta. Spokorny, wzywam was do spełnienia obowiązku patriotycznego. W czterdziestym czwartym walczyłeś z wrogiem o wolność. Teraz naszym wrogiem jest zniszczenie i ubóstwo. I z tymi wrogami należy walczyć o pełną wolność – o wolność od nędzy. Samiśmy przecież właścicielami warsztatu, przy którym pracujemy. Dla siebie robimy, nie dla kapitalisty. Dlatego pracujemy, by w naszych i we wszystkich innych mieszkaniach w Warszawie było jasno...

Leję rozpromieniła własna oracja. Zawsze lubił wielkie i ładne słowa – technik, amatorski pedagog, nie czuł, jak bardzo kiepskim są one instrumentem wychowawczym. Pierwszy raz w życiu podjął się takich pedagogicznych zadań i pojmował wyraźnie tylko jedno, że Kazka, sterroryzowanego opinią kilkunastu robotników, wypaczonych długoletnią służbą w kapitalizmie, musi ratować w jakikolwiek sposób. Obiecał to Majewskiej. Sam się tym przejął. I oto okazja sama wpadła w rękę. Za kilka dni na zebraniu produkcyjnym stary robotnik Lowak wraz z kilkoma towarzyszymi z PPR i PPS wystąpią z inicjatywą rozpoczęcia w fabryce współzawodnictwa pracy. W tym Leja dojrzał ratunek dla chłopca.

– ...proponujemy ci, byś pomógł nam w zwiększeniu wydajności pracy na zakładzie.

– Jaaa? – Prośba była zupełnie nieoczekiwana i chyba nie miała oznaczać konieczności zwrotu skradzionych spirali.

– Ty właśnie! Czytałeś w gazetach o Pstrowskim i współzawodnictwie?

– Aha!

– Weź więc udział w tym współzawodnictwie!...

– Jaaa? – powtórzył najgłębiej zdumiony. „Nie spiralki” – pomyślał. Milczał zdezorientowany. Leja kuł żelazo dalej:

– Za kilka dni ogłoszone będzie w fabryce współzawodnictwo. Zgłoś się i ty. Podpisz zobowiązanie. Przekroczysz je na pewno. Po kwartale nagroda, fotografia w gazetach...

– E, nie... – Kazek złął się fotografii: „Piękna” mogłaby go poznać. Obawę chłopca zrozumiał Leja opacznie i od nowa zaczął go przekonywać z natarczywym ferworem. Kusił miżami korzyści.

Wezwany do gabinetu technika, chłopiec szedł jak na ścięcie. Stając przed Leją czuł się jak ścigany zwierzak, którego zagoniono do klatki pozbawionej jakiegokolwiek wyjścia – szamoce się po niej, objijając o ściany. Raptem odchyła się któryś pręt i ukazuje drogę do wolności. Więc skok jeden ku niej! Takim ratunkiem była propozycja Leji. Przestrach zmienił się w ulgę. Oczywiście zgodzi się.

– Będiesz bohaterem pracy! – argumentował dalej technik.

Słowo dźgnęło milczącego ciągle chłopca. Bohater! Miało ono wagę i dźwięk – piękny! Czymż innym chciał być jak nie bohaterem, gdy Zenonowi zaprzysięgał służbę w bandzie. Radość zażegnanego niebezpieczeństwa wsparta została ambicją. Dotychczas, choć zapewne mało kto w fabryce znał ten wstydlivy fakt jego życia, czuł się pogrzebanym. Przeszpeca. To nie było przyjemne, mimo że świadomie lekceważył wyrok. A oto okazja! Bohater... zamajaczyła wielkość możliwego czynu. Projekt fascynował go coraz bardziej.

Nim Leja skończył swój wywód, otrzymał zgodę chłopca. Technik nie wątpił, że był to skutek jego wymowy.

W pięć dni później cała załoga fabryczna dowiedziała się, że wśród jedenastu robotników, którzy podpisaniem deklaracji współzawodnictwa odpowiedzieli na apel starego komunisty Lowaka, znalazł się – jako bezpartyjny – młody Kazek Spokorny; zobowiązał się wykonać normę w stu pięćdziesięciu procentach.

Załoga fabryki, dopiero co odbudowanej wśród gruzów śródmieścia, nie składała się z ludzi politycznie wyrobionych. Dużo tam było kobiet zmuszonych nieszczęściami wojennymi do zarobkowania na pozostałą przy życiu rodzinę. Dużo młodzieży rozwyrzonej okupacją. Partie działały na terenie jeszcze za krótko, by podołać całej pracy ideowo-wychowawczej. W załazkowy zespół fabrycznego współzawodnictwa uderzały fale wrogiej niechęci tych wszystkich, którzy nauczeni doświadczeniami własnego przedrewolucyjnego życia nie chcieli ufać żadnym wezwaniom do wydajniejszej pracy, zawsze dotychczas źle na tym wychodząc. Jedenastu pierwszych uczestników współzawodnictwa otoczyła niechęć reszty, demonstrowana mniej lub bardziej dotkliwie. Niemało się musiał nachodzić i nagadać Lowak, by słabszych kolegów powstrzymać od wycofania swych deklaracji. Wiedział on, jak wiele pracy wymaga wyprostowanie wykrzywionej kapitalistycznym uciskiem świadomości ideowej robotników.

Wroga reakcja kolegów dotknęła i Kazka. Ale tym razem – inaczej niż przedtem – nie udało się im sterroryzować chłopca. Nie darmo babka przyjmując go szesnaście lat temu na świat, do którego śpieszył w pozie zgoła nienormalnej – pupką naprzód, orzekła, iż będzie to „przekrętnik”. Kazek rzeczywiście był przekorny. Wyzwiska kolegów, szturchańce, przesmiewania kobiet – zdwajały jego energię. Dłonie stawały się zdumiewająco zręczne. Elektrody błyskawicznie wsuwały się do przygotowanych rurek.

Nie miał z kim rozmawiać. Nie dorastał do gawęd ze starszymi, politycznie uświadomionymi uczestnikami współzawodnictwa, a reszta stroniła od niego, widząc, z jakim zapałem (chłostany na równi ambicją i przekorą) realizuje swą deklarację. Przychodząc rano do fabryki, niezwłocznie siadał przy warsztacie. Z rzadka zamieniał słów kilka z Drożdżową, robotnicą z powojennej konieczności, eks-niańką w zbankrutowanym ziemiańskim domu, który jeszcze po tamtej wojnie rozpoczął swą miejską karierę. Niańka serdecznie nienawidziła obecnych stosunków, dwa razy w tygodniu odwiedzała swoich dawnych wychowanków, aby zaczerpnąć siły na następne trzy dni wewnętrznej walki z „czerwoną zarazą”. Prócz nauk moralnych dawni wychowankowie niewiele mogli dać starej niańce, ona natomiast, grzesząc poczciwą ambicją przynoszenia łakoci swym malutkim „wnusiom”, wiecznie poszukiwała nowych źródeł dochodu. Znęcona premią, zgłosiła się do współzawodnictwa. Sądziła, że Kazka też coś podobnego zmusiło do takiego kroku; litując się nad nim – i nad sobą – pozwalała sobie na krótkie z nim pogawędki.

Tak więc niejako na złość kolegom Kazek znacznie nadrobił swe początkowe zobowiązanie. Chłopcu imponowało, że stał się kimś w fabryce.

Na naradzie produkcyjnej przed trzema dniami wynikła nawet taka sytuacja, że chcąc nie chcąc musiał coś powiedzieć. Imiennie wezwał go do tego przedstawiciel stołecznego zarządu organizacji młodzieżowej. Kazek bezradnie rozglądał się po sali, jakby wśród much na suficie szukał natchnienia. Raptem wzrok jego zgubił latającą muchę, gdyż dokoła panował półmrok. Na sali fabrycznej też było ciemnawo, tak że w mniej słoneczne dni palono lampy, które jednak wisiąły wysoko przy suficie. Wstał i powiedział:

– Wydaje mi się, że dla polepszenia wydajności naszej pracy należałoby wzmocnić oświetlenie... – Zatrzymał się na chwilę. Czuł, że nie wystarczy określić, co jest złego, lecz trzeba wskazać sposób naprawy. – Polepszyć oświetlenie. Może dałoby się to zrobić przez... przez wydłużenie sznurów od lamp, tak by zwisały one znacznie niżej...

Szmer zadowolenia wśród zebranych. Leja w prezydium pokiwał aprobująco głową. Ośmielony tym Kazek mówił dalej:

– A może nawet przy warsztatach należałoby umocować małe lampki, specjalnie oświetlające to jedno miejsce pracy.

Odezwały się oklaski, wprawdzie słabe, ale i tak większe, niż dostał ktokolwiek inny przedtem na tej sali. Przy pracy było ciemno i pracujących bolały oczy.

Przez trzy dni po naradzie produkcyjnej wcale Kazkowi nie dokuczano. A nawet wczoraj, gdy elektrotechnicy przedłużali sznury górnych lamp i instalowali je przy pomocy drutów w miejscach najdogodniejszych dla pracujących, chłopiec usłyszał kilka pochwał.

Jednak zasługi nie przekreśliły win w zupełności, skoro Kowara znów zaczepił go tym „aktywistą”. Gdy w południowej przerwie wywieszona została lista z wynikami pierwszego miesięcznego etapu współzawodnictwa, a Spokorny znalazł się na niej na czołowym miejscu, osiągnąwszy sto osiemdziesiąt procent normy – następny, Lowak, miał sto siedemdziesiąt trzy procent – nikt mu poza urzędowym uściśnięciem dłoni przez przewodniczącego Rady Zakładowej nie pogratulował tak z serca, po koleżeńsku.

Ale co mu tam serdeczność kolegów! Nie dbał o nią. Takie fujary! I choć Kazek nie przyznałby się do tego nawet sam przed sobą, to jednak gdy jechał po pracy na spotkanie z Markiem, duma zwycięstwa rozpierała go trochę. Pogwizdywał radośnie, śmiejąc się do ludzi i świata.

Nim Marek, z ponurą twarzą, zdążył poinformować Kazka o swym kłopotcie, zjawił się i Lutek. Nie było więc potrzeby dwukrotnie powtarzać nowin.

Skarb

Opis sytuacji zakończył Marek wyrażeniem nikłej nadziei na powodzenie dzisiejszej wyprawy. Kazek przyjął to filozoficznie, nie dziś, to jutro! Lutek natomiast wpadł w pasję:

– Warn łatwo gadać! A ja mam dosyć tego całego czekania. Stale coś się odkłada do jutra. Zbych – do jutra swoje bilety. Jacek – do jutra „pedete”. Leniwa banda tchórzów! Ja muszę dziś, zaraz, natychmiast!

– Nie bądź wariat! Znowu przez ciebie wpadniemy, jak wtedy na Czerniakowie.

– Wtedy na Czerniakowie nikt nie wpadł!

– No, jeszcze nie wiadomo...

– Chyba, że sam z ozorem polecisz na Bezpiekę...

– Lutek, radzę spokojnie!

– Rany Boskie, jak zamaluję, to się ze śmiechu nie powstrzymasz.

– Ale odważny!

Los starego Kozłowskiego, który za paskarstwo powędrował na kilka miesięcy do obozu pracy, nie wpływał dodatnio na nerwy syna. Ilekroć się chłopcy teraz spotykali, zaraz dochodziło do kłótni. I to nie tylko z Jackiem, ale nawet – jak teraz – z Kazkiem, najbliższym przecież Lutkowi z całej bandy.

– No to idź sam, kiedyś taki gorący. Wleź prosto na wachę. Przedstaw się. Majewska będzie wniebowzięta. Nareszcie wyekspediuje cię pod klucz.

– Nie chodzi o to, by leźć na wariata, ale by nie rezygnować za wcześnie. Jestem przekonany, że nie tylko Zenon wiedział o skarbie. Inni też czatują na tę piwnicę. To jest wyścig. Jeśli dziś w nocy my nie zrobimy, to jutro zrobi za nas ktoś inny. Tylko że nie dla nas.

Argumenty Lutka były dobrze uzasadnione. O skarbie musiało wiedzieć więcej osób – to była kasa organizacyjna, nie prywatne klejnoty. Trójka wróciła na Miodową.

Tłum przed magazynem win nie zmniejszył się. Na miejsce tych, co odeszli, zjawili się nowi ciekawscy. Ciągłe jeszcze butelki z miłym napojem krążyły między gapiami, co było tym dziwniejsze, że przed rozwalonym wejściem stał wartownik. Na ramieniu miał karabin, kolorowa opaska znaczyła władzę. Był to jeden ze strażników budowy. Milicjanci rozcinali stale gęstniejący tłum. Wino przyciągało wszystkich.

Krótką naradą wojenna przyznała słusność rozumowaniu Lutka. Postanowili czekać nocy. Ze szczytu gruzów kamienicy na Podwalu, niczym z bocianiego gniazda, uważali na piwnicę, na wartownika, na cały tłum. Był to rozsądny kompromis między kunktatorstwem Marka a impetem Lutka.

Starówka rozmarzyła Kazka powstańczymi wspomnieniami. Tamto stanowiło najpiękniejszy okres w jego życiu. Był wtedy jednym z bohaterów. Teraz jest zwyczajnym smarkaczem. Wtedy był żołnierzem. Teraz... szkoda gadać! Tłumaczył przyjaciółom położenie barykad:

– Widzicie ten załom muru, na rogu Podwała. Tam wpadłem, gdy ostrzelali nas krową, mgnienie oka, a byłbym „ugotowany”. Szliśmy wtedy z Zenonem do dowództwa na Miodową, właśnie tam, gdzie odkopano wina. Ale nasi chyba o winach nic nie wiedzieli. Nie byłoby ich dzisiaj. Ktoś widać stale musiał pilnować piwnicy. A tam gdzie kołysze się ta ściana, zabiło mi kolegę. Następnego dnia spaliła się ta kamienica, a my wyszliśmy kanałami.

– A wiesz ? – wpadł mu w słowa Marek – kopiąc teraz dół pod ścianę oporową tunelu przerąbywaliśmy się właśnie przez te same kanały, którymi wyście ewakuowali się do śródmieścia. To musiało być straszne...

– Pewnie, że niewesołe: smród, ciemno. Wszystko podjeżdża ci do gardła. Na siłę wstrzymujesz wymioty, bo wstyd i nie ma czasu. Oczy bolą od wypatrywania idącego przodem. Strach, że się utopisz w tym gównie. Bo ja wiem, co gorsze? „Krowy” czy kanały? Jedno i drugie straszne – wzdrygnął się Kazek.

– Nie była to rozkosz! – westchnął Marek. Znowu mu się przypomniała Miodowa sprzed trzech lat. Na Ochocie było zupełnie inaczej, trudno nawet wyobrazić sobie to, co się na Starym Mieście musiało dziać.

Z dwupiętrowej wysokości gruzu Starówka wyglądała jeszcze bardzo dziko. Poza terenem budowy Trasy – panował wszędzie trupi spokój. Gdziekolwiek spojrzeć: w tył ku Piwnej i Rynkowi, w przód ku Krakowskiemu czy Senatorskiej, w bok na Kapitulną – wszędzie jedynie poszczerbione kontury obłupanych ścian, jakiś skamieniały bór. Pulsowała tylko tętnica Miodowej, znacząca się pasmem asfaltu i ruchomym pudłem czerwonego trolejbusu. Było tam tak cmentarnie, że dla przygodnego obserwatora ruch na placu Zamkowym wydawał się wręcz nierealny. Coś paradoksalnie niedorzecznego było w tej równoczesności ruin i budowy: nie pasowały do siebie. Jak do panoramy kikutów Kanonii nie pasował świeży mur nowej katedralnej kaplicy. A lot kilkuset gołębi, nieustannie zataczających kręgi nad Piwną, gdzie w ruderze ocalałej bramy karmiła je stara babina, klócił się z bezruchem martwych, obrosłych już chwastem cegieł. Ten kontrast życia i śmierci, wyraźnie uwypuklony ostrym światłem przedwieczornego słońca, zmuszał do myśli o czasie teraźniejszym.

– Beznadziejna robota! – Lutek machnął ręką. – I za ćwierć wieku nic tu się jeszcze nie zrobi. Zobaczycie!

– Dlaczego? Sądząc po tym, co już zrobili – Spokorny, przodownik pracy, dziś jakby się solidaryzował z rządem.

– Oni zrobili? Śmiejesz się. To myśmy zrobili, nie oni...

– Kto to ci: myśmy. Mój ojciec czy twój. Kto buduje?

– Nie chodzi o to, kto stawia mury...

– Chodzi właśnie o to!

– ...ale kto daje na to fundusze. Kto odbudował kolonię Staszica i Lubeckiego, kto Żoliborz...

– Tam akurat WSM...

– No, tylko na Żoliborzu.

– I na Kole też.

– Niech ci będzie. Ale cały Mokotów. Kto naszą Ochotę postawił na nogi? Oni czy prywatna inicjatywa? Kto? – nacierał Lutek.

– Ale oni odbudowali ulice, kanalizację, gaz, elektryczność, fabryki. Nie wiem, co trudniejsze – Kazek niełatwo ustępował.

– A w tych odbudowanych domach to kto mieszka ? My ? – z goryczą w głosie wtrącił Marek.

– Kazek, do pioruna! To nie oni odbudowali, ale to wszystko myśmy zrobili. Twój stary właśnie. Gdybyśmy my nie chcieli, to guzik by zrobili, jak mówią Francuzi.

– Już kręcisz trochę inaczej niż przedtem. Ale myśmy widać chcieli dla nich to robić. To „dla nich” to zresztą jawna bzdura, gdyż my w tym mieście mieszkamy. Wszystko robimy dla nas. Dla siebie. Dla siebie czy dla nich, obojętne; jak chcesz, to jedno i to samo...

– W tym wypadku! – zauważył Marek.

– No tak, w tym wypadku, ale w ogóle to bałamuctwo, wszystko jedno, dla kogo i kto. My wszyscy dla nas wszystkich. Więc może i my będziemy chcieli odbudować prędzej i Starówkę, i całą Warszawę.

– I ty też już zaczynasz! – Lutek nieoczekiwanie wybuchnął gniewem. – Wszyscy, wszyscy na mnie. To ta przeklęta baba!

– Co bredzisz? Jacy wszyscy? Jaka baba? Kto? I oto z Lutka wylała się cała złość ostatnich dni.

To była awantura godna uwagi! – zbiegli się chłopcy z całego korytarza, z czterech sąsiadujących ze sobą klas.

Kilkanaście młodych gardzieli darło się podniecając walczących. Ci tarzali się po podłodze, tak szybko, iż trudno było ustalić przewagę – jego czy ich? Na pewno oni są górą – o tym byli przekonani wszyscy chłopcy stojący dokoła bijących się – więc nikt nie spieszył z czynną pomocą Trościance czy Kośnemu, dopingując ich jedynie okrzykami. Żaden głos jednak nie wsparł Lutka, nie był on lubiany przez kolegów. Raptem Kozłowski wyrwał się z kłębowiska ciał i stanął na własnych nogach. Obaj chłopcy z ZWM odskoczyli od niego; byli wprawdzie słabsi, ale obydwóm naraz Lutek nie mógł sprostać. Na moment bójka zamarła, stali naprzeciw siebie dysząc. Lutka peszył nie tyle podwójny przeciwnik, co okazywana niechęć kolegów; bowiem niedobrze jest nie mieć po swej stronie nikogo. Widocznie koledzy solidaryzowali się z gwałtowną reakcją, jaką słowa jego wywołały u Trościanki i Kośnego. Obaj jego przeciwnicy nie wyczerpali jeszcze swego animuszu. Musiał bić się dalej. Nawet mowy być nie mogło o rejtardzie, tak szczelnie opasał ich krąg gapiów. Lutek był zły na siebie, gdyby wiedział, że tak skoczą, trzymałby język za zębami.

Uniósł się, a oni sobie w kaszę dmuchać nie dali. Porwali się na niego krzycząc, iż zmuszą go do odszczekania tego wszystkiego, co plugawego powiedział na ich związek.

Reprezentowali bowiem organizację, z jej polecenia towarzyszyli Lutkowi na każdym kroku. Między sobą nazywali to „rekonesansem”. „Rekonesans – połowa wygranej”, wyrecytował któryś, z czym zgodzili się wszyscy. Taką decyzją zakończono dyskusję na gimnazjalnym kole ZWM nad sprawą kolegi, Lutka Kozłowskiego.

Szukając w gimnazjum sprzymierzeńców wychowawczo i ideowo sprawniejszych od nauczycieli starej daty Majewska musiała trafiać tylko i wyłącznie do samej młodzieży. Przewodniczący Kola ZWM, Franek Kurzydło, zobowiązał się roztoczyć nad Lutkiem specjalną opiekę, wciągnąć go do jakichś prac, które by zaabsorbowały ambicję i energię chłopca. Pod świeżym wrażeniem *Poematu pedagogicznego* Kurzydło zapalił się do tego zadania. Właśnie porównanie metod opisanych w *Poemacie* z konkretnym wypadkiem kolegi sprowokowało tak namiętną dyskusję. U Makarenki nieletni przestępcy mieszkali w internacie, poddani byli stałym rygorom, w swoim zaś gimnazjum Lutek przebywał z kolegami zaledwie kilka godzin dziennie. Jak zmusić go do życia w gromadzie i poddać uzdrawiającym wpływom zespołu? Oto sedno sprawy.

Zgodzili się na koniec, iż najpierw należy poznać tego, kogo chce się wychować. Dwóch kolegów z klasy Lutka, Trościanko i Kośny, podjęło się pedagogicznego wywiadu. Bardzo to sobie wzięli do serca. Wychowawca klasy, zbudowany planami oddziaływania na kiepskiego ucznia, łatwo pozwolił im przesiąść się na ławkę obok Lutka. Odtąd – to już dwa tygodnie – stale towarzyszyli Kozłowskiemu, o każdej szkolnej godzinie trzymali się blisko niego, na pauzach z chłopięcej gorliwości przekształcali każdą rozmowę w maleńki kurs polityczno-ideowy. Po lekcjach odprowadzali go do domu. Musiało się to skończyć awanturą!

Rzeczywiście – wynikła bójka! Stali naprzeciw siebie – uwalani kurzem, w pomiętych marynarkach, z wyciągniętymi krawatami, rozczochrani: pierwsza runda bójki była zażarta, choć krótka. Nawet zawiadomiony przez chłopców z ZWM Kurzydło nie zdążył przybiec z drugiego piętra.

Zwarli się powtórnie. W niewiele sekund Lutek leżał na podłodze, ku głośno demonstrowanej aprobacie widzów. Kośny siadł mu na piersiach i młócił go pięściami. Trościanko krępował obronne ruchy przeciwnika. A oto, rozgarnawszy gapiów silnymi dłońmi, nad bijącymi się stanął Kurzydło. Pełniona funkcja i przewaga dwóch klas uprawniały go do głośnej komendy:

– Dość!

Obaj zetwumowcy porwali się na nogi. Wolniej zbierał się Lutek, fizyczną porażką wytrącony z równowagi. Nie badając, kto winien, Kurzydło natychmiast i odruchowo Kozłowskiemu obarczył odpowiedzialnością za wywołanie bójki:

– Czego bijesz?

– Oni zaczęli! – niechętnie burknął Lutek.

– Sameś zaczął! – syknął Trościanko.

– Wyście pierwsi skoczyli na mnie...

– Ale tyś urągał! Franek, jak on urągał!

– Należało się.

– Ale nie, na pewno!

– Na pewno! Łazicie po piętach...

– Bo nam się tak podoba! – Kośny nie był pewny, czy na szalę kłótni wolno rzucić auto-rytet Koła.

– A mnie się podobało...

Ku cichemu oburzeniu zebranych, Kurzydło w pół zdania przerwał interesującą wymianę słów:

– Chodź – kiwnął dłonią na Lutka. – Chodź stąd. Coś ci powiem. – Chwyił go za ramię i pchnął przed siebie, skonsternowany chłopiec nawet nie stawiał oporu. Gromada gapiów rozstąpiła się przepuszczając ich. Kośny i Trościanko chcieli iść za przewodniczącym – ciekawi, co on powie! – ale ten wołał być sam z Kozłowskim. Doszedłszy do pustej części korytarza Kurzydło rzekł pierwszy:

– Po dobremu radzę: przestań się awanturować!

– To czego za mną łążą?

– Bo im kazałem.

– Ty? – głos jakby zadrzał. Lutek uprzytomnił sobie, że zadarł z organizacją, nie z dwoma chłopcami, o których sądził, iż go śledzą z własnej inicjatywy, chcąc, jak przypuszczał, skaptować go do Koła. A to było polecenie ich przewodniczącego. Przełknął zaczepne, już bulgocące w gardle, słowa. Wołał być ostrożny.

– Tak. Ja. To znaczy, wszyscy postanowiliśmy...

– ...mnie śledzić? – Lekką pretensję można było wyczuć w głosie Lutka.

– Towarzyszyć, nie śledzić. Dla twego własnego dobra...

– Dobra? Paradne! – Pasji swej nie mógł już utrzymać na wodzy. – Phii! Trzeci amator! Sędzia – pierwsza. Też tylko dla naszego dobra! Majewska – druga...

– Właśnie pani Majewska nas o to prosiła...

Dwa uczucia jak płomienie ogarnęły raptem Lutka: nienawiść do Majewskiej i strach przed nią! Od czasu aresztowania ojca chłopiec, spełniając życzenie matki, starał się unikać jakichkolwiek pretekstów do interwencji sądu. Regularnie zaczął chodzić do szkoły i co tydzień meldował się Majewskiej. Usłyszawszy o właściwej inspiratorce nadzoru, momentalnie opanował rosnący gniew.

– Boi się, że kogoś zamorduje? – Nie mógł powstrzymać się od szyderstwa.

– Może się i boi... – cedził Kurzydło każde słowo oddzielnie, uzyskując tym silniejszy efekt. Pojął, iż „rekonesans” Kośnego i Trościanki nie był pomysłem szczęśliwym. Miał pełną świadomość popełnionego błędu, lecz trudno się było do winy Koła przyznać wobec tego marnego złodziejaszka. A może należy zacząć zupełnie inaczej? Wygarnąć mu zaraz z początku prawdę w oczy, a nie łążić po piętach. Niech zadrży, niech to nim wstrząśnie! Kurzydło zaczął mówić cicho, z namysłem, przytrzymując Lutka za rękaw. – Powiem ci, że teraz, gdy my się dźwigamy z ruin, ta kradzież papy służącej do krycia nowych domów, ten karciany hazard we własnym mieszkaniu, te napady...

– Nie napadałem – wyszeptał Lutek.

– Może nie, ale może i tak! – Kurzydło powtarzał podejrzenia Majewskiej. Przerwał na moment zastanawiając się, czy chłopca obarczyć winą ojca. Chociaż... syn na pewno pomagał staremu. – To magazynowanie żywności dla późniejszego paskowania, to...

Lutek drętwiał. Co on mu jeszcze powie? Co on jeszcze wie ?

– ...to lekceważenie nauki szkolnej, w czasie gdy potrzebujemy najprędzej świątłych fachowców. To wszystko razem – teraz wypada uderzyć najmocniejszymi słowami z arsenału własnej wymowy – to już nie jest tylko młodociane przestępstwo, ale postępowanie wroga. Sabotażysty! – Kurzydło nie wiedział nawet, jak straszliwe uderzenia zadawał Lutkowi. – Tak, wroga. Opamiętaj się! Wszystko to czynisz – boczysz się na nas, unikasz, szczerzysz na nas zęby – jakbyś był jakiś zbój, faszysta, no ...hitlerowiec...

– Nie! – Lutek aż krzyknął w gwałtownym proteście. On hitlerowiec? Nie. Dlaczego? Obrażliwie dźgnęło słowo, którym go jeszcze nikt nie nazwał. – Nie!

– Boli cię! Aha! Ale jakbyś ty nim jednak był? Tak jest. Kto cię tam zresztą wie, coś ty za jeden? Nasz to ty nie jesteś...

Co on mówi? Co za dzikie aluzje? Nasz? Wasz? Nieczyste sumienie spazmem strachu zaatakowało serce chłopca. Czyżby Majewska czegoś więcej się domyślała. Opór stawiany ZWM może ją w podejrzeniach utwierdzić! Inaczej, inaczej trzeba gadać z Kurzydłą! Nauki Zenona są wszędzie ważne: sprytem – strach przeszedł w wyrachowanie – tylko sprytem!

– Ej! żartujecie. Takie wice. Hitlerowiec?! Tamto było jedynie nieszczęśliwym przypadkiem, który się już nie powtórzy. Nie mam najmniejszej ochoty na „poprawczaka”. Możecie mi wierzyć, nie opłaca się. Dawno już zerwałem z tamtym świństwem...

Desperacka elokwencja podsuwała mu zdania coraz to bardziej układne, grzeczne, ufryzowane. Podlizywał się wręcz Kurzydłu. Kajał się i płaszczył. Jeżeli oni uważają, że trzeba go jeszcze pilnować, to on się temu sprzeciwiać nie będzie. Bynajmniej. Uniósł się wprawdzie, ale gotów jest wszystko odwołać, przeprosić i Kośnego, i Trościankę.

Tego już było Kurzydłu za wiele. Zdziwiony, z rosnącym wstrętem – „chytryś ty, lisie, chytry!” – ale cierpliwie słuchał całej gadaniny. Dopiero gdy Lutek pokornie zgłosił gotowość „odszczękania”, nie wytrzymało pojęcie chłopięcego honoru i już chciał ostrym, brutalnym słowem raz na zawsze zerwać z Kozłowskim, gdy przypomniał sobie Antoniego Siemionowicza Makarenkę – czyż tamten nie miał ze swymi „gorkowcami” gorszych przejść? Rezygnować po pierwszej nieudanej próbie? Tchórzliwa rejterada przed bezczelnym smarkaczem! A obietnica dana Majewskiej? W Kole mają wychowywać się na mocnych komunistów, a kulą ogon przed pierwszą trudnością. Jak by to wyglądało ? A o nich, kolegach z ZWM, musi równie myśleć jak o nim, o Kozłowskim. Więcej nawet. A skoro więcej – tym uparciej trzeba dążyć do celu. Muszą się przecież nauczyć postępować z ludźmi, z nieszczęśliwymi, z przeciwnikami. Nie! Nie ustąpi. Nie wiedział jeszcze, jak dalej będzie postępował z Kozłowskim, ale wiedział, że po pierwszej porażce nie zejda z pola walki; tyle tylko, że zaprzestaną bzdurnego „rekonesansu”. I choć po głowie skakało mu wyzwisko „gnida, parszywa gnida”, którym by najchętniej rzucił w twarz płaszczącemu się szczeniakowi, to jednak opanował wstręt, nieufność i spokojnie zapytał:

– Skończyłeś?

– Chyba... chyba... chyba już. – Lutek plątał się niepewnie.

– Chciałbym ci wierzyć, ale jeszcze nie umiem. Słowa te musisz podmurować czynami, postanowieniami. My ci w tym pomożemy. My nie rezygnujemy. Rozumiesz! – Dzwonek wyznaczył koniec wielkiej pauzy. Kurzydło słuchał go z niemałą ulgą. Na dziś już miał dosyć tej rozmowy: bał się, że nie potrafi się opanować. – Wracaj do klasy. Pogadamy jeszcze kiedy indziej. Pamiętaj tylko, mamy cię na oku. Usłyszawszy odprawę, w sercu chowając urazę, pobity fizycznie i poniżony własną uległością, przerażony aluzjami Kurzydły – Lutek pobiegł jak zmyty. Nie starczyło mu odwagi stawić czoła Kurzydłu, ten był przecież od Radziszew-

skiego pod każdym względem silniejszy... Dopiero nazajutrz, gdy nie znalazł już koło siebie ani Trościanki, ani Kośnego, odetchnął i nabrał animuszu.

– ...zbiłem ich na jajecznicę. – Sam też oberwałeś nielecho! – Kazek był domyślny:

Lutek miał na czole potężnego sińca.

– Ale oni gorzej. Potem wygarnąłem przewodniczącemu tego ich ZWM, takiemu Kurzydle...

– To pewnie jego stary pracuje u nas na Trasie.

– Może. Dość, że już wczoraj żaden za mną się nie pętał. – Relacja Lutka z szkolnych kłopotów dobiegła końca. – Ale jak będzie dalej? Tak mnie otoczyli! Ojciec w ciupie! Majewska szpicluje. Teraz wy zaczynacie... – nawiązał do początku swych zwierzeń, choć już spokojnie; opanował się.

– Daj spokój takiemu gadaniu. Kto na ciebie najeżdża? Ojciec wyjdzie. Majewska nie jest taka zła. A my – to już chora wyobraźnia. Musisz się wziąć trochę w kluby. Nie histeryzować. Nie możemy robić głupstw, jak z tym Ra...

Kazek urwał na pierwszej sylabie. Nazwisko to samo cisnęło się na wargi – jak wyrzut, jak zbrodnia.

– Znów przypominasz! Ty... To przypadek...

– No... – Marek mimo woli wyraził powątpiewanie o tej przypadkowości, lecz ucichł. Już się tamto nie odstanie; a po co prowokować? Żeby straszło? Może przyschnie! Najważniejsze – nie ruszać! Bali się tego wszyscy.

Słońce opadając za wysokie mury wypalonego pałacu Paca przypominało o wyprawie. Na Miodowej milicjanci powoli zaprowadzali porządek. Ciekawscy, nie dopuszczeni do grabienia, rozchodzili się. Było ich coraz mniej.

Lutek wyłożył swój plan. Rozbiegli się w poszukiwaniu mocnego kija. Przyniósł go Kazek. Cierpliwie i cicho czekali nocy konstatając z zadowoleniem, że o zmierzchu, gdy tłum zmałał, milicjanci opuścili swe stanowiska, zostawiając tylko wartownika.

Późnym wieczorem zeszli z ruin na Podwalu. Ruszyli w stronę Długiej, skręcili w Kapitulną, doszli do Miodowej. Lutek i Kazek mieli ogłuszyć i skępować wartownika. Marek nie powinien mu się pokazywać na oczy. Kazek ruszył pierwszy, by jeszcze raz sprawdzić sytuację. Po kilku minutach wrócił krztusząc się od śmiechu.

– Pijany jak biała. Rozciągnął się przed wejściem i spi, że ha!

Okoliczności sprzyjały łowcom mitycznych dolarów.

Marek ostrożnie pozostał w tyle, gdy Lutek i Kazek krępowali wartownika. Do ust wsadzili mu knebel z chustki, przewiązali drugą, by nie mógł wypluć. Worek, który przyniósł Lutek przewidując odkopanie broni, zarzucili mu na głowę. Sznurem – Kozłowski był doskonale wyposażony na taką eskapadę – związali nogi i ręce. Chłop obudził się wprawdzie, ale ciężkie wino czyniło swoje: słabo reagował na zadawany mu gwałt. Rzucili go nieco dalej, między przemy cegieł.

Zegarek Lutka wskazywał dziesiątą.

W magazynie win znaleźli porzucone przez pijących kilofy i łopaty. Bardzo szczęśliwie – będą kopać razem. Zapalili świecę. W trzeciej piwnicy na lewo okienko było zasypane gruzem, mogli pracować spokojnie. Piwniczka niewielka, półtrzecia metra na cztery. Zenon powiedział, że kasa ukryta była w lewym rogu naprzeciw drzwi. Miała być zagrzebana płytka.

Lutek stanął na warcie. Marek i Kazek rzucili się do pracy. Ich kilofy pospiesznie zataczały mocne koła i rozbijały klepisko. Odrzucali w bok grudy stwardniałej gliny. Nie czuli wysiłku. Pospiesznie zryli metr kwadratowy, gdy żelazo narzędzi szczęknęło o jakieś kamienie. Jednak paczki z dolarami ani broni zamkniętej w specjalnych pudłach nie było. A przecież to nie puszka od konserw z klejnotami, jaką trudno znaleźć raz zakopawszy, lecz rewolwery, duże, automatyczne pistolety, pepesza. A tu nawet śladu tego wszystkiego.

Spojrzeni po sobie niewyraźnie.

– Zenon pomylił chyba kąty! – szepnął Marek. Zaczęli kopać w prawym rogu.

Znowu w milczeniu mocowali się z gliną. Mijały kwadransy. Lutek już trzykrotnie zapytywał o rezultaty – bał się, by znalazłszy dolary, nie schowali ich przed nim. Znowu kilofy szcęknięły o kamienne fundamenty. Lecz w prawym rogu też nic nie znaleźli.

Ogarnęła ich gorączka. Rzucili się w lewy róg przy drzwiach.

Z takim samym skutkiem.

Lutek przybiegał teraz co chwila. Wreszcie został z nimi. Zegarek z niepokojącą prędkością przekroczył północ. Cztery rozkopane kąty piwnicy były pustymi, głębokimi dziurami. Ostatnia świeczka dopalała się.

Zmęczeni, źli, nie wiedzieli, co czynić dalej.

– Ten cholerny Zenon nabrał nas! – wykrztusił Marek.

– Każdemu może się zdarzyć! – Lutek był zawsze gotów bronić „szefa”.

– Może ktoś już to wygarnął przedtem. Już dawniej. Zenon mógł tego nie wiedzieć. – To jedno Kazek potrafił znaleźć na usprawiedliwienie dawnego towarzysza broni. – Tu był sztab. Nie on jeden wiedział o zakopanych rzeczach.

– A może to jego nabrali?

– On nabrał czy jego nabrali, kogoś w każdym razie nabrali. Tym kimś jesteśmy my. A ściślej mówiąc – ja. Was kosztowało to tylko wysiłek jednego wieczora. Mnie – cały miesiąc mordęgi. Listy sobie dotąd mogłem spokojnie roznosić. A teraz?

Wszyscy odczuli straszliwy zawód.

Kilofy – pamiętał o tym Marek – złożyli w magazynie. Każdy zabrał ze sobą po dwie butelki wina. Za pryzmą cegły pijany wartownik spał dalej twardo: zmordował go jeszcze dodatkowy, acz bezskuteczny wysiłek oswobodzenia się z więzów. Jak mogli najdelikatniej, zdjęli mu worek z głowy, rozwiązali chustkę, rozciągli sznury na dłoniach i stopach. Knebel sam wypluje, gdy się obudzi.

Marek niósł w sercu okrutną złość na Zenona.

W mieszkaniu każdy zastał karteczkę od Zbycha z przyczepionym biletem. Zbych zapraszał ich na jutro do teatru.

Lutek znalazłszy jeden tylko bilet uznał to za nową swą porażkę. Oczekiwał większej ilości biletów – na handel.

Wartownik obudził się nad ranem. Wypluł knebel, gdyby nie chustka, skłonny byłby uwierzyć w koszmarny sen. Stwierdził, że ręce i nogi ma wolne. Karabin w porządku leżał obok. Pomyślał, że rabusie ograbili piwnicę z win i że on za to powędruje do paki. Przejął go dreszcz. Ranek był chłodny na domiar złego. Niepewnie powlókł się pod magazyn. Z lękiem zajrzał do środka. Butelki stały tak samo jak wczoraj przed wieczorem. Ani śladu jakiegoś rabunku.

Przeżegnał się. Przeciągnął. Postanowił na wszelki wypadek nic nie mówić.

Skoro świt zjechały transportowe platformy. Właściciel win osobiście rachował butelki. Było ich bardzo dużo. Promieniał więc radością. Wartownikowi wsunął jeszcze dwie butelki i nieco grosza, dziękując za staranną opiekę.

Z robotników Tybury tylko on sam, z bólem głowy, oraz Marek zjawili się na budowie. Wszyscy inni chorowali po winie – przyzwyczajeni byli do wódki – i urządzili sobie w czwartek „murarski poniedziałek”.

Pracy więc nie podjęto. Właściciel wywoził swe wina. Wartownik głęboko rozmyślał nad wydarzeniami nocnymi. Marek natomiast dziwił się jego milczeniu.

Debiut Jacka

Andrzeja Korneckiego, syna swej koleżanki, Majewska знаła jeszcze, gdy był dzieckiem. Mówił jej „ciociu”, choć przyjaciółka matki była mu najzupełniej obojętna. Śmierć Korneckiej w lipcu 1942 rozluźniła dawne więzy. Po wojnie Majewska rzadko widywała młodych Korneckich; sprzyjała temu nieobecność w Warszawie ich ojca, który zarządzał elektrownią na Dolnym Śląsku. Syn i córka mieszkali w Warszawie. Zosia formalnie uczęszczała na uniwersytet, poświęcając się intensywnie wydawaniu ojcowskich pieniędzy. Andrzej stawiał swe pierwsze redaktorskie kroki w najpopularniejszym dzienniku stołecznym w „Kurierze Wieczornym”. O nim przypominała sobie Majewska szukając zajęcia dla swych chłopaków z Ochoty. On skomunikował ją z Leją oraz z małym, ruchliwym, pełnym przedziwnych conceptów redaktorem „Kuriera”. Redaktor naczelny w lot chwycił okazję nowej atrakcji na „kontakt z czytelnikami”. Oczyma zawodowej wyobraźni widział już tytuł wywiadu z Jackiem Siwickim. „Kurier” wyglądałby w tym wywiadzie trochę jak dom pracy dla młodych kryminalistów, którzy pod opiekuńczymi skrzydłami redaktora przywracani będą życiu. Na szczęście Majewska zdołała mu wyperswadować tak niepedagogiczne szaleństwo. Jacka przyjęto do redakcji w charakterze gońca.

Wkrótce wszyscy w redakcji polubili Siwickiego. Był w miarę wesoły, dosyć solidny, wystarczająco uprzejmy. Nosił korekty, oddawał listy, skakał do drukarni. Przyzwyczajono się prędko do stukania jego kuli na korytarzu. Andrzej Kornecki mało się nim interesował. Miał zresztą dość własnych kłopotów zawodowych.

Kłopoty te nie były błahe.

Ojciec Andrzeja Korneckiego, pracujący po wojnie jako inżynier-elektryk, był człowiekiem poważnym i rozsądnym, obdarzonym przez naturę jedną tylko słabością: muzykował, składał rymy, coś tam szkicował – dla własnej przyjemności, bez pretensji, akurat tyle, by być koneserem, a nie grafomanem. I właśnie w Andrzeju domniemany talent ojca znalazł spadkobiercę. Niestety bez umiaru starszego pana, za to z wygórowanymi ambicjami.

Talent ten jak dotąd był tylko potencjalny. Młody Kornecki wprawdzie czuł wewnętrzne powołanie do tworzenia rzeczy świetnych, jednak jeszcze go nie zrealizował. Ten „potencjalny” talent łączył się z oryginalnym, niekoniecznie korzystnym dla młodzieńca w tym czasie i w jego wieku trybem życia: zapatrzony we własne jałowe pomysły twórcze, mało interesował się wszystkim, co działo się wokół niego. W czasie okupacji jak wszyscy koledzy konspirował na tyle, by się uważać za przyzwoitego Polaka, lecz nie w takim stopniu, by działalność konspiracyjna mogła mu uszczknąć choć chwilę czasu spędzonego wśród książek; czytał powieści nazbyt zachłannie. Wypadki zaszłe po wyzwoleniu nie poruszyły go specjalnie. Z reformami godził się, nie tyle z powodu przekonań, gdyż ich jeszcze nie miał, co przede wszystkim z lenistwa. Pozwalało mu to zamykać się w samym sobie niby w szklanej trumnie. Na życzenie ojca kończył prawo. Wśród paragrafów i komentarzy już przestarzałych, już zapóźnionych, a jeszcze nie unowocześnionych kodeksów, konserwował swą społecznie obojętną postawę życiową.

Dostrzegając wokół istny fajerwerk ciekawych debiutów literackich, szukał dróg przełamania własnej niemocy pisarskiej. Dnie i tygodnie trawił w swym pokoju, na suficie poszukując koncepcji fabularnych. Po skończeniu studiów, nie chcąc tracić kontaktu ze słowem

drukowanym, postanowił poświęcić się dziennikarstwu. Niedawno założony „Kurier Wieczorny” przeżywał okres wielkiej ofensywy: nakład szedł w górę, rozrastała się redakcja. A ponieważ mały redaktor twierdził, że łatwiej stworzyć dziennikarza rewolucji z młodego terminatora niż ze starego mistrza, więc Kornecki w przyciasnych pokoikach „Kuriera” znalazł swój pierwszy port życiowy.

I zaczęły się kłopoty. Trudno być dziennikarzem nie tkwiąc w nurcie spraw bieżących. W okresie rewolucji – zresztą i w każdym innym – gdy ważne wydarzenia narastają z ogromną prędkością, najmniejsza notatka informacyjna posiadać musi polityczne oświetlenie. Zresztą nawet czysta informacja, jeżeli taka w ogóle poza spisem repertuaru teatralnego istnieje, wymaga od piszącego kontaktów z życiem społecznym, narodowym, politycznym. I tutaj Kornecki był bezradny. Między nim a życiem tkwiła szklana zasłona. Widział, lecz nie słyszał. Nie słysząc – nie rozumiał. Nie rozumiejąc – musiał ograniczać swą pracę do skracania komunikatów prasowych rozmaitych instytucji: szukał tematu, nie umiał go znaleźć. A sprawy błahe nie zadowalały jego ambicji.

Nie bardzo szczęśliwie trafiła Majewska pragnąc, by właśnie Kornecki podsunął Jackowi absorbujące zajęcie, zdolne odciągnąć chłopca od marnego trybu życia. Młody redaktor sam też czegoś podobnego potrzebował.

– Oni tworzyli swego rodzaju bandę. Milicja, zdaje się, nie wszystko wykryła. Sąd jeszcze mniej udowodnił. Jestem jednak przekonana, iż paczka ta ma więcej grzechów na sumieniu, niż my o tym wiemy. Teraz rzną w karty i najprawdopodobniej się łajdaczą. Sądzę jednak, że każdego chłopca w tym wieku można porwać jakimś wielkim czynem, znaleźć mu pasjonującą pracę... – Kornecki pomyślał: „Dlaczego mnie nic nie porwało?” Nawet uczył żal! – ...bo ja wiem zresztą, coś, co on lubi! Zadanie związane z zamiłowaniem. Jacek bardzo chwalił sobie pracę w gazecie. Imponuje mu obecność w centrum pierwszych, najwcześniejszych wiadomości. Wiesz, czym był najbardziej podekscytowany wtedy, gdy tylko zaczął u was pracować? Zgadnij!

– Pojęcia nie mam!

– Wracając wieczorem z redakcji do domu spostrzegł na przystanku tramwajowym pana czytającego ze specjalnym zainteresowaniem tę samą stronę „Kuriera”, którą kilka godzin wcześniej Jacek nosił z drukarni do waszego redaktora i z powrotem powtarzając polecenie dokonania jakichś zmian. Chłopca olśnił natychmiastowy efekt roboty. Nie ma żadnego długiego czekania. Rano pracuje się nad numerem, a już wieczorem, po kilku godzinach, wszyscy ludzie w Warszawie mają go w swoich mieszkaniach. Wiesz co, może... może... może on mógłby wam coś napisać?

– Co też ciocia opowiada?

– Rozumiem, że nie tak jak inni redaktorzy, ale może ty byś go użył jako swego pomocnika. On by ci zbierał wiadomości, mimo swego kalectwa to ruchliwy chłopak. Daj mu jakieś zajęcie!

Rozmowa zafrapowała Korneckiego. Dawno marzył o znalezieniu tematu do wielkiego reportażu, którym by olśnił redaktora, poruszył czytelników, dał siebie poznać. Pomysł Majewskiej, że Jacek mógłby dostarczać materiałów, oraz jej informacja, iż posiada on czy posiadał jakieś konszachty z bandą kryminalistów, zarysowały Andrzejowi pewien plan. Mało się przy tym troszczył o prośbę Majewskiej i o ratunek dla Jacka. Sam dla siebie szukał deski ratunku.

Dostrzegł ją nagle. Prędko chciał wypróbować jej skuteczność.

Zadzwieczał dzwonek i jednocześnie wyskoczyła cyferka 9. Wzywa redaktor Kornecki. Jacek o kuli skoczył przez korytarz do najmniejszego pokoju. Zameldował się.

Andrzej Kornecki wprawdzie przed chwilą zadzwonił na Jacka, ale już teraz nie był pewien, czy potrafi przeprowadzić drażliwą rozmowę.

– Mój drogi. Przeszło dwa miesiące u nas pracujesz, chciałbym się dowiedzieć, jeżeli masz chwilę czasu, jak ci się tu wiedzie?

Na pewno nie w tej sprawie wzywa go ten mruk! To jest tylko wstęp. Jacek był sprytny.

– Doskonale. Rzeczywiście. Jestem panu bardzo zobowiązany za przyjęcie mnie do pracy. Rzeczywiście.

– No, a powiedz mi...

I rozmowa ugrzęzła w trzęsawisku pytań o powodzenie. Tak mijają się ludzie, których coś innego nie dopowiedzianego, skłania do kontynuowania dialogu, a którzy nie chcą czy nie mogą wyjawić od razu rzeczywistego powodu rozmowy. Ciekną tedy strumyki banalnych pytań i jałowych odpowiedzi. A każdy z rozmówców coraz niecierpliwiej stara się spotkanie doprowadzić do końca. Wreszcie redaktor zdecydował się. Wóz albo przewóz.

– Mam pewną propozycję. Możesz ją nawet traktować handlowo. Chodzi o to, że jestem teraz bardzo zapracowany. Powiem ci szczerze, po prostu piszę powieść. Ta absorbuje mnie całkowicie. A tutaj w redakcji ci dziennikarze wymagają, abym dostarczał im sensacyjnych reportaży z obecnego życia. Na przykład chcą, bym im napisał coś o... o... o... Żebym postarał się odkryć jakąś kradzież, zorganizowaną aferę. A ja piszę powieść i nie mam na to czasu. Pani Majewska mówiła mi kiedyś, że ty miałeś jakieś tam stosunki z młodymi złodziejzka-mi... – Kornecki dostrzegł grymas na twarzy Jacka. – Ja wiem, że tamto nie było nic poważnego, pomyślałem sobie jednak, że może mógłbyś mi pomóc. Dostarczyć od czasu do czasu takich właśnie wiadomości. Redaktor by się nie zgodził zapewne, byś ty to pisał, ale ja napiszę, a tobie oddam część wierszówki...

Wreszcie redaktor wydukał swą partię. Trudna była. Na domiar złego chłopiec mógł się obrazić za wypomnienie mu tej bandy.

Jacek milczał. Kornecki wiercił się niepewnie.

– No, co sądzisz o tym? Powiedz?

Wzruszenie malowało się na twarzy chłopca, lecz Andrzej tłumaczył je sobie opacznie.

Od pierwszego dnia pracy w „Kurierze” Jacek marzył, by zostać dziennikarzem. Niegdyś tak samo marzył o lotnictwie, po wypadku tramwajowym pustka otwarła się w jego myślach, nie umiał wyobrazić sobie swojej przyszłości. Teraz ją odnalazł! Imponowała mu wyjątkowość praw przysługujących wszędzie dziennikarzowi: gdzie zwyczajny śmiertelnik miał wstęp utrudniony, tam posiadacz legitymacji prasowej dostawał się bez trudu, na przykład na zawody sportowe czy do kina. Wyszadzi w powietrze ruiny Dworca Głównego, wyglądające z boku jak szubienica, z przodu jak gilotyna – dziennikarz do ostatniej chwili był obecny przy pracach minerskich. Potem to opisał i tysiące, tysiące ludzi czytało go jeszcze tego samego dnia. Cóż za wspaniały zawód, w którym cierpliwość nie jest cnotą.

Propozycja Korneckiego padła na grunt zasadniczo podatny. Tylko pytanie – co dostarczyć? Jak dalece można zdrzeć z Zenonem? Jacek był gotów poświęcić Zenona dla Korneckiego, dla perspektyw otwieranych przez tego ostatniego. Wymagało to jednak namysłu, więc milczał.

Andrzej Kornecki zrozumiał, iż zraził chłopca brutalną szczerością swej prośby. Należało załagodzić sprawę.

– Namysł się więc dobrze. Jutro mi powiesz.

Był przekonany, że Jacek przyniesie odpowiedź negatywną. Albo nie pojawi się wcale.

W istocie Jacek nie pojawił się ani nazajutrz, ani za dwa, ani za trzy dni. Z daleka kłaniał się Korneckiemu, lecz nie okazywał najmniejszej chęci kontynuowania ostatniej rozmowy.

Jacek rozmyślał. W duszy chłopaka rozstrzygał się dylemat: lojalność wobec kolegów, lęk przed Zenonem z jednej strony i realizacja pragnień z drugiej. Unikał przyjaciół, aż pewnego dnia idąc ulicą natknął się na Lutka. Kozłowski uderzył w kulawego kolegę całą najcięższą artylerią wymysłów. Pienił się, iż Jacek jeszcze ani razu nie dostarczył mu żadnych wiadomości z PDT.

Ciotka Jacka nie należała do osób specjalnie przestrzegających tajemnicy zawodowej. Wprawdzie zawsze poufnie, ale niejedną już sąsiadkę, wywdzięczając się za inne usługi,

uprzedziła o terminach nowych transportów tekstylii. „Ludzie muszą się wzajemnie popierać! Cóż to szkodzi – mawiała – odłożyć kupon dla znajomej? Płaci przecież tyle co i inni, w tej samej kasie. Nikogo nie okradam, a sobie zyskuję przychyłność ludzką. I towar nie leży długo w sklepie. Szybszy obrót – większy zysk, stale uczyli przed wojną.” Jacek jednak nie chciał otrzymywanych od ciotki informacji przekazywać Zenonowi. Trochę się bał swych stosunków z bandą. „Poprawczak” był zmorą nie lada! Zwłaszcza teraz, gdy w wyobraźni widział już siebie siedzącego w łoży prasowej na meczu międzynarodowym.

I oto, gdy Lutek zrugął go od ostatnich, w Jacku zagrała krew. Znalazł sposób. Od jednego razu utraci całą historię! Przesaną mu wtedy zawracać głowę.

W dziesięć dni po pierwszej rozmowie goniec redakcyjny zajrzał do pokoju Korneckiego. Młody aspirant dziennikarstwa dumiał samotnie nad zawiłym problemem skrótu kobylastej epistoły nadesłanej przez referat prasowy jakiejś instytucji. Nudne to było. Na Jackowe pukanie burknął: – Można. Chłopiec wsunął się do pokoju. Nie proszony, usiadł od razu na krześle.

– Niech pan redaktor weźmie ołówek i notuje. Rzeczywiście.

I oto Jacek odkrył redaktorowi Korneckiemu całą procedurę stałego znikania towarów, przywożonych w dużych ilościach do sklepów państwowych i spółdzielczych. Czego nie wiedział dokładnie, dofantazjował z dobrą wiarą, sprytnie zestawiając polecenia Zenona z opowiadaniem ciotki. Starannie tylko unikał szczegółów nazbyt osobistych, przede wszystkim nazwisk. Żywił przeświadczenie, że jeżeli „Kurier” napisze o tych spekulacjach, urwą się od razu, a wtedy Zenon przestanie zawracać mu głowę. Jednocześnie spełniał życzenie Korneckiego. Prosił go jednak o ścisłą dyskrecję co do źródeł tych rewelacji. W przeciwnym razie nie będzie w stanie dostarczać dalszych informacji.

Andrzej Kornecki dwa dni opracowywał otrzymany materiał. Gotowy utwór odczytał Jackowi. Chłopiec był zachwycony. Była to historia spostrzegawczego dziennikarza, który wykorzystując zdobyte przypadkiem hasło paskarzy handlujących tekstyliami, nabywa kupon wełny odłożony już dla uczestnika tekstylnego spisku. Ta nieco fantastyczna historia posłużyła za kanwę, w którą Kornecki whaftował całość otrzymanych od Jacka informacji o organizacji wykupywania tekstylii z domów towarowych i sprzedawania ich w pasku po kilkakroć wyższej cenie. Nie była to wprawdzie ta trudna sztuka pisarska, o której śnił kandydat na twórcę, ale był to już konkretny dowód odsłaniając redaktorowi naczelnemu rąbek możliwości kryjących się w aspirancie dziennikarskim Andrzeju Korneckim.

Naczelny był zachwycony. Tydzień jednak zastanawiał się, czy podobnie brutalny atak na nieuczciwych subiektów domów towarowych będzie posunięciem słusznym. Ale na koniec polecił artykuł drukować.

W kwietniowe popołudnie, nazajutrz po niefortunnej wyprawie trzech przyjaciół do piwnicy na Miodowej, cała Warszawa przeczytała w „Kurierze Wieczornym” rewelacyjny opis machinacji w dystrybucji spółdzielczej.

Jacek był głęboko wzruszony. Wycięty artykuł ulokował w wewnętrznej kieszeni – na sercu. Grzecznie potakiwał ciotce, gdy ta siedziała się na pismaków wtykających nos nie do swoich garnków i utrudniających w ten sposób życie.

– Co im szkodzi, że sprzedają znajomym. Zazdrość, że nie im. Sprzedają uczciwie. Państwo grosza na tym nie traci ani ja nie zarabiam. Przysługę dobrym ludziom tylko wyświadczam.

Jacek z zasady nie podejmował dyskusji z ciotką. Dziś przy tym spieszył się szczególnie. Do teatru. Pierwszy raz w swym życiu. Na zaproszenie Zbycha. Pośpiech jednak nie przeszkodził mu jeszcze trzykrotnie przeczytać ukradkiem swój artykuł.

Pasażerowie z bagażem

Garski pchnął chłopca dłonią w plecy. Już czas. Obaj stali przed drzwiami z dykty, którymi Zbych musiał wyjść na scenę. Czynność wielokrotnie wykonywana na próbach – teraz, zgodnie z przepowiedniami kolegów, napawała go niepokojem. Nie to, żeby się trząsał czy bał – czuł pewne opanowanie swych ruchów – ale krępowała go obecność na widowni przyjaciół; cóż oni powiedzą na to wszystko? Garski przynaglał ostro:

– No, idźże, już, idź!

Ze sceny dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Cichutko grała orkiestra, z tonów smutniejszych przechodziła w bardziej pogodne. Teraz należało nacisnąć klamkę i ostrożnie, na palcach, wsunąć się na scenę.

Uchylił drzwi, wysunął głowę i najpierw, zgodnie z tekstem sztuki, omiół pokój badawczym spojrzeniem.

Wszedł. Pan Janusz – tak poufale tytułowano znakomitego aktora – siedzi na łóżku z twarzą w dłoniach. Zbych więc rozgląda się dalej, penetruje wzrokiem dekoracje, ostrożnie przechodzi dwa kroki ku środkowi. I na koniec pierwszy raz zwraca swe wielkie, niebieskie, piękne oczy ku widowni. Ta wydaje mu się czarną ścianą naznaczoną jaśniejszymi plamkami – nie odróżnisz poszczególnych twarzy! Od ściany tej napiera gorąca fala, wyczuwalna od razu na uszmińkowanej twarzy. Zza dekoracyjnej dykty dochodzi szept suflera, donośny jak okrzyk! Zbych konstatuje, że gardło ma normalnie wilgotne, nie suche, że panuje nad swym językiem, nie splanuje go.

Gaston słysząc kogoś kręcącego się po pokoju unosi, zdumiony, głowę. Zbych już musi mówić:

– „Bardzo pana przepraszam. Ale może będzie pan mógł mi powiedzieć. Szukam pewnego miejsca.”¹ Mówi płynnie. Gdzież przepowiadana trema?

– „Pewnego miejsca? Jakiego pewnego miejsca?”

– „Pewnego miejsca, gdzie można być spokojnym.”

Ktoś na widowni parsknął śmiechem. Teraz śmieje się Gaston, czyli pan Janusz.

– „Jak to się świetnie składa. Wyobraź sobie, że ja również szukam pewnego miejsca, gdzie można być spokojnym.”

Zbych musi odpowiedzieć bardzo serio, jak chłopiec nad wiek poważny, chowany wśród dorosłych.

– „Zadaję sobie pytanie, kto w takim razie mógłby nam je wskazać.”

– „Zadaję sobie to samo pytanie.”

– „Ale jeżeli będzie pan tutaj siedział, to naprawdę trudno będzie panu znaleźć to miejsce.”

– Chłopczyk mówi to poważnie. Teraz spostrzega rozbite lustro. Zza dykty dociera doń szept pouczenia: – Zdziwienie!

Zbych gwałtownie moduluje głos.

– „Ojej! To pan to zbił?”

– „Tak, to ja!” – Równocześnie słyszy dwa zdania:

odpowiedź Gastona i zza sceny wskazówkę Carskiego: – Serio!

¹ Anouilh, *Pasażer bez bagażu*, tłum. B. Korzeniewskiego

– „Domyślam się, że musiało panu być bardzo nudno. Ale niech mi pan wierzy, lepiej przyznać się od razu. Jest pan dorosły i nic nie mogą panu zrobić...”

Zenon! Cóż Zenon mógłby uczynić dorosłym? A jemu... Z widowni strzeliły nagle oklaski.

Słyszając, jak Zbych doskonale wypowiedział kwestię Chłopczyka i jakie otrzymał brawa, Garski omal nie krzyknął głośno z zadowolenia. Co znaczy mieć nosa! Ha! A tak się z nim chandryczyli! Jeszcze w czasie prób Starosolska intrygowała, by Chłopczyka grał jej bratanek. Tłumaczyła Carskiemu, że Zbychem położą akt trzeci. Tam są przecież najkapitałniejsze miejsca w całej sztuce. A tu! Ten ton, ten wspaniale naiwny ton: „...lepiej przyznać się od razu. Jest pan dorosły...” – to sukces starego aktora. Czuł po prostu fizycznie, że chłopak nada się. Ież jednak nalykał się złości, gdy dla przeforsowania swego Chłopczyka uruchomił nawet machinę partyjną. Garski był dumny i szczęśliwy.

Szczęśliwa była i Majewska. Przed rozpoczęciem przedstawienia Kazek szepnęła jej, że został w fabryce przodownikiem, teraz Zbych święci triumfy.

Madejowej łzy wzruszenia potoczyły się po twarzy. A czwórka z Ochoty solidarnie uruchomiła swoje krzepkie dłonie, by wyrazić podziw dla kolegi, który im naprawdę zaimponował, może nie tyle nawet grą, ile uznaniem całej sali.

Gdy zahuczały oklaski, pan Janusz dał znak dłonią, by Zbych na chwilę przerwał kwestię, aż ucichną. Czekając pomyślał przez mgnienie o Garskim. Z wdzięcznością!

Garski, aktor o dużych zdolnościach, prócz talentu odznaczał się zaletami serca i umysłu, był dobry i mądry, w każdym więc zespole rychło stawał się jakby aniołem stróżem, powiernikiem aktorów, opiekunem początkujących „szczurów”, mężem zaufania, gdy tego rodzaju funkcja społeczna została ustanowiona, a następnie sekretarzem Koła Partyjnego.

W okresie międzywojennym znany był ogólnie jako czynny sympatyk lewicy społecznej. Wojnę przeżył w Związku Radzieckim i w randze kapitana I Armii powrócił do kraju, by z trzygwiazdkowego oficera po zdemobilizowaniu z powrotem stać się cywilem.

Do niego dotarła Majewska. Porozumieli się łatwo. Gdy rozpoczęto prace nad sztuką z rolą chłopięcą, Garski postawił kandydaturę Zbycha. A ponieważ każdy z członków artystycznego i administracyjnego zespołu ma swych pupilów, którym chciałby zrobić przyjemność połączoną z zyskiem pieniężnym, Garski pokłócił się z całym niemal teatrem. Na koniec argument pedagogiczny: „przede wszystkim musimy ratować człowieka”, uzyskał aprobatę Koła Partyjnego, a z pomocą tego autorytetu przekonał Garski dyrekcję teatru.

Dziś okazało się, że sprawę wygrał. Artystycznie, w stosunku do teatru – na pewno! Czy i w stosunku do chłopca pedagogicznie?

Gaston wskazał miejsce, którego szukał Chłopczyk. Zbych na chwilę zszedł ze sceny. Za kulisami wpadł w objęcia Garskiego. Stary aktor serdecznie uściskał smarkacza, nie bardzo przy tym wiedząc, co ma powiedzieć. Zbych zrozumiał, że w ten sposób chciał mu dodać otuchy, której mu jednak już nie brakowało.

Wrócił na scenę.

Teraz Chłopczyk gładko opowiadał Gastonowi – pan Janusz uśmiechał się doń tak przyjaźnie! – niezwykłą sytuację swego pogmatwanego dzieciństwa. Garski mógłby nie szeptać za sceną. Zbych doskonale pamiętał każde słowo małego „wujka Madensale”. Nie obchodzili go ludzie na widowni – niewyraźnej, ciemnej i przeraźliwie gorącej. Pouczenia reżysera kierowały nim podświadomie. Zachowywał się swobodnie, lecz grzecznie, był przecież – na tej scenie – wychowankiem arystokratycznej szkoły angielskiej. Podczas prób przypominała mu się własna matka, zawsze starannie dbająca o maniery syna. Rozwiały się one gdzieś w powojennym wirze, lecz tutaj, na scenie, Zbyszek Moczarski, oznaczony w programie trzema niemymi gwiazdkami, był znowu synem poznańskiego architekta, którego twarz pamiętał jedynie z fotografii. Chłopczyk ze sztuki też nie znał swej rodziny. Obaj – Zbych i Chłopczyk – nie mieli już nikogo.

– „Jak to, więc wszyscy nie żyją?” – pytał Gaston Chłopczyka.

– „Tak, ale – wie pan – nie trzeba patrzeć na mnie w ten sposób. To wcale nie takie smutne. Byłem jeszcze malutkim dzieckiem, kiedy zdarzyła się ta katastrofa... Prawdę mówiąc, nawet tego nie spostrzegłem.”

„Jak on to potrafi? – zdziwiła się w tym miejscu stara Madejowa. – Gra przecież jakby siebie, a jednak nie siebie. On pamięta matkę. Jak więc to robi, że każde słowo jest takie szczerze!”

Madejowa знаła treść przedstawienia. Od trzech miesięcy teatr ogarnął Zbycha całego. Rano jak strzała pędził na Puławską, niechętnie udzielał się szkole – tyle tylko, by jakaś nagana ze strony sądu nie pozbawiła go teatru – każde przedstawienie kończyło się dlań zbyt wcześnie. Majewskiej, którą polubił, zwierzał się ze swych marzeń: pragnął zostać aktorem! Na to jednak należało zrobić maturę i kształcić się w wyższej szkole. Majewska zamierzała już odebrać chłopca z teatru, postarać się o miejsce w gimnazjum, prędzej zda maturę, prędzej pójdzie do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Sędzia Wilczyńska jednak doradzała cierpliwość, nie było jeszcze wcale pewne, czy chłopiec w istocie ma zdolności aktorskie, czy jedynie podnieca go świat teatralnej baśni. Gdy Zbyszek dostał rolę Chłopczyka, ogarnął go szła radości. Co dzień wieczorem odgrywał przed Madejową pantomimy, recytował dialogi. Przy okazji opowiedział jej całą sztukę: fatalne dzieje kontuzjowanego żołnierza frontowego, który utracił pamięć tuła się długie lata po szpitalach, na koniec dostaje się pod opiekę starszej damy pragnącej odnaleźć jego prawdziwą rodzinę. Rodzina się odnajduje; Gaston – skonfrontowany z ludźmi i przedmiotami znanymi mu w młodości – odzyskuje pamięć, lecz przypomina sobie, że młodość jego była okrutna, że ponura zbrodnia obciąża jego sumienie. Wtedy zdaje sobie sprawę z faktu, iż przyznając się do rodziny będzie też musiał podjąć cały ciężar swego młodości, swego zbrodni. Świadomie wypiera się matki i brata, rozmyślnie uzurpuje sobie pokrewieństwo z Chłopczykiem, którego nieżyjąca rodzina nic mu nie będzie w stanie przypominać ani wypominać. Nie chce dźwigać straszliwego bagażu przeszłości. Madejowa go rozumiała i w trakcie prywatnych, wieczornych prób powtarzała Zbychowi:

– Taki jest każdy człowiek: zapomnieć chce wszystko, co ludziom złego narobił. Twój Gaston to dobry drań!

Lecz Gaston inny był w opowiadaniach chłopca, a inaczej prezentował się teraz na scenie: oto przystojny, szpakowaty mężczyzna o przyjemnym niskim głosie. „Może to i dobrze się stanie, że właśnie Zbych z nim... Cóż za bzdury?” – zachnęła się, łapiąc się na myleniu fikcji z rzeczywistością.

Przedstawienie dobiegało końca. Chłopczyk stwierdził już, że Gaston jest jego siostrzeńcem. Mecenas Pickwick był uradowany: w wypadku nieodnalezienia zagubionego siostrzeńca spadek Chłopczyka przejść miał w ręce dalszej rodziny, a poczciwy adwokat otrzymywał przecież procent od wszelkich spraw swego klienta i przyjaciela. Gaston dopiął swego: miał rodzinę małą, młodą, bez żadnej przeszłości. Niczym w średniowiecznym romansie, po znamięniu na ciele – Mecenas porozumiawszy się dyskretnie z Gastonem stwierdził, że zaginiony siostrzeniec też miał pod lewą łopatką małą bliznę – bezspornie ustalono pokrewieństwo.

Gaston czule ścisnął odnalezionego kuzynka. Kurtyna opadała i podnosiła się kilkakrotnie, publiczność stojąc darzyła swym entuzjazmem zarówno pana Janusza, jak bezimiennego, ale świetnego chłopca. Obaj musieli się kłaniać.

– To zupełnie głupie! – apodyktycznie orzekł Jacek, gdy razem z debiutantem wracali na Ochotę. Obie panie szły nieco przed nimi. – Rzeczywiście. Chciałbym zobaczyć żywego faceta, który by zapierał się rodziny, matki, nawet gdyby od nich doznał przykrości. A przecież temu Gastonowi wszystko dawno zapomnieli, wybaczyli. Rzeczywiście.

– Bał się widać, by po pierwszych tygodniach radości znowu nie przypomniano mu dawnych grzechów. – Zbych był solidarny z autorem. Słowami usłyszanymi na próbach interpretował sztukę.

– E! Jakiś tam Francuz, widocznie zawsze miał rodzinę w porządku. Rzeczywiście.

– Nie bądź frajer. Niejeden ma dosyć swojej rodziniki. – Kazek nie lubił macochy, nieraz poróżnił się z ojcem. – Zbychu, twój Chłopczyk to naprawdę szczęściarz.

– Mnie się to wydaje mocno przesadzone. – Marek kochał serdecznie matkę. – Pomyślcie, tyle czasu, tyle lat bez domu, bez nikogo bliskiego, sam zupełnie. I potem nie chce wracać! Kukła nie człowiek!

Maszerowali z obu stron Zbycha – jak nigdy przedtem – czcząc w nim bohatera dzisiejszego wieczoru. Szli środkiem jezdni, gdyż chodniki Polnej pełne były jeszcze wojennych, nie uporządkowanych wyrw. Niebo prześwitywało przez wypalone okna gmachów Politechniki. Plac przed uczelnią był jeszcze bardzo zrujnowany, lecz Nowowiejska już żyła szpitalnym masywem. Minęli pusty cokół pomnika sapera wsunęli się między ciche, odbudowane wille Kolonii Staszica.

Młodzieńcza dysputa przybierała na sile. Zbych bronił sztuki, chłopcy atakowali. Jackowi i Markowi ucieczka od rodziny wydawała się absurdem. Kazek, choć rozumiał, iż są wypadki, gdy lepiej rodziny nie mieć, nie był w stanie pojąć, po co takiej błahostce poświęcać tyle uwagi. Przeżyli zbyt prawdziwe, zbyt wielkie tragedie indywidualne i narodowe, by mieć zrozumienie dla subtelnych rozważań psychologicznych autora uwikłanego w paradoksy ludzkiego charakteru. W tym teatrze nie było awanturnicznych przygód, jakie oglądali na filmach. I choć Zbych łykał lzy, namiętnie broniąc Anouilha, przyznali mu tyle tylko, że choć bujda, ale ciekawa! Tym przekonali się trochę do teatru.

Wreszcie Zbych zaryzykował ostatni argument:

– Dziwicie się Gastonowi, że nie chce wracać „do przeszłości ani do rodziny. Może z tą rodziną macie rację. Ale z przeszłością? A czy my sami nie chcielibyśmy uwolnić się od naszej przeszłości? Od tego, co było przed wyrokiem, od wyroku i od tego, co się stało na Niegórskiej?

Znowu wypłynęła Niegórska. Kazek z niepokojem spojrzał na Lutka nie biorącego udziału w dyskusji. Kozłowskiemu sztuka podobała się naprawdę. Od końca przedstawienia Lutek rozmyślał nad tym właśnie, czego Zbych użył jako ostatecznego argumentu. Nad własnym losem.

Lutek całą namiętnością młodzieńczej duszy nienawidził spraw dziejących się wokół. Starsi jeszcze podsycali w nim to uczucie: ojciec, matka, Zenon, wielu innych, on jednak nienawidził i ich również, też przecież tkwił w tej rzeczywistości. Czasem Lutek zazdrościł bohaterom swych ulubionych powieści. Gdy jego koledzy czytali historie awanturnicze, on szukał sielankowych romansów, gdzie nieokreślonego wieku bohaterowie pędzili swe życie bez nadmiernych przygód, bez namiętności politycznych, bez wielkich konfliktów, wesołe i puste. W burzliwym kołowrotku swej własnej młodości tęsknił do starczego spokoju. Widziana dzisiaj sztuka nie była dla niego bzdurą, jak ta sprzed trzech lat w Teatrze Polskim. Rozumiał Gastona, nieraz chciał uciec przed kolegami, przed matką i ojcem, schować się w mały kąt, nie szarpać się, nie bać się. Nie bać się! Argument Zbycha dotknął głębi jego własnych myśli. Chciałby wyrzucić za burtę bagaż Niegórskiej, ale wiedział, iż na to nie ma sposobu – więc po co gadać!

– Znów strzępisz język, a bilety w lesie! – Byle czym szachował nowy atak kolegów. Jednak dziś Zbych był pełen wiary we własne siły i jak nigdy stanął okoniem.

– Z biletami możesz się pożegnać. U nas pracują uczciwi ludzie, a byle łajdusy nie stoją pod teatrem w ogonku, byś mógł z nimi kombinować!

– Oooo! – Lutek gwizdnął przeciągle. – Zwracam panu, panie Moczarski, uwagę, że w ten sposób nie mnie odmówiono biletów, tylko Zenonowi, a ten chyba inaczej będzie rozmawiał...

– Jeszcze zobaczymy, kto z kim będzie rozmawiał. – Marek ujął się za małym. – My też chcemy z Zenonem rozmawiać za tego wczorajszego balona...

- Jego też mogli oszukać.
- Taki cwaniak: Cy-cy-cy. – Kazek wziął stronę Marka.
- Rzeczywiście. Nie strasz, Lutek, Zenonem, bo my możemy Zenona postraszyć. Rzeczywiście. Kota mu podpędzić.

I rozpoczęła się kłótnia.

Mogli to czynić, gdyż nikt ich nie słyszał. Przechodzili Małpim Gajem – tak za czasów okupacji chłopcy ochrzcili niewielki park rozciągający się wzdłuż ulicy Dantyszka. O tej ciemnej, ale jeszcze zbyt chłodnej porze rzadko kryli się tutaj poszukiwacze wieczornych mroków. Trawniki były gołe, a badylaste krzewy bez listowia. Tylko kwadraty okien w odbudowanych domach świeciły dokoła i gasnąc po kolei układały miasto do snu. Od Filtrowej głośniejszą niż w dzień huczał tramwaj. Przy Solariego stał na warcie ziewający żołnierz. Mijając go przycichli w swym sporze. Lecz tylko na moment.

To Marek głównie atakował Zenona, reprezentowanego w tym wypadku przez Lutka. – Wymyślał, że zawierzywszy niebacznie jakimś podejrzanym planom „szef naraził go na zbędny wysiłek, na niebezpieczeństwo wykrycia, na ewentualność „poprawczaka”. Kazek obciążał Zenona winą za mord popełniony na Radziszewskim. Jacek przygadywaniami dolewał oliwy do ognia. A Zbych milczał – przerażony nie na żarty.

W ich duszach lagł się jakiś wielki żal. Dawno już zapomnieli o pobudkach, które w 1946 skłoniły ich do podporządkowania się rozkazom Zenona. Wyparowały tęsknoty za konspiracyjnym wyżyciem, jakiego za okupacji dziecinny wiek doznać im nie pozwolił, chcieli więc nadrobić stracony czas. Dziecinna podróż w poszukiwaniu utraconej przygody przedsięwzięta z zazdrości żywionej wobec starszych nie mogła trwać lata. I choć zapytani nie potrafiliby rozsądnie odpowiedzieć, to jednak dobrze czuli, że z marzeń o bujnej awanturze pozostał tylko złodziejski żużel. Zamiast zamachów, eksplozji, bitew, tajemnego kolportażu – co czynili ich starsi bracia i koledzy walcząc z najeźdźcą hitlerowskim – ich udziałem stała się tylko hochsztaplerka, kieszonkowe machinacje, przedmiejski bandytyzm, zabójstwo. I każdy z nich znał już to paskudne uczucie przeraźliwego lęku ogarniającego na myśl, że można się znaleźć w zamknięciu więziennym, że można być oddzielonym od bujnego życia pełnego takich uroków, jak świeży tynk odbudowanego domu, jak otwarcie mostu Poniatowskiego, kiedy to nawet oni, smarkacze, judzeni przez Zenona, dali się unieść fali powszechnej radości i dumy. Podświadomy żal do Zenona, że zamiast świetnej konspiracji dał im złodziejskie tarapaty, że szumna nazwa „Złotej Włóczni” nie miała żadnego odpowiednika w ich codziennym życiu, ten żal z całą siłą bluznął teraz na Lutka, wiernie stojącego przy „szefie”. On jeden z całej paczki przyjaciół miał z rewolucyjnym reżimem porachunki wpływające nie tylko z niewyżytych marzeń szczeniackiej konspiracji – rewolucja zwichnęła marzenia jego ojca.

Nie wiedzieli, że z innych pozycji patrzą na sprawy ich otaczające. On z pozycji rodziny, która straciła, oni – środowiska, które zyskiwało. Dozorczyńni Madejowa miała teraz mieszkanie na parterze, a nie stróżowską suterенę jak przedtem. Ciotka Jacka jest teraz ekspedientką, choć przed wojną była tylko sprzątaczką w wielkim biurze handlowym. Matka Marka była samodzielną robotnicą i często powtarzała, iż dawniej mogłaby być jedynie wdową pozostającą na społecznej opiece. Ojciec Kazka zapomniał o dawnych długich latach bezrobocia. I choć na brak towarów w sklepach wyrzekali tymi samymi słowami, co niegdyś na brak pieniędzy, to jednak wyrzekania te były inne: teraz mieli zapewnione środki do życia, teraz nie bali się, że mogą zostać bez pracy. Wyrzekając na powojenne dolegliwości, nie rozumiejąc zawiłych spraw ekonomii politycznej, czynili to już jednak z pozycji zupełnie różnych od przedwojennych. Kłótnia chłopców wszystko wyraziła.

W pewnej chwili Lutek miał już dość samotnego potykania się z kolegami. Nieskutecznie parował ich ciosy groźbami, złorzeczeniami, insynuacjami. Naraz – gwałtownie skręcił w Raszyńską i po prostu uciekł bez słowa. Umilkli nagle.

Gdy zabrakło przeciwnika, Marek i Kazek stracili kontenans. Odczuli wyraźnie, iż ich bunt spotka się z odprawą Zenona. Marek wiedział, że „szef nie cofnie się przed realizacją pogrózek. Czy nie lekkomyślnie postąpili?

Milcząc doszli na Barską. Fatalnie kończył się dzień. Każdy ruszył do domu. Tylko Jacek pokuszył się jeszcze kawałek ze Zbychem i podjął przerwana w Małpim Gaju dyskusję:

– My to jesteśmy jak ten na scenie. Rzeczywiście. Mamy za duży bagaż.

– A widzisz. Rozumiesz teraz Gastona. Jak mówiłem...

– Tylko że nam trudniej pozbyć się tego bagażu niż jemu. Rzeczywiście. Jak Zenon weźmie nas na kiel, od śmiechu się nie powstrzymamy. Pójdiesz ty z teatru, ja... – Przeraził małego.

Druga przysięga

W kawiarni był tłok. Między stolikami stali zawiedzeni goście na próżno wypatrując wolnego miejsca. Dwa razy musiał przejść się po obszernej sali, nim dostrzegł pod ścianą „Szefa” siedzącego w towarzystwie młodej, przystojnej blondynki; Lutek znał ją z widzenia. Nie pierwszy raz szukał w tej kawiarni Zenona. Ten ujrawszy chłopca uśmiechnął się doń znacząco. Lutek wyszedł z zatłoczonego lokalu i pospieszył na róg Kruczej. Za chwilę był tam i Zenon.

– Szefie! Chłopaki buntują się. – I Lutek opowiedział wszystko ze szczegółami.

Rebelia chłopców nie zaskoczyła Zenona, liczył się z nią już od dłuższego czasu, w miarę jak Lutek donosił mu o nastrojach szerzących się wśród podkomendnych. Prawdziwą niespodziankę sprawiła mu natomiast pusta piwnica. Dopiero teraz uznał za prawdopodobne, iż któryś z kompanów towarzyszących mu w zakopywaniu kasy sztabowej przed ostateczną ewakuacją Starówki mógł wcześniej dobrać się do skarbu. Zdziwiłby się jednak niemało, gdyby wiedział, iż ukryte przezeń dolary, nim ziemia przyschła, wydobył uczestnik zakopywania w godzinę potem, gdy sztab odcinka, pewny bezpieczeństwa kasy, opuścił schron na Miodowej.

Zniknięcie skarbu, nie mogące mieć żadnych złych następstw, wywołało zdumienie. Bunt chłopców – choć oczekiwany, był niebezpieczeństwem, które należało zażegnać. Nastręczały się dwa sposoby: pozbycie się chłopców lub ich odzyskanie! Lutek odebrał stosowną instrukcję.

W nocy spadł gwałtowny deszcz, wszystko się zazieleniło. Młode listki pokryły drzewa w alejach, w miejscach zaopatrzonych w tabliczki z napisami: „Nie deptać trawników”, wypełzła spod ziemi trawa, chwasty na ruinach nabrały nowej energii. Parki zaroily się niedzielnyymi spacerowiczami.

Jacek z Markiem, oddzielnie Zbych z Kazkiem, parami, wędrowali na spotkanie z „szefem”. Gdy Lutek przyniósł im kategoryczny rozkaz, by w niedzielne południe zameldowali się w lesie koło Anina, początkowo nie chcieli go spełnić. Co im tam! Dość zawodów sprawił im ostatnio Zenon! Lecz Lutek znał słabe strony przyjaciół. Nie próbował zresztą rozmawiać z każdym z osobna. To należało do Marka. Przekonać Marka – było zadaniem Lutka. A Marek mający wpływ na kolegów, rozzgnięty, nie uparty głupio – łatwo poddawał się rozsądnym, nawet tylko z pozoru, argumentom, a raz przekonany, szybko przerzucał się w drugą ostateczność.

Lutek dysponował argumentem łatwo przemawiającym do rozsądku. Zawsze nim skutecznie niewolił kolegę. Marek czuł zresztą to jarzmo, lecz nie był zdolny wyłamać się. Wy tłumaczenie było niezwykle proste. Każdy mimo woli odsuwa od siebie nieszczęście, choćby to miało być jedynie jego odroczenie. Żaden rozsądek nie wierzy w przysłowie, że co się odwlecze, to nie uciecze; ileż doświadczeń, że odwleczone, znikają na zawsze!

Pod groźbą denuncjacji Marek ugiął się miękko. Lutek nie przerachował się. Kozioł przemówił chłopcom do rozsądku, należało spotkać się z Zenonem.

Dwukrotnie zmienili tramwaje, by znaleźć się na wschodnim krańcu stolicy. Patrząc na przedmiejską niechlujną, potworną brzydotę Pragi, lewobrzeżny warszawiak wzdychał głębo-

ko, wyrażając skrycie bratobójczą, zazdrosną myśl: dlaczego powstanie oszczędziło Pragę, a nie Śródmieście czy Starówkę? Grochów drażnił mieszaniną stylów: wielkie kamienice obok maciupieńkich chatynek, wszystko jakby wetknięte w ziemię, z której wyrosnąć nie było powinno. Tu i ówdzie remonty. Wreszcie pętla tramwajowa na granicy miasta i wsi, chudej, nędznej i piaszczystej.

Niedługi spacer przez wydmy upstrzone wielkomięjskim śmieciem i oto lasek sosnowy, nie bardzo podły jak na okolice Warszawy, ale i nie bardzo tęgi jak na leśną normę. Na skraju czekał już Lutek. Zapilotował na miejsce schadzki.

U skrzyżowania przesieków spotkali „szefa” w towarzystwie trzech innych wyrostków, osiemnasto-, dwudziestoletnich. Ujrawszy ich Jacek już wiedział, kto napadał ludzi na Szczęśliwickiej. Wygląd ich dokładnie pokrywał się z zeznaniami świadków. Ubrani byli różnorodnie, lecz pospolicie – długie spodnie brązowe i szare, niechlujne jesionki z pozaginanymi rogami kłap, kiepskie kaszkiety – jak trzeba, by nie wyróżniać się w warszawskim tłumie.

„Mają broń” – pomyślał Marek.

„SzeF ubrany był może nieco solidniej, ale z podobną troską o pospolitość. Twarz – również trudna do zapamiętania – okrągła, wygolona, włosy blond; wyglądał na lat może dwadzieścia pięć, może mniej, może więcej.

Witając się Zenon uściśnął każdemu serdecznie dłoń – gest bojowej równości.

„SzeF od razu rozpoczął atak:

– No, co ? – Ton był pojednawczy. – Ktoś już wcześniej zwędził dolary?

– Jeżeli w ogóle tam były. – Marek nie chciał okazać mniej odwagi, niż to sobie uplanował. Od razu wskoczył głową w pełny nurt.

– Niby że was nabrałem? Co?

– Ech, szefie! Znacie pewnie taki rysunek, jak woźnica na końcu długiego bata przywiązał trochę siana i z kozła kiwa tym osłu przed pyskiem. Zwierzę idzie naprzód, bo głodne, a siano furt! przed nim i przed nim...

– Te dolary na Miodowej to takie siano przed pyskiem, żebyście biegli naprzód?

Brak odpowiedzi.

– Stary jesteś, a gadasz jak szczeniak. Ile lat razem pracujemy?

– No, dwa...

– Nabrałem was kiedy przez ten czas?

– No, nie...

– Ale teraz – Jacek desperacko wdarł się w rozmowę – żądacie od nas rzeczy niemożliwych. Rzeczywiście. Lutek nam stale grozi, a przecież my po prostu nie możemy. Nad nami wisi „poprawczak” albo i jeszcze gorzej...

Zenon machnął ręką.

– ...tak, gorzej. Rzeczywiście. Może zwyczajne więzienie. My wcale nie chcemy się tam dostać. Z biletami teatralnymi rzecz niewykonalna, to inaczej niż w kinach. A z PDT, to ciotka od siebie nie chce gadać, a poinformowana, o co chodzi, wywaliłaby mnie z domu. Rzeczywiście. Tak źle i tak niedobrze.

– Miesiąc równy mordowałem się próżno, darmo, przy tej cholernej rozbiórce, żeby choć guzik jaki...

– Aha! Więc wam chodziło jedynie o to, że zadania są zbyt trudne czy niemożliwe do wykonania. Nie jestem sędzią, przed którym się trzeba chować. – „SzeF” zarechotał sztucznie. – Do mnie zawsze można przyjść i zameldować, co na sercu leży: „Szefie, za trudne!” Pogadamy, ustalimy, może zmienimy. – Głos Zenona porozumiewawczy, dobrotliwy, z lekkim odzieniem szyderstwa, raptem przybrał ton ostry. – Lutek! Powiedz no, czy tylko o to kolegom chodziło? Ty wiesz.

– Szefie, ja tam skarżyć nie lubię, ale wszyscy mamy jedno na uwadze. Sprawę – jak mówią Francuzi. I ja wobec tego muszę powiedzieć, że wtedy wieczorem w Małpim Gaju nie tylko rozchodziło się o kina, Miodową czy domy towarowe. Oni – odciął się zgrabnie od kolegów – oni w ogóle już mieli dość pracy i nawet odgrażali się.

Przedstawienie było dobrze wyreżyszerowane. W tym momencie trzech adiutantów tak poruszyło dłońmi w swych prawych kieszeniach, jakby gotowali rewolwery.

– To prawda?

– Lutek był wtedy po przedstawieniu bardzo zdenerwowany i... zrozumiał nieco więcej, niż myśmy mówili. – Kazek uznał, iż dawna znajomość z Zenonem upoważnia go do pertraktacji. – Musicie jednak, szefie, wziąć pod uwagę nasze położenie. Zresztą, jeżeli nas złąpią na nowo, to nie wiadomo, czy wykręcimy się tak łatwo, a wtedy i wasze bezpieczeństwo...

– Grozisz?

– Boże broń! Tylko my sprzed roku i my obecnie – to inni chłopcy. Wtedy zupełnie swobodni, teraz skazani i obserwowani. Należy być bardzo ostrożnym. A Lutek przesadził.

– Albo wy teraz inaczej śpiewacie. Zresztą nie tak bardzo inaczej. To twoje „ostrożnie” to znaczy naprawdę: odczep się od nas i daj nam spokój, gdyż boimy się mamra!

– Ech, nie – mruknął Kazek bez animuszu.

– Mam rację! A czy zastanawialiście się przedtem, po co to wszystko? Zdaje się wam, że ja jestem taki sam jak i wy. Że myślę wyłącznie o dniu dzisiejszym i o bezpieczeństwie własnym. O nie, kochani!...

Przyboczni milcząc rozsunęli się w trójkąt, obejmując nim gromadkę.

Przemowę swą zaczął Zenon dziesięć minut po pierwszej, skończył za pięć druga. Trzy kwadranse – mówiąc płynnie i prędko – bombardował swych młodych podwładnych wszelkiego rodzaju argumentami zaczerpniętymi ze skarbca rodzimej perfidii politycznej. Czegóż tam nie wsadził! I rozbiory, i powstania. I Kościuszkę, i rok trzydziesty dziewiąty. I Armię Krajową. Nawet Monte Cassino ze swymi makami krwawiącymi się w dziadowskich piosenkach warszawskich wydrwigroszów. Rzeczpospolitą odmienił we wszystkich siedmiu przypadkach. Przepisową ilość razy powtórzyło się słowo okupacja. A potem skok z wysokiego konia w dół. Ku sprawom osobistym, intymnym. O ojcu Marka i matce Zbycha, o rodzicach Jacka i matce Kazka. Zenon odwoływał się do ich pamięci tak nachalnie, aż Jacek pomyślał, że bluźni. Tłumaczył, na co idą gromadzone przez nich „fundusze”. – Wy myślicie, że to cyniczne zbieranie forsy, że to tonie w mojej prywatnej kieszeni. Tymczasem to jest depozyt patriotyczny – grzmiał.

Przydawał wagi czynom pospolitym, niepięknym, nędznym. Uwznioślał bohaterów kiepskiej awantury kryminalnej. Nobilitował ich złodziejstwo. A tak podniósłszy ich rangę, tym straszliwszych kar żądał za dezercję z posterunku. Po laurach wieńczących skronie „bojowców” przyszła kolej na zwyczajny szantaż. Oczywiście brzydka treść otrzymała szlachetniejszą nazwę: kara za przewinę popełnioną w ogniu walki. „Gdzie jest ten ogień?” – znów złośliwie niemal pomyślał Jacek. Ognia wprawdzie jeszcze nie było, ale Zenon rad by najbardziej gorącym, piekielnym płomieniem spalić raz jeszcze Warszawę dlatego tylko, że nie była jego. Nienawidził każdego skrawka białego tynku, każdego nowego domu, świeżego płatu asfaltu, pokrytego minią przęsła mostowego, oczyszczonej ulicy – oni to zrobili! Nienawiść swą wzmacniał mamoną, tą zdobywaną w bandyckich napadach i tą – o czym chłopcy już nie wiedzieli – wypłacaną mu w cudzoziemskich banknotach, a przecież nie dawanych darmo, przekazywanych z zagranicy ściśle poufnie, drogami mniej lub więcej dyplomatycznymi, zawsze tajemnymi. Tak, ognia jeszcze nie było, ale podpalacze knuli już spisek. Szukali pomocników, wykonawców – terroryzując, grożąc, karząc, byle tylko ugiąć, zastraszyć, znieprawić tak skutecznie, by młode ręce bezwolnie były posłuszne nakazom bratobójczych zbrodni, by umiały bez drgnienia podłożyć płomień pod nowy dom – własny, stojący na któ-

rejkolwiek ulicy Warszawy. Więc Zenon huczał – jak puchacz o kodeksie żołnierskich obowiązków, groził wszelkimi karami, gdyż – naprawdę – to on bał się ich więcej niż oni jego.

Skończyły się groźby – „szef z powrotem przeszedł do „celów szczytnych”. Jeszcze dwakroć, ale już w jednym zdaniu, wspomniał o karzącym ramieniu organizacji, rychłej dosięgającym zdrajców niżli wrogów, i dość nagle zamknął swoją mowę zasadniczym pytaniem:

– Widzicie więc, do czego zostaliście powołani. Zapomnieliście jednak o swej przysiędze sprzed dwu lat. Wypada mi was powtórnie zapytać: czy ze mną, czy przeciw mnie? Odpowiadać natychmiast, gdyż inaczej, no!... Ty, Marek, mów pierwszy!

Słuchając Zenona Marek zawsze bez oporu poddawał się jego żywemu słowu. Wrażliwy był nie na argumenty, za szybko je przedkładano, by mógł je osądzić, lecz na sam dźwięk mowy, na niski, spokojny, głęboki ton, na którym wygrywał Zenon swe misterne zdania, długie, okrągłe okresy, spiętrzał przymiotniki, bardziej tym upajając niż przekonywając. Pod urokiem słów w Marku zatracił się jakkolwiek opór. Był bezwolny, uległy; tak było zawsze, tym bardziej dziś, gdy siatka zdań utkana była z gęstej koronki słów. Słuchając „szefa” nie myślał o argumencie, którym sam przekonywał kolegów, że Zenon może nie narażając się na niebezpieczeństwo wydać ich w ręce milicji. Ten lęk stale drażył umysł chłopca, lecz nikał wobec żywych słów „szefa”. Te zaś chwilowo mu wystarczały. Wątpliwości zaczął pojawiać się dopiero później, gdy znów będzie sam lub – wtedy atakować będą najsilniej – z Lutkiem. Po historii z Radziszewskim Lutek każdym słowem, każdym gestem budził opór Marka. Lecz Zenon był z tamtej strasznej sprawy jakoś tak odruchowo a bezsensownie wyłączony, jakby z nią nic wspólnego nie miał. Opory Marka już rosnące wobec Lutka były jeszcze za słabe przeciw Zenonowi. Chłopiec nie miał w sobie dość siły do poważnego oporu, a poza sobą też jej jeszcze nie znalazł. I choć znów, gdy pozostanie sam ze swymi myślami, przerazi się „poprawczaka”, choć już teraz odczuwa lekkie drzenie, gdy kształty rewolwerów wyraźnie zarysowują się w kieszeniach „adiutantów”, to jednak wymowa „szefa” jest przemożna. Uległością wobec jego słów reaguje natychmiast i Marek – jak dzieje się to u wielu ludzi – jest już teraz najzupełniej przekonany, nawet nie przemyślanymi argumentami Zenona. Tak, na pewno tak! Więc „szef ma rację!

– Z wami, jeszcze raz z wami, szefie!

– Ty, Kazek?

Kazkowi przemówienie „szefa” przypomniało słowa Leji. Leja też mówił o patriotyzmie, by nakłonić go, lecz do jakże odmiennych celów! Kazek uświadomił to sobie z całą ostrością – i w jednej chwili. Leja chciał, by ludzie w Warszawie mieli jasno oświetlone, więc przyjemne, mieszkania. Zenon pragnął, by wybuchło takie piekło jak wtedy na Starówce, chciał powstania, wojny, nowego zniszczenia ludzkich mieszkań. Leja wzywał go do wzmożenia pracy, kraj jest przecież, zniszczony nie na żarty. Zenon wyszydzał współzawodnictwo, czym gniewał zwycięzcę pierwszego etapu. Obaj mówią „ojczyzna”, lecz – myśl chłopca pracowała intensywnie – która z tych dwu „ojczyzn” uczyniła mnie kimś? Zenonowa zaprowadziła na ławę oskarżonych. Lejowa wyróżniła z całej fabryki. Która więc jest prawdziwsza? To przecież Majewska – ona była uosobieniem tej samej „ojczyzny” co „ojczyzna” Leji – umieściła Zbycha w teatrze i dała mu takie szczęście, jakiego nie zaznał nigdy przedtem. Lecz oto Marek wyrzekł „tak”. Dlaczego? Groźby Zenona są złowieszcze – może Marek słusznie postępuje? A może jednak Zenon ma rację? Razem walczyli w powstaniu!

I oto, gdy pod jego adresem pada pytanie, Kazek miotany najsprzeczniejszymi myślami, nie przekonany przez Zenona, ale i niepewny, co czynić należy przeciw „szefowi”, jakby ze strachu, mimochodem, choć może wolałby powiedzieć inaczej, rzekł:

– Tak, z wami!

– A to doskonale – ucieszył się Zenon. – Jak widać, jesteście mądrzy chłopcy. Słyszysz, Lutek, na pewno przesadzałeś! Teraz ty gadaj, Jacek!

Jacek wiedział, że Zenon kłamie. Zestawiał tok kwiecistej mowy z artykułami przeczytanymi w gazetach. Nie tylko na przenoszonych odbitkach korektorskich „Kuriera”, ale i w wielu innych, wertowanych namiętnie w redakcji. Każde zdanie Zenona miało w tych artykułach kontrargument. Ponadto słuchał rozmów redaktorów i tkwił w tyglu stale napływających do redakcji wiadomości o życiu kraju, o jego odbudowie. Teraz Jacek już nie miał żadnych wątpliwości. Chciał być przecież dziennikarzem, do pewnego stopnia był już nim nawet, musiał ufać swym gazetom, a nie człowiekowi, który go zmuszał do złodziejstwa. Ale dlaczego Kazek i Marek potwierdzili? Widać uznali, że z Zenonem otwarcie walczyć niepodobna. Tylko sprytem. Nie poradzą przeciw czterem uzbrojonym drabom, bo może i Lutek też ma spluwę. Należy powiedzieć mu „tak”, jednak trochę się przy tym targując.

– Rzeczywiście, szefie, może i macie rację...

– Może?

– Chodzi o „pedety”, to się nie da tak łatwo zrobić. Gdyby nie „pedete”...

– Drobiazg. Przez czas jakiś po tym dumnym artykule i tak niewiele można zdziałać. Jeżeli więc tylko o to ci chodzi, dobrze, rezygnuję z twej ciotki i z twego całego kramu.

Jacka przejęła żywa radość. Artykuł podziałał. Widać kontrola zarządzona w domach towarowych – wiedział już o niej od ciotki – pokrzyżowała plany Zenona. Sprytem, Jacku, tylko sprytem wywojujesz swoje!

– Jeżeli więc rezygnujemy z „pedetu”! Rzeczywiście. No, to macie rację. Idę po staremu z wami! Zenon klepnął go po ramieniu.

– O key! Teraz Zbych! Tobie nawet nie wypada powiedzieć inaczej niż koledzy.

– Tak, z wami! – wyszeptał mały, przerażony całą mową Zenona, której nie analizował jak Jacek, nie zestawiał z niczym jak Kazek, jedno tylko z niej pojmując piekielnie wyraźnie: groziła ona jego teatrowi. Ale cóż było innego czynić, jeżeli nawet Jacek go zdradził i powiedział: „tak”. Wszyscy trzej go odstąpili równie solidarnie, jak jednomyślnie poparli wtedy po przedstawieniu, w Małpim Gaju.

– Lecz, szefie – Marka ruszyło sumienie, żal mu się zrobiło małego i widząc pozytywny skutek targu Jacka postanowił przyjść w sukurs przyjacielowi – z tymi biletami do teatru to nie da się nic zrobić, to nie kino, jeden seans, tłoku nie ma.

Lutek uznał, że trzeba pogodzić się z kolegami. Tamto przedstawienie było zresztą takie ciekawe.

– Szefie, to prawda. Z tym teatrem to nie wyjdzie. Jeżeli byliście kiedy w teatrze...

– Byłem, byłem, bądź spokojny! – roześmiał się Zenon. – Jak Lutek mówi, że nie można, to nie można. Kina nam i tak wystarczą. No, a skoro teraz już wszyscy jesteśmy zupełnie zgodni, to wyciągnijcie dwa palce. Krzyż! – Jeden z przybocznych wyjął z kieszeni mały krucyfiks. Chłopcy patrzyli zdumieni. – Co się tak gapiecie? Krzyża nie widzieliście? To nic strasznego, póki nie krzyżują! Zdaje się, żeście zapomnieli obietnicy danej swego czasu. Dwa lata – to długo, można zapomnieć. Ja też sobie chętnie przypomnę. Wszyscy będziemy przysięgać raz jeszcze. Palce!

Pierwszy zdecydowanym ruchem wyciągnął dwa palce Jacek. Czytał kiedyś, że składając wymuszoną przysięgę należy w myślach powtarzać jej zaprzeczenie – wtedy wszystko jest nieważne. Mniej chętny był Kazek, jednak w sam czas przypomniał sobie, jak ojciec wbijał mu do głowy, że „Boga nie ma, a cała religia wymyślona ludziom na oszukaństwo” – nigdy się dawniej nad tym nie zastanawiał, lecz teraz, jeżeli ojciec miał słuszość, przysięga będzie nieważna. Kazek uwierzył ojcu i leniwie wyciągnął dwa palce.

Marek nie szukał żadnych kruczków, przykro mu było ponawiać przysięgę, zwłaszcza teraz, lecz uważał to za logiczną konsekwencję poprzednio zajętego stanowiska. Westchnął i położył palce na brązowym drewnianym.

Tylko Zbych jeszcze nie wyciągnął ręki. Zabrzmiały mu słowa matki: „Nie łam nigdy swej obietnicy i nie dawaj jej na próżno!” Wiedział, iż tamtą sprzed dwu lat już złamał, nie chciał więc składać nowej, wiedząc, że jej nie dotrzyma.

– Raz przysięgałem, to wystarczy. Matka zawsze mówiła... – szeptał usprawiedliwiająco. Policzek wymierzony przez Zenona przerwał ten szept.

– Masz, szczeniaku! Zgodziłeś się i już kręcisz! Jazda, palce na krzyż!

Kazek, Marek i Jacek byli jak zdrtwiali. Opuszczony przy uderzeniu, trzymany ręką „szefa” krzyż z powrotem podsunął się pod ich wyprostowane palce. Zbych osłupiałym wzrokiem patrzył na przyjaciół. Pojedyncze łzy toczyły mu się po policzkach. I on, i oni czuli haniebną zdradę. Coś z nimi nie było w porządku, jeżeli pozwolili się tak okpić. Zapędzeni w ślepią uliczkę bezsensu objęli się jak ćma między ścianami pokoju. Zawstydziła ich postawa Zbycha, lecz czuli jej bezcelowość. Sekundy mijające od podłego policzka, sekundy zastanawiania się nad właściwą reakcją były chwilami rozpaczliwego szamotania się Zbycha w obliczu decyzji, przed którą przestrzegał go każdy nerw, każdy odruch. Przyjaciele też milczeli. Zenon czekał z zaciśniętą pięścią.

Na koniec Zbych wysunął dwa palce i wszyscy jak stali:

Marek, Zbych, Jacek, Lutek, Kazek, trzech przybocznych i sam Zenon, zaczęli powtarzać nierównym głosem słowa obietnicy, która już dawno przestała być melodramatycznym gestem garstki szczeniaków, a stała się instrumentem zbrodni:

– Obiecuję Bogu Wszechmogącemu... – wiły się patetyczne zdania przysięgi organizacyjnej, mające zmienić się w pożogę, skrytobójcze kule, bandycki napad czy kieszonkowe złodziejstwo – ...tak mi dopomóż Bóg!

Gęsta ślina zamuliła gardło Marka. Skończywszy powtarzać rotę, splunął. Zbych ciągle lykał łzy.

Zenon roześmiał się wesoło.

– Dziękuję wam. Jesteście morowe chłopaki. A żebyście nie żalowali tych dolarów straconych na Miodowej, przygotowałem mały podarek. Ot, tak... – z kieszeni wyciągnął plikę tysiączłówek, oddzielił na oko bez liczenia połowę i wręczył Markowi. – To dla was czterech. Podzielcie się.

„Jednak zaczął kupować – pomyślał Kazek taksując na oko grubość pieniężnego pakietu. – Ze dwadzieścia kawałków.”

Marek gorliwym ruchem wsunął banknoty do kieszeni. Podzielił się po drodze. Spojrzał niepewnie na „szefa” – czy już się mogą żegnać, choć czuł, że jeszcze najważniejsze nie zostało powiedziane: co dalej? Jakie ich nowe zadanie? A może jednak nie dzisiaj dowiedzą się o tym! Każdy dzień bez świadomości dalszych zadań jest przyjemniejszy, wolniejszy.

Lecz Zenon nie dawał wytchnienia.

– Miodowa uleciała w powietrze. Mnie nabrali, ja was, ale się dobrze skończyło. Z PDT chwilowo nic nie będziemy robić. Bilety teatralne – przekreślamy. Czynię to dla Zbycha! („Jaki łaskawca!” – pomyślał Jacek.) Ale nasze obowiązki trwają nadal. Teraz nawet bardziej niż godzinę temu. Prawda? No, prawda? – zmuszał ich do potaknięcia.

– Prawda – w imieniu reszty mruknął Kazek.

– No więc. Mam pewien plan. Już nie taki z powstania jak na Miodowej, ale zupełnie świeży. Murowana robota, tylko musi być sprężyste wykonana. Będę potrzebował was wszystkich. Chwilowo macie żyć zupełnie spokojnie, mało się ze sobą widywać. („To klawo!” – ucieszył się Kazek.) Nie robić żadnych grand, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Będziemy machać dużą rzeczą. A więc – spokój i być w pogotowiu na każde zawołanie. Kontakt przez Lutka na Marka, od niego do reszty! Czołem!

List

Na biurko Korneckiego spadła gazeta rzucona z pasją.

– Masz! Czytaj! Ten tytuł...

– „Betonowanie ściany oporowej tunelu!” – wyrecytował Kornecki dodając z uznaniem: – Warszawa buduje się fantastycznie !

Cokolwiek by jednak w tej chwili powiedział, dla redaktora Karola Matusiaka, współtowarzysza w pokoju, wszystko było złe lub niewystarczające: dyskusja osiągnęła już wysoką temperaturę.

– Buduje się? – Ogier dostał ostrogę i poniósł. – Jak to „się”? Kto buduje?

– My budujemy.

– To niby i ty?

– Niby i ja! – Kornecki zahazardował naciągnięte zdanie drażniąc kolegę umyślnie, gdyż cenił sobie te starcia i namiętne rozmowy niemal codziennie prowadzone z małym, pękatym blondynkiem, Matusiakiem, nazywanym Karolkiem. Matusiak, syn warszawskiego murarza, świeżo upieczony absolwent szkoły dziennikarskiej, reprezentował pewien poziom wyrobienia politycznego. Sam siebie określał złożonym mianem „bezpartyjnego partyjnego”, systematycznie przygotowując się do tego, by pewnego dnia móc poprosić o przyjęcie do partii. Namiętny, lecz serdeczny, gwałtowny w politycznych werdyktach, lecz przyjazny w bezpośrednim obcowaniu, posiadał talent urodzonego pamflecisty, język szyderczy, słownik szokujący, lecz serce na dłoni. Jacek, często teraz odwiedzający Korneckiego, łapczywie przysłuchiwał się impetycznym wywodom Matusiaka. Karolek imponował mu umiejętnością wyjaśniania każdej kwestii. Chłopcu, który aż do fatalnego wypadku z tramwajem niemal nie otwierał książek, potem wprawdzie czytał więcej, lecz kierując się wyłącznie upodobaniem do przygód, awantur czy sensacji, gawędy redakcyjne Matusiaka otworzyły istny sezam doznań rozumowych. Zdania zapadały mu w pamięć, układając się w system może prymitywnej, ale bądź co bądź wiedzy o wydarzeniach bieżących.

– Niby i ja! – powtórzył Kornecki. – Guzik byłoby tutaj zrobione, gdyby nie pełne życie stołecznego miasta. Ono stawia wymogi, a budowniczowie muszą je realizować. A pełne życie to również i gazeta. A gazeta...

– Złotówka to pieniądz, pieniądz to forsa, forsa to grunt, grunt to ziemia, ziemia to matka, matka to anioł, anioł to stróż, stróż to dozorca – udowodniłszy więc, że dozorca i złotówka to jedno i to samo...

Kornecki znanym ruchem przekreślił prawą dłoń: kawał miał przedwojenną brodę.

– Cóż z tego, że stary, skoro sam go praktycznie ilustrujesz. Myślmę więc dalej tym samym torem: życie to gazeta, gazeta to redaktor, redaktor to dziennikarz, dziennikarz to ty, ty to człowiek, człowiek to rzecz święta, rzecz święta to sakrament, sakrament to... i w ten sposób masz udowodnione, że Pan Bóg nam odbudowuje stolicę. A możemy iść dalej: Pan Bóg to papież, papież to Watykan, Watykan... i tak dalej, aż dojdziemy do niezbitego wniosku, że Warszawę odbudowują amerykańscy kapitaliści, może tylko jeszcze na spółkę z Churchillem. Bzdury, miły bracie! Warszawy nie odbudowuje żadne życie. Czyni to ktoś niezmiernie konkretny.

– Ileż domów na przykład odbudowała inicjatywa prywatna, bardzo konkretni kupcy i przemysłowcy! – Kornecki drażnił Matusiaka dalej.

– Masz rację! Już nie żadne życie ani „się”, tylko ludzie opatrzeni imieniem i nazwiskiem, przynależni do określonej klasy społecznej, no i dobrze zarabiający. Może nawet za dobrze, nie bardzo mający co robić ze swymi pieniędzmi...

– Lepiej, że za nie budowali wille, choćby własne, niżby mieli zbijać dolary lub inwestować w podziemie...

– Oczywiście, że lepiej. Choć dolary też zbijali, a z podziemiem rozmaicie tam bywało. Dlatego też pozwolono im te domy budować. Nawet więcej! Pozwolono im brać nieograniczone czynsze, co zamknęło drzwi tych nowo budowanych mieszkań przed ludźmi zarabiającymi normalnie, przed urzędnikami czy robotnikami.

„Rzeczywiście – pomyślał Jacek przysłuchując się tej dyskusji. – Nikt z nas nie myślałby wprowadzić się do takiego nowego domu, gdzieżby tam. Rzeczywiście.”

– Bo państwo tylko obiecuje budować mieszkania. Na papierze. Nie spieszy się. Masowego budownictwa ciągle nie ma...

– Willę dziesięciopokojową zaprojektujesz w ciągu dwu godzin. Jeżeli masz pieniądze, umówisz się z inżynierem, majstrem i pięciu murarzami, w ciągu tygodnia zaczniesz pracę z kupą cegieł i faską cementu i za pół roku już sobie mieszkasz. Prywatny krawiec w trzy dni uszyje ci ubranie, tylko cholernie dużo za to zapłacisz. Zorganizowanie fabryki ubrań trwa rok, w tym samym czasie krawiec pracujący systemem chałupniczym uszyje sto czy ile tam garniturów. Ale już po roku fabryka szyć będzie setki tysięcy ubrań o wiele tańszych. Tak samo z masowym budownictwem. Sto willi postawi stu bogaczy w ciągu roku, lecz przygotowanie planów i organizacja wielkich robót budowlanych, które dadzą tysiące kilkusetmieszkaniowych bloków – to trwać musi długo. Ale jak raz ruszy, a już rusza, to zobaczymy, kto za dwa lata, za rok wygra ten wyścig. Warszawy nie odbuduje się willami, tylko gmachami publicznymi i potężnymi osiedlami mieszkaniowymi, a tych kupcy nie zbudują...

– Lecz musisz przyznać, że jak dotąd na ludziach z prywatnej inicjatywy spoczywał główny ciężar pierwszych lat odbudowy.

– Główny ciężar? Nie oni przecież odbudowali koleje, mosty, dworce, nie oni oczyścili ulice, uruchomili wodociągi, kanalizację czy trakcję, a każdy inżynier ci powie, że w mieście najtańsze są domy mieszkalne. Ale nie bój się o nich, nawet i ten ciężar, który ponieśli, też już się im zdejmuje. Zapytasz: kto zdejmuje? Odpowiedź doprowadzi cię – po tym kołowrocie – do sedna sprawy. Do twego „się”. To nie żadne „się”, żaden ślepy żywioł. Buduje Warszawę ten, kto budową kieruje. Inicjatywa prywatna, to jeden z klawiszy, w który się uderzyło powodując jej budowlaną akcję. A jak myślisz? kto uderzył w ten klawisz, a teraz uderza w inne klawisze budując Trasę? Kto? No? Jacek olśniony był tokiem argumentów Matusiaka.

– Partia! – Kornecki od dawna wiedział, o co Karolkowi chodzi, teraz jednak ton jego głosu brzmiał, jakby rozszyfrował zawiły rebus.

– Aha! Tu... – Matusiak zeskoczył z biurka, na którym siedział, i wyciągnął wspaniałym gestem rękę do Korneckiego, szykując widać jakąś namiętą filipikę, lecz usłyszawszy gwałtowne pukanie do drzwi urwał ją krótkim zaproszeniem: – Wlazł!

Na widok gościa okrągłą twarz rozjaśnił mu uśmiech szczęścia. Kornecki poderwał się szarmancko. Znał Mery Radziszewską, często odwiedzała Matusiaka w redakcji. Karolek wzajemnie darzył ją gorącym uczuciem. Lecz uśmiech radości spełził natychmiast z jego twarzy: Mery była tak blada, że nawet róż nie na wiele się zdał.

– Karolku! Panie Andrzeju! Pomóżcie mi! Poradźcie! Dziś do domu... – Widząc gońca przerwała znacząco. Kornecki gestem wyprawił Jacka sprawiając tym samym zawód jego ciekawości obudzonej wyglądem siostry Radziszewskiego. Gdy wyszedł. Mery dokończyła: – Dziś przyniesiono mi z poczty to...

Wyjęła z torebki list i położyła na brzegu biurka. Matusiak i Kornecki pochylili się równocześnie. Na fioletowym, bardzo podłym papierze nalepione było ze słów i liter wyciętych z gazety następujące zdanie: „CIAŁO BRATA PIWNICA NIEGÓRSKA 5 PROSZĘ DYSKRECJA O TYM LIST PRZYJACIELA.”

– Wszystko z przedwczorajszego numeru „Kuriera”. „Przyjaciela” wzięty z „Rozmów”, tylko przycięta końcówka! „List” zamiast „liście” – widocznie w numerze nie było tego przypadku, a oddzielnymi literami skleiono tylko nazwę ulicy. Wyraźny wpływ *Psa Baskervillów* Conan Doyle'a – skonstatował Kornecki ujawniając cechy systematycznego lektora powieści kryminalnych. – A jak koperta? Na maszynie? Mery wyciągnęła kopertę.

– Pismo ręczne, litery drukowane. Hm!

– Co to znaczy? – rozpaczliwym głosem pytała natarczywie dziewczyna.

– Mery! – prosił Matusiak. – Uspokój się! To lepsze mimo wszystko niż niepewność. – Jakże się mylił. W każdej niepewności jest przecież nadzieja.

– Jestem zupełnie spokojna. – Słowa przeczyły wyglądowi. – Tylko jak mam postąpić? Panie Andrzeju, pan przecież tak znakomicie zna te historie...

Andrzej Kornecki od pewnego czasu zażywał w zespole redakcyjnym – o czym Mery wiedziała – sławy zgoła osobliwej, a jakże niezasłużonej: mówiono o jego znajomościach wśród przestępców, bez złośliwych domysłów, z uznaniem dla znawstwa. Nie podejrzewano pośrednictwa Jacka, które właśnie wydało swój następny owoc: dwa artykuły ujawniające mechanikę nielegalnego handlu biletami kinowymi.

W kilka dni po ogłoszeniu w „Kurierze” owego pierwszego artykułu, do redaktora Korneckiego zatelefonowano z dyrekcji Powszechnych Domów Towarowych zapraszając go na specjalną konferencję. Telefon ten był progiem jego sukcesów. Do dyrekcji PDT szedł wprawdzie nieco speszony, lękając się wymówek, lecz przyjęto go tam serdecznie. Podziękowano za społeczne stanowisko zajęte w całej aferze: wyjaśniono, iż jej publiczne ujawnienie pozwoliło kierownictwu postawić ją wobec personelu w sposób należyty, że organizacje partyjne zostały pobudzone do działania. Potem uczestniczył w specjalnej naradzie wytwórczej, będąc na niej jedynym człowiekiem spoza grona pracowników. Delegaci personelu omawiali z dyrekcją metody walki z nadużyciami w dystrybucji. Wrócił z narady zachwycony.

– Wspaniale! – entuzjazmował się wobec kolegów. – Zeszli się ekspedientki, sklepowe, mówili tak zdumiewająco rozsądne rzeczy, że słuchałem ich jak najbardziej pasjonującej opowieści. Nie były to oczywiście jakieś ekonomiczne syntezy, ale proste uwagi doskonalące technikę sprzedaży. Omawiano więc rozmieszczenie stoisk w zależności od ich frekwencji, godziny sprzedaży, technikę wydawania bloczków dotychczas głupio zawiłą i opartą na braku zaufania do wszystkich: do klienta, sprzedającego, kasjerki. Ważne było, co mówili, i ważne, że mówili jak gospodarze. Czuję ich troskę o rozwój placówki...

– Phi, Andrzej po raz pierwszy w życiu ujrzał ekspedientkę inaczej niż za ladą sklepową i przekonał się, że to normalna mądra kobieta! O, jakie wspaniale niespodzianki gotuje maminym synkom naszej rozkosznej burżuazji kontakt z ludźmi pracy! Hi, hi! – kpił Matusiak.

– Nie widziałeś narady, to nie gadaj!

– Narady nie widziałem? Ja! ? Na nic innego całe życie nie patrzę, tylko na robotników. Wielki cymes – narada produkcyjna w domu towarowym. Pójdź na kopalnię, do kolejarzy, tam zobaczysz ludzi...

Matusiak, syn robotniczy, złośliwie reagował, gdy ktoś dopiero teraz odnalazłszy ludzi wśród poniewieranego dotychczas proletariatu, zaczynał się nimi prymitywnie entuzjazmować. Karolka ogarniała w takich wypadkach pasja, a język jego stawał się ostry. Starcie było silne. Lecz mimo kpin i szyderstw Matusiaka Kornecki podczas narady pojął wiele nowych spraw. W „Kurierze” ukazał się reportaż, zrobiony już bez pomocy Jacka, trafnie opisujący

przebieg narady i komentujący jej sens społeczny. Może mu pomogły szyderstwa Matusiaka? Akcje Korneckiego na terenie redakcji zaczęły iść w górę.

Matusiak nie ceniał przedtem kolegi. – Ot, niewypał intelektualny, impotent zawodowy – prychnął pod jego adresem. Lecz ujrzawszy w „Kurierze” pierwsze rewelacje Korneckiego, nie wiedząc o Jacku, oświadczył wprawdzie, iż grzebanie w sensacjach niemal kryminalnych jest cechą dziennikarzy mieszczańskich, niemniej zdecydował się traktować swego sąsiada serio. Reportaż z narady mimo poprzednich kpin uznał za celny. Wobec tego zaczął Korneckiego edukować politycznie. Co dzień koło południa, gdy praca nad numerem była skończona, a nad następnym jeszcze nie rozpoczęta, referował swe poglądy na wypadki dnia. Była to szkoła polityczna przede wszystkim dla Jacka: w mniejszym stopniu natomiast dla samego Korneckiego, któremu wprawdzie Matusiak imponował swym bojowym stosunkiem do życia, ale odczuwany wobec niego pewien kompleks niższości utrudniał owocne przyjmowanie nauk kolegi. Przy tym Andrzej żywił do niego jak gdyby mimowolną zazdrość, gdyż na terenie redakcji Karolek dzięki swemu talentowi więcej znaczył niż on. Teraz więc usłyszawszy prośbę Mery podchwycił okazję wykazania swojej nad przyjacielem przewagi.

– Co mam zrobić? On prosi przecież o dyskrecję! – pytała.

– Dyskretna jest również i milicja! Ani ciała pani szukać sama nie będzie, ani zbrodni nie można puścić płazem. Natychmiast należy iść z tym do komisariatu. Może ułatwi to ujęcie mordercy. Tylko poza milicją proszę nikomu o liście nie wspominać! Czy ktoś wiedział o tym, że pani szuka ciała ?

– Wszyscy niemal. Rozmaici ludzie. Administrator domu. Znajomi. Koledzy. Jak zwykle: człowiek złamany opowiada o swym bólu...

To nie był ślad. Kornecki nie bardzo wiedział, czym właściwie w tej chwili pomóc może Radziszewskiej. Poradził – milicja. I to wszystko. Nie wypadało jednak tylko do tego się ograniczyć.

– Kto to mógł zrobić? – bąkał niewyraźnie. – Pewnie list...

Matusiak dał natychmiast odpowiedź na to niemal retoryczne pytanie, z właściwej strony podchodząc do zagadki.

– Dla mnie nie ulega wątpliwości, iż jest to historia polityczna.

– To był przecież ukartowany zamach. – Mery potakiwała przez ciche łyzy. – Przyszli, wywołali go na ulicę. Sprawdzalam. Z ZWM, jak tamten mówił, nikt po niego nie przysyłał. Któż i za co mógł mieć pretensję do Zygmunta. Kto?

– Kto? Faszyści! Nasi rodzimi, warszawscy faszyści.

A za co? A za co faszyści mają do ludzi pretensję? Za to, że ci chcą być ludźmi.

– Ależ Zygmunt nic nie robił. Czy za nic? Jak za hitlerowskich czasów?

– Hitlerowcy trwają dłużej niż Hitler. I nie tylko w Niemczech. Potrwają jeszcze czas jakiś... – Matusiak czuł, że polityczna diagnoza brzmi straszliwie sucho wobec bólu młodej kobiety, nie koi, nie tłumaczy tego wydarzenia, ustala tylko ogólne prawa. Takie zdania nadają się do artykułów lub rozpraw, lecz tutaj siedzi żywy, stargany człowiek. Nawet miłość nie podsuwała mu słów pocieszenia.

– Czas jakiś! O Boże! Wielki Boże! Zygmucie, Zygmucie! – jęczała oparłszy głowę na dłoń. Jęk przechodził w szloch. Młodzi redaktorzy niepewnie patrzyli po sobie. Karolek siłą wstrzymywał się, by nie pogłaskać Mery po lśniących włosach. Nagle kobieta uniosła głowę. Zbladła jeszcze bardziej i całym ciałem chybnęła się na krześle. Matusiak skoczył, by ją podtrzymać. Kornecki ryknął na korytarz: – Jacek, wody! Minęło zaledwie kilka sekund, gdy stukając głośno swą kulą goniec przyniósł szklanekę wody oraz buteleczkę amoniaku z podręcznej apteczki redakcyjnej. Szybkość usługi budziła podejrzenia, iż Jacek czatował pod drzwiami. Lecz takie zagadki nie absorbowwały teraz redaktorów. Skropili czoło Mery wodą, pod nos podsunęli jej wbrew wszelkim przepisom ratownictwa całą buteleczkę amoniaku.

Omdlenie nie było głębokie – chwilowe zamroczenie. Radziszewska łykała powietrze głęboko, łapczywie, jak przy sercowym ataku. Po chwili rozejrzała się już przytomnie, skuliła w zimnym dreszczu i odezwała się nikłym głosem:

– Przepraszam was za tyle kłopotu... Ja już pójdę na tę milicję. Im prędzej, tym lepiej.

– Mowy nie ma w tej chwili. Proszę siedzieć spokojnie, napić się wody. Pani odpocznie, przyjdzie zupełnie do siebie, wtedy zawołam auto. – Kornecki podsunął swój głęboki fotel.

Jacek, widząc ból Mery, domyślił się dalszego ciągu tragedii z ulicy Niegórskiej. Odruch – uciekać! Pohamował się wysiłkiem rozsądku. „Zimna krew! zimna krew! zimna krew!” – samozachowawczy nakaz pulsował w głowie chłopca.

Przewycięzył napór lęku, stał nieruchomo pośrodku pokoju. Postanowił czekać, póki nie każą mu odejść; chciał wiedzieć, co zadecydują. Wolał nie być zaskoczony przez wypadki.

Tymczasem nie bacząc ani na Mery, ani na Jacka Karolek, do głębi poruszony, z niezwykłym impetem zaczął przeklinać faszystowskich morderców.

– Degenerują się wszyscy w zwyczajnych zbrodniarzy, rzeźmieszków, bandytów, złodziei...

– Nie wszyscy – próbował oponować Kornecki.

– Bronisz? Nie wszyscy! No tak, zgadza się, panie Kornecki z jakiegoś tam Korniewa, boć to twój przyjaciele...

– Pleciesz!...

– Plotę? A komu rękę serdecznie podajesz? Kolegom z tej samej klasy, szkolnej i społecznej. Spotykaliście się i spotykacie ciągle jeszcze u swych wujaszków, ciotek, łączą was więzy serca, uczucia pokrewieństwa, zasady wspólnego wychowania, szablon jednego stylu życia. Ty ich zasadniczo potępiasz, bo są mordercami. Mordują wprawdzie nie twoich, tylko moich, chamskich, ale mordują. Bronisz ich, bo ty ich znasz od tej niby porządnej, układnej, ufryzowanej strony – wylizanego jak fryzjerski przedziałek życia mieszczańskiego. Broń ich! Broń! Masz swą rację! Zachwycasz się robociarzami, jak idziesz na wywiad do fabryki, bo dla ciebie są to egzotyczne zwierzęta w klatce. Takie społeczne ZOO. Lecz serce twoje gdzie indziej niż rozum. Z tymi, co zamordowali brata Mery, co mego brata zadźgali jeszcze w roku 1943. Tak, tak, tak... – pasja Karolka dosięgała wrzenia.

– Jak nie przestanieś... – oszołomiony Kornecki nie wiedział, czym zagrozić.

– Nie, nie przestanę tak długo, póki i oni nie skończą. Brytany spuszczone z imperialistycznej smyczy... „Aż tak...” – z niedowierzaniem myślał Jacek.

– Tak zresztą musiało być! – głos Karolka opadł nieco. – Choć wierzą we Franciszka z Asyżu, a w Piśmie Świętym czytają o wielbłądzie, któremu trudno przejść przez ucho igielne, to jednak dobrowolnie nie oddadzą zysków i władzy. Czepiają się ich wszystkimi mackami. Początkowo, a jakże, to była walka polityczna! Konspiratorzy z roku 1945! Ho! ho! W czterdziestym szóstym i siódmym już ręce były mnie czyste. Przyjmowały dolary od pana ambadora o podwójnym nazwisku! Wspólna walka przeciw „wrogom ojczyzny”! Tylko ojczyzna była już inna. Mamidła słów nie pomogły, konsekwencję wyciągnęło samo życie. W 1948 już się po prostu kradnie i morduje, byle tylko utrzymać się na powierzchni. Oczywiście, każdą zbrodnię usprawiedliwia się patriotyzmem, a jakże...

Jacek wzdrygnął się: przypomniał sobie przemowę Zenona w anińskim lesie.

– I oto masz w swoim pokoju, na własnym biurku, obiektywną prawdę naszych dni. Dokument walki klasowej. Ten list. A równocześnie dokument podłego bandytyzmu. Zabili niewinnego chłopaka...

Jacek już tyle wysłuchał bez drgnienia, że teraz pewien był swych nerwów. Nie mrugnął okiem, nie poruszył głową ani ręką. Złodowaciał. Z miejsca, gdzie tkwił, nieruchomy, bez trudu widział list leżący na biurku. Nikt jednak nie zwracał na chłopca uwagi.

– ...a potem rozkład szajki, jeden wydaje kolegów. Wszyscy oni sypią w więzieniach, gdyż brak im oparcia we własnej idei, której bankructwo wprawdzie pojmują, lecz działając na

wolności łudzą się – przyjaciele z ambasad w tym im pomagają – że jednak właśnie dla nich jednych historia zmieni swe prawa. Dopiero gdy klamka zapada, przekreśli się klucz w drzwiach celi i zostają sam na sam z cieniem własnych myśli, pojmując, że dla nich jednych dzieje swego biegu nie zmieniają. Wtedy załamują się. Ten list to efekt takiego rozkładu...

Mery uniosła się z fotela. Wyglądała już lepiej.

– Ja już sobie pójdę. Karolku, mógłbyś ze mną iść na tę milicję...

Poproszono o redakcyjne auto. Dyskusja się urwała. Jacek wyskoczył na korytarz z kłębowiskiem myśli, z których każda rwała w inną stronę. Matusiak z Mery pojechali do komisariatu. Kornecki pogрузzył się w zawiłą medytację nad domniemanym autorem listu i sprawcą zbrodni. Lecz schematy z powieści kryminalnych nie na wiele mu się przydały.

A jednak wezwanie

W majową sobotę, już pod koniec miesięcznego zebrania produkcyjnego niespodziewanie o głos poprosiła Julka Piórkowska, dwudziestoletnia dziewczyna pracująca przy kontroli żarówek. Niebieskooka, filigranowa blondynka znalazłszy się za pulpitem mównicy zmalęła jeszcze bardziej. Ucichli wszyscy ciekawi, co powie szkrab, który dotychczas nigdy głosu nie zabierał. Tylko młodzi poruszyli się na swych miejscach: ich reprezentantka! Jąkając się z wielkiej emocji, Julka czytała z małej kartki:

„Fabryczne Koło Związku Walki Młodych rozpatrując wyniki osiągnięte w indywidualnym współzawodnictwie, zainicjowanym w naszej fabryce przez tow. Lowaka, doszło do wniosku, że chociaż w istocie współzawodnictwo indywidualne podniosło produkcję fabryki, to jednak w sposób niedostateczny wyrabia ono socjalistyczny stosunek do pracy wśród załogi, stwarzając nadmierną konkurencję osobistą. Socjalistyczny stosunek do pracy wystąpi dopiero wtedy, gdy cała załoga naszej fabryki będzie miała jeden wspólny cel. Wobec tego Koło ZWM proponuje, by cała załoga naszej fabryki wezwała do socjalistycznego współzawodnictwa pracy załogę fabryki żarówek w Katowicach i zadeklarowała wykonanie planu trzech kwartałów na dzień 22 lipca 1948 roku, czcząc w ten sposób Święto Odrodzenia.”

Tu i ówdzie odezwały się pojedyncze oklaski zetwumowców. Nie podtrzymane przez nikogo, ścichły nagle, przyduszone milczeniem, jakie zaległo na ożywionej i gwarnej sali. Minął jakiś czas, nim Macisz – towarzysz z PPS, dobrze zbudowany, rosły mężczyzna w sile wieku – stanął za pulpitem.

– Chciałem się spytać – zaczął bardzo po prostu – ilu pracowników należy do współzawodnictwa indywidualnego? Czterdziestu kilku. A więc zaledwie co szósty członek załogi podjął współzawodnictwo indywidualne. Zrozumiałe! Zaczęliśmy je ledwo przed kwartałem. Ta forma pracy musi się rozwinąć, upowszechnić, dopiero wtedy będziemy mogli przyjąć tak wysokie zobowiązania, jakie proponują koledzy z ZWM. Inaczej – czterdziestu będzie harować, a reszta klepać powoli, po staremu.

– Zobowiązanie zbiorowe zmusi wszystkich do pracy! – odezwał się tubalny głos z samego środka sali. Obejrzano się na mówiącego. To Lowak! Prowadzący zebranie, przewodniczący Rady Zakładowej, zastukał ołówkiem w stół prezydialny.

– Ciszej, ciszej, i na wasz głos przyjdzie kolej – wyszeptał z obowiązku.

– Ja chciałem powiedzieć – ciągnął Macisz – że nie należy się spieszyć. Młodym pilno połamać karki. Lepiej wolniej, a dojść do celu...

– Jakiego? – fuknął ktoś z tłumu. Ołówek przewodniczącego stuknął w zielony papier pokrywający stolik.

– Za wcześniej jeszcze na wyzwanie innej fabryki i współzawodnictwo załogowe. Skończyłem.

Macisz usiadł wśród oklasków. Leja znał tajemnicę tego sukcesu. Klaskali nie tylko ci, co nie biorąc udziału w indywidualnym współzawodnictwie jeszcze bardziej bali się zespołowego, ale i ci, którzy, przekraczając niewysokie, powojenne normy, zachłannie chowali premie i nagrody do kieszeni a teraz lęk ich przejął, by doskonalsza forma współzawodnictwa nie umniejszała im zysków.

Na schodek mównicy wszedł Lowak, stary robotnik, inicjator współzawodnictwa oraz konkurent Spokornego w produkcyjnej sprawności.

– Towarzysz Macisz sam bierze udział we współzawodnictwie, a tak troskliwie dba o tych, którzy zobowiązań nie podpisali. Dlaczego? – zaczął pytaniem i natychmiast otrzymał odpowiedź. Ktoś krzyknął:

– Bo siedzi w kieszeni u teścia!

Rytualny ołówek zabębnił po stole, wzywając do spokoju.

– Macisz nie potrzebuje się martwić, że będzie musiał pracować za tych, co nie współzawodniczą. Jak zobaczymy, że źle pracują, to ich tu wezwiemy i kolektyw da już sobie z nimi radę. Ja nie wiem, czy w Katowicach już mają współzawodnictwo indywidualne, ale wydaje mi się, że jeżeli my ich wezwiemy, to nie tylko zwiększymy własną produkcję, ale i oni będą musieli zwiększyć produkcję żarówek. A wtedy, co tu dużo gadać... Ostatecznie pracujemy tylko po to, żeby nam wszystkim, nam samym i rodzinom naszym, znajomym, wszystkim ludziom pracy w całym kraju łatwiej było kupić potrzebne żarówki i byśmy nie musieli ich tak bardzo oszczędzać. Sklepikarz-spekulant...

– Teść Macisza! – znowu zawołał ktoś z młodych.

– Cicho! Bzdury! – jak echo odpowiedziano natychmiast z innych miejsc.

Ołówek znów zastukał.

– ...on zawsze kupi żarówkę od jakiegoś paskarza. Ale inni też mają prawo mieć światło w mieszkaniu. Wzywam do przyjęcia wniosku naszej młodzieży!

Rozległy się oklaski silniejsze niż po deklaracji Piórkowskiej, lecz słabsze, niż otrzymał Macisz. Więc ten – mając sprawdzian popularności swojego stanowiska – z politowaniem spojrzął na Lowaka. Po co bruździ?!

Pięć rąk podniosło się w górę. Widząc to Leja szepnął do ucha drugiemu technikowi:

– Przed trzema miesiącami, po apelu Lowaka, milczeli jak zakłęci. Teraz nauczyli się gadać. Choćby przeciw – i to dobre!

Sala rzeczywiście rozgadała się. Jeden po drugim powtarzali to samo. Przeciwnicy projektu nawoływali do systematyczności i rozważań. Zwolennicy tłumaczyli kolegom, że ciąży na nich obowiązek zwiększenia produkcji tak własnej, jak całego Zjednoczenia, zapewniali, że współzawodnictwo zespołowe, międzyfabryczne, nie zlikwiduje indywidualnego, więc

naład będą premie i nagrody. W pewnej chwili Leja zauważył, że jak przedziwną konsekwencją zwolennicy projektu mówią o „wezwanie”, natomiast przeciwnicy powtarzają stale „wyzwanie”. Dyrektor Wysocki zaproponował, aby głosowanie nad wnioskiem koła młodzieżowego odłożyć na tydzień, niech na ogólnym zebraniu cała załoga zadecyduje;

należy zresztą zastanowić się, czy z przyczyn technicznych wykonanie zobowiązań na 22 lipca w ogóle jest możliwe. Oklaskami zaakceptowano wniosek dyrektora. Ma rację! Przez tydzień wiele się może zmienić!

Po naradzie dorośli nie rozprawiając nawet nad projektem rozeszli się do domów. Do przyszej soboty daleko. Większości projekt wydał się nie do zrealizowania.

Młodzież natomiast zaczęła kampanię od razu. Jeszcze tego samego dnia.

Przed bramą fabryki, na ulicy, zaczął Kazka Jurek Stebelski, przewodniczący Koła ZWM. W fabryce był szoferem. Towarzyszyli mu: Wala Biecz, maszynistka z dyrekcji, i Wacek Markowski, kolega Spokornego z tej samej hali zwykłych żarówek.

– Odprowadzimy was – zaproponowali.

– Mieszkacie też na Ochocie?

– Nie, ale chcemy pogadać.

Kazek nigdy dłużej z żadnym z nich nie rozmawiał. Nie należał do organizacji. Zdziwił się więc nieco.

Było duszno. Rzadko tylko ostrzejszy powiew wiatru napędzał do oczu i ust tumany ceglanego pyłu: wszędzie rozbierano ruiny. Mury na Nowowiejskiej, których budowę rozpoczęto niedawno, stały o tej porze ciche i nieme: sobotnie popołudnie. Szli w tym upale powoli. Pierwsza odezwała się Wala.

– Słuchajcie, kolego – zaczęła oficjalnie. – Trzymacie się od nas z daleka. Nie zagadacie nigdy, pewnie gardzicie nami, żeśmy też od razu nie podpisali apelu. Ale...

– Ech nie, proszę pani! – Kazek machnął ręką i nie bardzo był pewien, czy należało mówić „pani”. – Ja żadnego żalu nie mam. Drobiazg. Tylko ja się polityką nie interesuję więc wy dla mnie... wy... – nie wiedział, jak skończyć zdanie.

– Rozumiemy was. Wielu kolegów sądzi, że od polityki lepiej być z daleka – skomentował rzeczowo Stebelski. – Często już to samo jest polityką: stoją z dala od nas, gdyż są zbyt blisko z kimś drugim, wrogiem...

„O, cholera – pomyślał Kazek – czyżby coś wiedzieli?”

Wala trąciła ręką Jurka: nietaktownie.

– ...oczywiście tylko niektórzy tak czynią, nie wszyscy, skądże znowu! Wolimy uczciwych bezpartyjnych, jak wy, niż takie farbowane lisy, jak Macisz, co to, a jakże, w partii jest, deklarację współzawodnictwa podpisał, ale teść ma sklepik z elektrycznymi maszynkami i żarówki idą dobrze; nikomu się nie spieszy, by staniały. A stanowią, gdy będzie ich więcej.

Kazek nie bardzo rozumiał, czego oni od niego chcą. Zaczynają okrężnie, jak wtedy Leja!

– Więc chcemy wam powiedzieć, że wtedy przed trzema miesiącami to my nie byliśmy jeszcze zorganizowani. W naszym Kole był bałagan. Teraz zmieniło się. Wyście nam świetnie pomogli. Gdy inni ujrzeni, że młodzież też może zwyciężać, to ruszyła ich ambicja. Ale was za to różni nienawidzą! Ho, ho! – mlasnął z uznaniem.

– Wiem.

– My was natomiast bardzo cenimy. Gdybyście chcieli być w naszym Kole. To nie tylko polityka...

– Nie!

– Dlaczego? – Stebelski zapytał ostro, tak się zdawało Kazkowi. Uważa widać, że wielki zaszczyt robi tą propozycją. Może najlepiej będzie powiedzieć im o tym wyroku? Odczepią się.

– Znacie moją ankietę personalną? Jest w biurze.

– Nie.

– Szkoda. Nie proponowałibyście mi wtedy należenia do waszej organizacji. Ja... ja... miałem pecha, jak to często, wiecie, jest z chłopakami. Nigdzie nie pracowałem. Nie wiedziałem, co i jak. Tam u nas na Ochocie było kilku chłopców. Potrzebowali forsy. No, i dostałem wyrok. Niewielki, nawet mnie nie zamknęli. Nic poważnego. Zupełnie nic – zapewniał ich gorliwie. – Ale zawsze jakiś tam wyrok i jeżeli przez dwa lata będę sprawował się porządnie, to dopiero wtedy mi go skreślą z akt sądowych. No, i wtedy może będę mógł się do was zapisać! – zakończył szczerą wypowiedź fałszywą obietnicą.

– Aha!

Chwila milczenia.

Na rogu Alei Niepodległości przy ogromnym dziesięciopiętrowym gmachu prowadzono prace wykańczające. Budynki na tym odcinku Alei były zupełnie odbudowane i lśniły białym tynkiem. Akurat wtedy skradał się Kazek w październiku 1944, gdy udało mu się przedostać do opróżnionej już wówczas Warszawy. Wszystko było spalone. A teraz jeszcze tylko na rogu Filtryj straszą ruiny. Stebelski zaczął znów mówić, powoli, z namysłem:

– Wyrok! No tak, na członka was zapisać nie możemy, ale nie bądźmy przecież mądrzejsi od sądów naszego państwa. One wam dały możliwość normalnego życia i rehabilitacji, ja uważam to za bardzo mądre. Kolego Kazku! Nie przejmujcie się! Wyście już zrehabilitowali się

swym zwycięstwem. Mieliście, macie nadal bardziej socjalistyczny stosunek do pracy niż my wszyscy. Myśmy poszli dopiero za wami...

Nagle Stebelski zatrzymał się, chwycił Kazka za rękę i silnie, serdecznie nią potrząsnął. Spokorny uczył wtedy – po raz pierwszy – że jeżeli nie powie czegoś brutalnego, co jego samego ostudzi, to się rozbeczy.

– Bez przesady, wielkie mi co, o wa! Potrzebowałem forsy, to i zrobiłem się przodownikiem.

– To się tylko tak mówi. Ja wam powiem. Byłem w powstaniu na Starówce...

– Ja też! – wykrzyknął Kazek niemal radośnie.

– Tylko ja byłem w AL.

– Ja nie.

– Domyślam się. Obaj byliśmy wtedy... w tym piekle. Więc wiecie dobrze, jak każdy z nas, tak dla chłopięcego fasonu po prostu, gdy lazył w najgorszy ogień, to jeżeli przeżył, wynajdywał jakikolwiek pretekst, byle głupszy, żeby tylko nie podać prawdziwego powodu, jakim był obowiązek, obowiązek walki. Nie cierpieliśmy patosu. Zarezerwowało go sobie radio w Londynie. Tak i wy teraz. Kto szedł pierwszy do współzawodnictwa, nie szedł dla forsy. To dopiero ci, co się potem zapisywali, po pierwszej wypłaconej wam premii. Nie wy! Ja wiem!

„To nie było przecież wcale tak!” – przypomniał sobie Kazek. Zapał do pracy, namiętna radość z coraz lepszych wyników zjawiały się dopiero później. A jeszcze później narodziła się w chłopcu ambicja. Na samym początku kierowało nim przecież coś zupełnie innego, do czego teraz to nawet bardziej wstyd się przyznać niż do posiadanego wyroku.

– Jednych pociągnął wasz przykład. Przykład stosunku do pracy. Innych duże zarobki. Powiększyliśmy produkcję fabryki o osiem procent. To wasza zasługa. I my was chcemy prosić o jeszcze jedną ważną rzecz! Byście swym głosem nas poparli, byście za tydzień przemówili za naszym projektem i byście określając swą normę indywidualną rzucili wezwanie do współzawodnictwa zespołowego, jako wyższej formy pracy socjalistycznej.

Na Kolonii Staszica tylko trzy domki były jeszcze nie odbudowane. Wędrowali Filtrową pięknie zieleniejącą się w majowym słońcu. Całe domy, moc trawy, drzewa bujne i zielone zadawały kłam zniszczeniu sprzed trzech lat. Dziś już nikt by nie uwierzył, jak wtedy wyglądały. Szli w milczeniu: przyjaciele z ZWM szanowali namysł Kazka.

Propozycja Stebelskiego nie wzbudziła w Spokornym żadnych zasadniczych sprzeciwów. Przyjęcie jej lub odrzucenie było tylko ograniczeniem albo też jeszcze mocniejszym związaniem się ze współzawodnictwem, które i tak stało się dla chłopca jakąś bardzo istotną treścią jego obecnego życia. Odczuwał teraz większy szacunek dla samego siebie, ciążył mu tylko wyrok. Był to zarazem – Kazek świetnie o tym wiedział – marsz przeciw Zenonowi. Zgoda na prośbę ZWM przyspieszyłaby moment starcia z „szefem”. Te sprawy łącznie istnieć nie mogą. Bał się starcia, choć rozumiał bezsens tego strachu: z jednej strony wielka organizacja młodzieżowa, aparat sprawiedliwości, całe państwo wreszcie, z drugiej – Zenon, Lutek i garstka facetów wokół „szefa”. Lecz jednak się lękał, może nawet nie tyle „szefa”, co nieodzownego w takim wypadku ujawnienia swoich przestępczych stosunków z Zenonem. Należało więc zrobić wielki krok, odzepić się od Zenona albo wstrzymać się od tego kroku. Zastanawiał się. Niełatwo tu było zdecydować.

Minąwszy Raszyńską weszli w mniej odbudowaną część Filtrowej. Im bliżej placu Narutowicza, tym więcej mieszkało ludzi ubogich. Ciężar rekonstrukcji musiał być tutaj podjęty przez państwo.

Przy Mochnackiego, tuż przed placem, Kazek zdecydował się:

– Zgoda!

Sam siebie podziwiał, że tak nagle postanowił iść przeciw „szefowi”, przeciw własnej przeszłości. Może to przekora, a może ambicja raz rozbudzona sprowokowały słowo „zgoda”,

które język wyrzekł wyprzedzając myśli jeszcze niezdecydowane, jeszcze wąpiące i wążące się. Słowo przecięło wahania. Stało się – Kazek postawił krok następny.

Dopiero w poniedziałek rano rozpoczęły się w fabryce rozmowy i rozmówki. Walczono o opinię całej załogi. Część tych sporów ocierała się bezpośrednio o Kazka. Były jednak i takie, które do chłopca nie dochodziły. Nigdy na przykład nie dowiedział się o pewnej rozmowie, która się odbyła w poniedziałek rano przed rozpoczęciem pracy. Jeszcze na przystanku tramwajowym Macisz zaczął Ziembę.

– Słuchaj, Staszek, kiedy zebranie? – Ziemba był sekretarzem Koła PPS.

– Jak zwykle. W środę.

– Co będzie ze sprawą tych szczeniaków?

– Co ma być? Zobaczmy!

– Nie żadne tam „zobaczmy”. To już powinieneś wiedzieć, jak my wszyscy się wypowiemy.

– Ale...

– Staszek! Partia jest po to, by dbała o nasze dobro. Bądźmy szczerzy, między sobą możemy sobie na to pozwolić. Współzawodnictwo zwiększa zarobek. Większa praca – większa płaca. Rozumiesz? Indywidualne nam zupełnie wystarczy. Po co pchać się w zbiorowe. Wtedy inni też będą musieli podpisać zobowiązanie współzawodnictwa. A gdy wszyscy podpiszą, klapa z nami! Wtedy podwyższą normy – i do widzenia z premią. A z czym ty walczyłeś zawsze w partii? Z podwyżką norm, która bije w nas. Współzawodnictwo jest dobre, gdy obejmuje mniejszość zakładu. Wtedy muszą koło nas skakać. Rozumiesz!

– Trochę racji, ale w y z w a n i e m zmusimy tamtych z Katowic do wzmożenia pracy...

– A ciebie co obchodzą tamci z Katowic? Zostałeś wybrany sekretarzem, żebyś n a s z e g o dobra pilnował. Już tamci na Śląsku wiedzą, gdzie ich interes. Współzawodnictwo stamtąd przyciągnęło. Oni swoje premie i tak biorą. Nie bój się o nich. Spokojna twoja czaszka! Myśl lepiej o nas, bo możemy zmienić sekretarza, a to zawsze honor... i okazje.

Doszli do bramy, nad którą umocowany był wysoki literowo-cyfrowy monogram fabryki. Strumień spieszących od tramwaju zniknął za wrotami. Wymieniano pozdrowienia. Pytano się, jak upłynęła niedziela. Macisz przestał molestować Ziembę. Przy schodach tylko raz jeszcze odezwał się w prywatnej zupełnie sprawie.

– Kiedy oddasz te piętnaście kawałków?

– Leon, jeszcze trzy, cztery tygodnie. Oddam na pewno. Tylko teraz z tym dzieciakiem. Maryśka jeszcze słaba. Tobie przecież nie są chyba tak bardzo potrzebne?

– Jak nie będę miał premii, to mi będą potrzebne!

– Jakoś się to zrobi... Bądź spokojny, Leon... Rozstali się. Macisz poszedł na górę do siebie, do sali wysokich napięć, gdzie pracowano pośród labiryntu kolorowych rur: żółta doprowadzała gaz, zielona – wodę, niebieska – powietrze. Ziemba pozostał na parterze.

W przerwie Lowak wyszedł na dziedziniec. Przez dłuższą już chwilę patrzył na Stebelskiego mordującego się z jakąś upartą kichą.

– Jeździmy na coraz gorszych dętkach! Co będzie za rok? – ponurym prognostykiem powitał go sofer.

– Za rok? Albo będziesz jeździł na lepszych, albo będziesz ganiał piechotą! – Stary filozoficznie potraktował skargę młodszego kolegi.

– Ładne wróżby!

– No co? Albo trudności przywozowe będą jeszcze trwały, albo je przewyciężymy!

– A jeżeli nie przewyciężymy?

– To rewolucja przez to cię nie zawali. To nie pies, co kuli pod siebie ogon i ucieka precz. To za rok będziesz chodził piechotą. Ty i dyrektor. Ja całe życie furt pieszo i dobrze! A za dwa albo trzy lata będziesz miał wspaniałe gumy na wszystkich czterech kołach i zapasowe w garażu. Trudności muszą być zawsze tam, gdzie staje się nowe. Ale trudności można poko-

nać. Zobaczysz, sami będziemy produkować i gumy, i koła, i całe samochody. Nie sparaliżuje nas zagraniczny kapitalista swym dzieciennym bojkotem. Strachy na Lachy. Nie bój się! Będzie, będzie. W Sowietach przed dwudziestu laty nie tylko gum brakowało. Głodni byli. Jakby rewolucje szły gładziutko, to by je robił Macisz, a ty byś go nie musiał zaganiać i napędzać...

– Gadają?

– Co nie mają gadać? Jęczą, stękają jak baby przy porodzie. Chciałbyś może, żeby szło lekko! Macisz dobrze pilnuje swego interesu!

– Nie on jeden.

– Ale i niejeden jest przeciw niemu. Matrasz, Kwękosz, Marczewski, Cybulak, Śniegula, Zdziarski, Kuncewicz – ci już rozmawiali ze mną. Będą za wnioskiem.

– Sześciu, wy siódmy, nas kilkunastu, a tamtych kupa. A Dąbek? – Stebelskiego zaniepokoiło stanowisko sekretarza Koła PPR.

– Zobaczmy...

Pod koniec poniedziałkowej dniówki rozeszło się po zakładzie, że Kazek Spokorny będzie rzecznikiem wniosku ZWM. Drożdżowa, która nadal uważała, że wielkopańska niańka to coś lepszego niż samodzielna robotnica, syknęła bardzo cicho: – Prowokator. – Głośniej wołała tego nie mówić; jeszcze wczoraj młodzi państwo bardzo ją ostrzegali... Za to młodzież zetwumowska otoczyła Kazka, jakby czulszą opieką. Słyszał przyjazne słowa, widział krzepiące uśmiechy, byli dlań coraz miłsi.

We wtorek Kuncewicz rozmawiał z Dąbkiem. Józef (na chrzcie otrzymał dziwaczne imię Józefat, ale nie znosił go. Co mu tam litewscy święci!) Kuncewicz, chłop długi na metr osiemdziesiąt, plutonowy pod Lenino i sierżant w Berlinie, jeszcze kawaler przed trzydziestką, był majstrem pracującym przy wysokich napięciach. Do partii wstąpił niedawno, lecz oddał się jej całym sercem. Po pierwszym okresie wstrętów – ojciec jego, stary robotnik „Gerlach”, zawsze walczył z wszelkim akordem – porwało go współzawodnictwo. Razem z deklaracją współzawodnictwa podpisał zgłoszenie do PPR. Młodzi, niewiele był zresztą od nich starszy, przepadali za nim. Wesoły i w słowach nie przebierał, jak to warszawiak!

Buchalter Karol Dąbek pracował w biurze dykcji, był tam kierownikiem referatu pracy i płacy. Do niego należało zarówno obliczanie pensji jak i wykonanych norm. Funkcja ta narażała go na sprzeczki z pracownikami, nie zawsze dokładnie znającymi reguły obliczania zarobków, które się zresztą w owym czasie często zmieniały. Dąbek niechętny był udzielaniu bardziej szczegółowych wyjaśnień – wystarczy, gdy on ręczy, że obliczenie jest rzetelne! – więc lubiany nie był, a sam też nigdy o przyjaciół nie stał. Do partii należał już trzy lata, od chwili kiedy ukonstytuowanie się Rządu Jedności Narodowej utwierdziło go w przekonaniu, że reżim ludowy w Polsce utrzyma się dłużej. Chwalebna ostrożność, stronił zarówno od przyjaciół, jak od błędów, doprowadziła do tego, że w czasie formowania Koła Partyjnego przy nowej fabryce żarówek, gdy namiętny, drwiący z politycznego kunktatorstwa swych kolegów, stary komunista Lowak zraził do siebie zebranych, on został wybrany sekretarzem Koła.

– Towarzyszu sekretarzu – Kuncewicz zaczął z tupetem – popieramy naszych smarkaczy pełną parą? Co?

– Jutro orzeknie egzekutywa.

– Ale już dziś by trzeba tym chłopakom jakieś dobre słowo powiedzieć, bo chodzą z nosami na kwintę i martwią się...

– Czym się martwią?

– A no, mówią, że sekretarz Koła Partyjnego przeciwny jest ich planom. Boją się, że ich nie zechcecie poprzeć.

– O tym, powtarzam, zadecyduje egzekutywa.

– Ale wy, co wy sądzicie?
– Nic nie sądzę. Radzę tylko: nie spieszyć się.
– Dlaczego?
– Jutro wam wytłumaczę.
– To oficjalnie. Ale tak prywatnie możecie mi dziś powiedzieć. Nie czekając jutra.
– Po co?
– Może macie rację. Pomogę wam.
– Racja bardzo prosta: żadnych instrukcji na ten temat nie otrzymałem. Ja tam wiem? – wrzucił ramionami. – Chłopaki coś nakręca, a potem Dąbek będzie bulił. Potrzebne mi? Wolę poczekać.
– Płaci się nie tylko za nadmiar gorliwości, ale za jej brak również, i to częściej... – Kuncewicz ogarniała pasja.

Rozmowa dwóch ludzi mających za sobą tak rozmaite drogi ideowe, tak różne usposobienia i tak odmienny pogląd na aktualne dla fabryki zagadnienia nie była łagodna. Dąbek upierał się przy wyczekującym i ostrożnym traktowaniu inicjatywy ZWM, bojąc się odpowiedzialności w razie jej niepowodzenia. Kuncewicz nalegał na bezzwłoczne poparcie młodych entuzjastów pełnym autorytetem Koła Partyjnego, w tym właśnie upatrywał gwarancję sukcesu. Chciał wprost wymusić na Dąbku wyraźne a pozytywne oświadczenie, ten jednak wywijał się i wykręcał jak piskorz. Wreszcie padły pierwsze obelżywe niemal słowa, Kuncewicz bojąc się, iż gniew jego obali szranki partyjnej dyscypliny, urwał raptem rozmowę i wybiegł z pokoju, z takim impetem trzaskając za sobą drzwiami, aż ramka z hasłem „Przez Współzawodnictwo do Socjalizmu”, wisząca na przepierzeniu z dykty, spadła na biurko referenta pracy i płacy.

W tenże wtorek jeszcze Leja rozmawiał z Dąbkim. Pokłócili się. Stebelski zreferował Kazkowi szansę zwycięstwa, była to raczej ocena pesymistyczna, ale Kazek nie rezygnował. Lowak razem z Kuncewiczem ostro agitowali partyjnych. Macisz konferował cały dzień z bezpartyjnymi robotnikami, a szczególnie z robotnicami. Przekonywał, jak mógł, a często mógł skutecznie. Dąbek z Ziembą stwierdzili, iż nie było między nimi specjalnych różnic. Tylko ten drugi pokłócił się z Cybulakiem, najmłodszym członkiem PPS.

W takim nastroju wyznaczone na środę zebranie obu Kół partyjnych oczekiwane było z napięciem.

– Jak tam było? – pytaniem powitał dyrektor Wysocki w czwartek rano Leję wchodzącego do biura.

– U nas niedobrze.

– To znaczy?

– Część Koła zachowała się jak gromada bab z przedmieścia. Kłótnia była ostra. Bodaj że większość poparłaby projekt zetwuemowców. Ale nie uchwaliliśmy nic konkretnego. Ziemba i jego poplecznicy bruździli, wykręcali, mamili. Sześć godzin tak się gadało. Wreszcie Ziemba wygłosił salomonową decyzję, że każdy może na zebraniu fabrycznym głosować, jak mu się podoba, lecz on nam oświadcza, że jeszcze jest za wcześnie na wprowadzenie zespołowego współzawodnictwa w naszej fabryce i że należy wezwać robotników do liczniejszego niż dotąd podpisywania deklaracji indywidualnych.

– Może to jest i rozsądne.

– Diabła tam! Przepraszam, panie dyrektorze. Pan, bezpartyjny fachowiec, odpowiedzialny wyłącznie za swoją fabrykę, za jej wąski wycinek, pan może zmierzać do ilościowego zwiększenia produkcji jedynie w naszym zakładzie. Ale my, w partiach, pragniemy czegoś więcej niż tylko wzrostu produkcji jednej fabryki. Wzrost produkcji i droga do tego – współzawodnictwo, to środki kształtujące w człowieku epoki socjalistycznej nowy, nie komercyjny, ale ideowy stosunek do pracy...

- A jak było w PPR? – Wysocki przerwał wykład Leji.
- Zdaniem Lowaka, niedobrze!
- Dla niego zawsze wszystko mało. To wielki ideowiec i idealista! Ale konkretny rezultat? Mniejsza o zdanie Lowaka.
- Oczywiście inny niż u nas. Oni mają większą dyscyplinę, mocniejsze szkolenie polityczne.
- Tylko że ich jest o połowę mniej niż was!
- Świadomość ideowa wyrównuje z nadwyżką różnicę liczbową. Uchwalili poprzeć inicjatywę ZWM. Nie obeszło się bez starć. Kuncewicz i Lowak są wściekli na Dąbka, że kłuczył, i dopiero jak go przycisnęli mocniej, „ugiął się przed wolą kolektywu”.
- A więc co przejdzie w sobotę?
- Trudno przewidzieć. Zdecydują bezpartyjni. Mam raczej złe przeczucia...
- Nie wiadomo, czy dla fabryki nie będzie to jednak lepsze. Zresztą pan, panie Romku, może być i tak dumny ze swego dzieła. Uchwałą czy nie, to jednak teraz spór idzie o dalszy rozwój współzawodnictwa, a nie, jak przed kwartałem, o jego wprowadzenie. To się panu udało...
- Lecz kto nie idzie naprzód, ten się cofa...
- To się tak mówi i pisze, ale życie ma co nieco inne, mniej teoretyczne prawa!
- Boję się, że pan dyrektor nie ma racji.

Każde włókienko ciała tęskniło pożądliwie, by zanurzyć się w chłodnej wiślanej wodzie. W mieście było duszno. Od tygodnia chyba zbierało się na burzę, która ciągle nie nadchodziła. Kazek pocił się potwornie nad swym warsztatem. Raz po raz elektrodowe druciki trafiały poza otworek rurki, w próżnię. Ręce mu się trzęsły, tak bardzo łaknął chłodu i cienia. Wydajność dzienna spadała. Upał kładł się ciężarem na barkach wszystkich. Gdy wydzwoniła czwarta, Spokorny zerwał się pospiesznie. Pobiegł jak strzała, lecz prześladował go dzisiaj pech. Już na dziedzińcu powstrzymał chłopca okrzyk:

- Hej tam, Spokorny! Poczekaj! Obejrzał się. Macisz kiwał nań ręką. „Czego chce znowu ta stara cholera?” – Zatrzymał się z widoczną niechęcią.
- Hej? – burknął mało uprzejmie, gdy tamten zbliżył się.
- Macisz próbował jeszcze jednej drogi przed jutrzejszym zebraniem.
- Jak tam z tym w y z w a n i e m ?
- A was co to wzrusza?
- Wzrusza jak wszystkich. Twoi przyjaciele stale się drą: wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Dla wszystkich szykujecie nową mordęgę, o którą nikt was nie prosił.
- Panie Macisz, pan się – powtarza. Ja już to słyszałem.
- Tacy młodzi jak ty dużo się jeszcze w życiu nasłuchają.
- Po toście mnie zatrzymali? Spieszę się.
- Dzierlatka nie ucieknie. Poczekaj. Ja chciałem ci powiedzieć to, czegoś jeszcze nie słyszał.
- Obejdę się bez tych rewelacji.
- Za chwilę będziesz ciszej gadał. Uprzedzam, jeżeli nie przestaniesz wygłupiać się z tym wyzwaniem, to – Macisz zniżył głos – publicznie jutro powiem, żeś złodziej i bandyta z Ochoty.
- Dyrekcja o tym wie i tak.
- Ale się o tym głośno nie mówi. Jak się raz publicznie powie, to z przodownictwa nici!
- Wy od tej strony? To ja wtedy powiem, kto do budki z gazetami na placu Narutowicza, która nie ma na ten handel koncesji, dostarcza żarówek, w jakich ilościach i po czemu.
- Ja noszę je ze sklepu teścia.
- Bez rachunków? Gazeciarzowi?
- Zniszczę cię, gówniarzu!
- Powodzenia! – zagwizdał Kazek i smyrgnął przez podwórze. Bardzo się spieszył nad Wisłę.

Długa klatka świetlicy zapełniona była ludźmi do granic możliwości. Rozpychali ściany ozdobione na przemian to politycznymi hasłami, to festonami kolorowej bibułki. Otwarte okna mało dopuszczały powietrza, gdyż połowę każdego zasłaniali siedzący na parapetach. Robotnicy nie bardzo wiedzieli, dlaczego zebranie tak się przeciąga. Każdy i tak był zdecydowany, jak ma głosować. Gorące przemówienie najpierw Stebelskiego, potem Lowaka pokwitowano przepisowymi oklaskami, które w części tylko były szczere. Kazek w imieniu młodzieży nie zrzeszonej, jako zwycięzca pierwszego etapu współzawodnictwa indywidualnego, poparł wniosek ZWM. Wreszcie na mównicy stanął Macisz. Sala umilkła, zaciekawiona. Ludzie sądzili, że Macisz wykręci kota ogonem, odwoła swe zastrzeżenia i jednak opowie się za wezwaniem.

Zaczął uroczyście. Wyrażał uznanie dla współzawodnictwa indywidualnego na fabryce. Nie można było poznać, do czego zmierza. Kluczył frazesami przez dziesięć minut, gdy nieoczekiwanie przeszedł do sprawy bardzo zasadniczej:

– ...dyrektor Wysocki może nam będzie mógł powiedzieć, ile reklamacji napływa do fabryki. Ludzie skarżą się, że żarówki ze znakiem naszej fabryki przepalają się w kilkanaście minut po ich włączeniu. Nie jest to dobre, gdyż w ten sposób okrada się społeczeństwo. Prawda?

Zaległa absolutna cisza. Wszyscy wiedzieli, że – prawda.

Macisz mówił:

– My dobrze wiemy, dlaczego tak się dzieje. Surowiec mamy gorszy niż przed wojną, oczywiście...

– Dlaczego „oczywiście”? – okrzykiem przerwał Lowak.

– Wiecie chyba lepiej ode mnie, ja wam zresztą nie przerywałem.

– Niech mówi! Niech mówi! – wołano z rozmaitych stron sali.

– Ale to nie tłumaczy wszystkiego. Proszę kolegów, to my gorzej pracujemy. Z dwu przyczyn. Dużo wśród nas jest robotników młodych, tej młodzieży, która sama nie umie jeszcze dobrze pracować, puszcza felery, nie dość dokładnie sprawdza, robi na hura, a nas starych chce uczyć.

Oklaski.

– Jajo mędrze dziś od kury. Ot, i rezultaty – skargi na złe żarówki. Najważniejszym zadaniem jest nauczyć naszych młodych kolegów dobrej pracy. Po drugie, my starzy robotnicy też źle pracujemy! Bo nie myślimy o jakości, tylko o ilości. Ja sam podpisałem deklarację współzawodnictwa, wyrabiam wyższą normę. Współzawodnictwo to dobra rzecz, ale najpierw musimy osiągnąć taką doskonałość w naszej pracy, by zwiększenie ilości szło w parze z dobrą jakością. I to jest nasze drugie zadanie. Więc... zresztą ja skończyłem. – Macisz urwał raptem w połowie zdania.

– Jaki jednak z tego wyciągacie wnioski? Jak ustosunkowujecie się do projektu młodych? – spytał zza zielonego stołu prezydium dyrektor Wysocki.

– Mam powiedzieć? – z głupia frant zwrócił się Macisz do zebranych.

– Mów! mów! Mówcie!

– To ja powiem krótko. Jestem przeciwny. Wpierw musimy nauczyć się wszyscy dobrze pracować, doprowadzić do tego, by żadnych reklamacji nam nie przysyłano do fabryki. Najpierw wyporządkujemy własne podwórce. A dopiero wtedy możemy w y z w a ć innych...

– Proszę o głos! – tubalnie ktoś przerwał Maciszowi w pół zdania. Z ostatniego rzędu zaczął przepychać się Kuncewicz ostro robiąc łokciami.

– Głos ma obywatel Kuncewicz.

Nad katedrą obitą czerwonym płótnem zawisł korpus Kuncewicza wsparty dwiema rękami na pulpicie, trochę dlań za niskim. Zaczął trzepać prędko i niezbyt składnie, ale tak, że wszystko było zrozumiałe:

– Towarzysze! Nie jestem mówcą i takich kawałów, jak Macisz, z zapraszaniem do głosu i krygowaniem się niczym narzeczona robić nie potrafię. Mnie teść-kupiec dyplomacji nie uczył! Ani nazywania białego czarnym, a czarnego białym. Ja szkoły fałszowania ksiąg dla urzędu skarbowego nie przechodziłem. (Głośny śmiech.) Ja powiem po prostu. Tak jest, są reklamacje z powodu złej roboty. Ale ja jestem majstrem i patrzę ludziom na ręce, jak robią. Spokorny ma siedemnaście lat i daj. Boże, by ci pod pięćdziesiątkę ze starego „Tungsrama”, tak solidnie pracowali. Żarówka robi się na taśmie, ale głowę daję, że gdyby każdy składał swoją od początku do końca i znał swoimi literami, to więcej byłoby skarg na żarówki tych starych fachowców niż tych młodych szczeniaków. (Młodzi zaczęli klaskać.) No, ale ponieważ nie można sprawdzić tego w taśmie, to ja pytam towarzysza Macisza, skąd on wie, że to właśnie młodzi pracują gorzej niż starzy. No, niech mi odpowie.

– Widzę!

– A ja też widzę. Nasze oczy tyle samo warte. A więc nie ma żadnych argumentów. Zero! Plus znosi się z minusem! („Brawo, Józek!” – krzyknął ktoś.) A więc można powiedzieć, że pracujemy wszyscy źle. Na to zgoda. Sądzę tak samo. Ale wiecie, jak jest z tymi reklamacjami? Zaraz wam powiem. Reklamacje są wtedy, kiedy żarówka jest zła. Jak dobra i świeci się długo, nikt nie melduje o tym do fabryki. Ile mamy reklamacji miesięcznie? Trzydzieści...

– Czterdzieści dwie w kwietniu! – odpowiedział z prezydium Wsocki.

– Czterdzieści dwie. Klawo! Niech będzie dla równego rachunku pięćdziesiąt. Czy tylko pięćdziesiąt złych żarówek wyprodukowaliśmy w jednym miesiącu? Na pewno więcej. Nie każdemu chce się zaraz gnać z pyskiem do fabryki czy pisać cetelki. Naurąga, poklnie, nasobaczy, wyrzuci ciemną gruszkę do kosza i kupi nową. Jestem hojny dla Macisza. Powiedzmy, że pięćset złych żarówek wypuściliśmy w ostatnim miesiącu. Z tym, że przecież żarówki, które teraz reklamowano, opuściły naszą fabrykę gdzieś na początku roku. W lutym, kiedy rozpoczynaliśmy produkcję. Teraz na pewno pracujemy lepiej. Niech jednak będzie tych pięćset. A ile wyprodukowaliśmy przez miesiąc żarówek w ogóle? Plan przewidywał sto tysięcy. Przekroczyliśmy go w ośmiu procentach. A więc daliśmy naszemu krajowi – sto osiem tysięcy żarówek. Z tego pięćset złych. Macisz twierdzi, że te pięćset to przez współzawodnictwo. A więc przez współzawodnictwo daliśmy dodatkowe pięćset żarówek złych na siedem tysięcy pięćset dobrych. To jest sześć i ćwierć procent złych, licząc od nadprodukowanych, a nie od wszystkich! A teraz proszę mi odpowiedzieć na pytanie, co lepsze dla mieszkańców Polski: czy żeby w dodatkowych siedmiu tysiącach pięciuset pokojach paliło się światło, a tylko pięćset rodzin narażonych było na wydatek drugich stu pięćdziesięciu złotych, czy też żeby osiem tysięcy ludzi siedziało po ciemku jeden miesiąc dłużej?

Sala milczała i tylko Lowak zaczął się śmiać drobnym chichotem – zaraził tym kilku dalszych – głośno, zabawnie rżał Cybulak, parskął Marczewski, śmiech radości szedł falą przez świetlicę. Siedzącemu w prezydium Leji twarz się rozjaśniła. Wsocki kiwał z aprobatą głową. Kuncewicz ciągnął dalej:

– Każda fabryka wypuszcza jakiś procent wyrobów nie do użytku. Po to włókniarze sprawdzają materiały, a my żarówki. Prócz jednej Julki Piórkowskiej żaden ze sprawdzających nie zgłosił się jeszcze do współzawodnictwa. Niechby podjęli zobowiązania, że nie będą puszczać złego towaru. Każda reklamacja to punkt ujemny. Wtedy nie będziemy wypuszczać złych, czyli źle sprawdzonych żarówek. Nie w ograniczaniu współzawodnictwa, ale w sprawdzaniu produkcji, sprawdzaniu także włączonym do współzawodnictwa, kryje się sposób walki ze złą produkcją. Jeżeli liczba braków będzie nazbyt wysoka, wtedy dobierzemy się do skóry tych, co pracują w produkcji. Gdy kraj jest tak bardzo zniszczony wojną, to lepiej mieć ubranie z materiału gorszego, niż nie mieć go wcale. Kto w takim położeniu radzi ograniczać produkcję, ten jest zwyczajnym sabotażystą. Tak, sabotażystą! Nie cofnę tego słowa. Wniosek naszych kolegów z ZWM jest wnioskiem socjalistycznym, nie tylko dlatego, że nas sa

mych zmusza do wzmożenia pracy, ale zmusza także i tych z Katowic, więc pomnaża globalną produkcję przemysłu. Popieram ten wniosek w imieniu Koła PPR i wzywam was wszystkich do tego samego.

Dostał – jak każdy – swą porcję oklasków. Lecz sprawa nie była jeszcze wygrana.

Zarządzono głosowanie.

– Kto jest za wnioskiem Koła ZWM, żądającym wezwania fabryki w Katowicach do bratniego współzawodnictwa socjalistycznego – donośnie zapytał przewodniczący – niech podniesie rękę do góry. Przypominam: wolno głosować tylko raz.

Uniosło się kilkadziesiąt rąk. Ziemia, Dąbek i Stablewski z prezydium liczyli głosy. Z PPR i ZWM wszyscy jak jeden podnieśli dłonie. Leja liczył swoich z PPS i bezpartyjnych. Trzydziestu trzech jego towarzyszy poparło wniosek. Ucieszył się: to jednak więcej niż połowa członków Koła Partyjnego. Bezpartyjnych ledwo dziesięciu.

– Osiemdziesiąt jeden za! – ogłoszono z prezydium. – Kto jest przeciwko wnioskowi?

Niemal tyle samo rąk znalazło się w górze. Obie strony były pełne emocji. Wielu liczyło samodzielnie nie chcąc czekać na obwieszczenie z prezydium.

– Osiemdziesiąt cztery przeciw! – Brawa zmieszały się z gwizdami, ktoś darł się: – Hańba nam! – Leja narachował czternastu pepesowców, reszta bezpartyjni. Przewodniczący ręką dawał znak, by się uciszyli. – Cicho, jeszcze nie koniec! Kto się wstrzymuje?

Dłoń uniosł Wysocki oraz bardzo wielu robotników bezpartyjnych i pepesowców. Chwilę trwało liczenie.

– Sześćdziesiąt! A więc większość naszej załogi opowiedziała się przeciw wnioskowi.

– Szkoda, że tak wielu wstrzymało się! – z nieoznaczoną intencją rzekł nie wstając dyrektor Wysocki.

– Proszę o głos! Jeszcze nie koniec dyskusji!

– Głos ma Spokorny!

Dla dodania swym słowom większej wagi, a może dlatego, że już część podniosła się do wyjścia, Kazek przepchnął się ku prezydium i po raz pierwszy w życiu wszedł na mównicę. Wszyscy byli zdumieni, co on im jeszcze powie. Macisz się zląkł. Kazka stremowała cisza.

– Ja... ja... chciałem jedno tylko rzec. We współzawodnictwie indywidualnym bierze udział czterdziestu kilku. Jednak osiemdziesięciu poparło nasz wniosek. Więc ponad trzydziestu jeszcze powinno się zapisać, choćby tylko do indywidualnego...

– Brawo, Spokorny! – wykrzyknął Lowak, a za nim zaraz Leja. – Oczekujemy zgłoszeń tych, co są za!

Kazek jednak nie schodził z trybuny. Dwakroć otwierał usta chcąc dalej mówić. Gwar był już zbyt wielki. W końcu przewodniczący jeszcze raz zaczął nawoływać do porządku i Spokorny jękając się znów podjął:

– Wobec ...e ...tego, że nie przyjęto wniosku, jako młody bezpartyjny wzywam w imieniu młodzieży naszej fabryki młodzież wszystkich fabryk żarówek w całym kraju do współzawodnictwa zespołowego młodzieżowego...

Urwał i zszedł z mównicy. Posypały się oklaski. Wszyscy byli zadowoleni: jedni, że utracili propozycję sobie niewygodną – a smarkacze niech sobie gnają! – inni, że jednak wezwanie zostało rzucone. Gwar zgłuszyli dopiero członkowie ZWM intonując: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew...”

Lowak ścisnął Kazka. Przed trzema miesiącami Spokorny miał tutaj niemal samych wrogów, teraz – posiadał już przyjaciół.

„Piekielko”

Późną wiosną młody mężczyzna powoli szedł Nowym Światem w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Twarz – ot, przeciętna! – nie przyciągała niczyjego wzroku. Natomiast chód idącego niewymownie śmieszył dwu uczniów klas najniższych, wracających ze szkoły, którzy idąc za młodym człowiekiem usiłowali podrygami i podskokami naśladować jego charakterystyczny krok. Nie było to wcale łatwe, wydawało się, iż najpierw stawia on palce, później dopiero opuszcza na ziemię pięty. Czyniło to wrażenie niepoważnych skoków, które zgoła nie pasowały do zamszowych półbutów na grubej, podwójnej podeszwie, wąskich spodni, długiej samodziłowej marynarki oraz jaskrawo żółtego krawata tkwiącego maleńkim supelkiem między prostokątnymi rogami wysokiego kołnierzyka. Wpatrzony w ziemię, pilnie uważał, by nie wpaść w którąś z licznych zasadzek czyhających na nogi przechodniów. Nowy Świat pokrywały jeszcze dziury i wyrwy. Obie strony ulicy były w pełnej odbudowie, mury dom przy domu – i przed ukończeniem całości nie opłacało się porządkować chodników. I choć przechodnie zazwyczaj z najwyższym zaciekawieniem oglądali stale rosnące mury zabytkowych kamieniczek, młodzieniec w przyciasnych spodniach mijał obojętnie budowle, całą uwagę koncentrując na oszczędzaniu obuwia. Podniósł oczy dopiero wtedy, gdy obok obstawionego rusztowania pałacu Staszica usłyszał głos kobiecy:

- Wik! Nareszcie! Myślałam już, że katastrofa...
- Wypluj to słowo. Byłem zajęty...
- Już wracałam do domu. Półtorej godziny...
- Pierwszy raz w życiu?
- Nie, ale teraz...
- Więc po co to gadanie. Żebyś w życiu zawsze tylko tyle czekała, co na mnie! – I ruszył dalej w Krakowskie. Spotkana, smukła blondynka o silnie zadartym nosie i wesołych oczach, zawróciła z nim.
- Co tam słyhać! – zapytał pierwszy.
- Za pół godziny, o drugiej, przyjdzie Andrzej. Już miałam telefonować, aby odwołać...
- To znakomicie. Wie, że ja będę?
- Nie.
- Niespodzianka?
- Nie wiem, czy będzie z niej zadowolony. Przez telefon czułam, że ze mną nie ma ochoty się widzieć...
- Ciągłe nie może się przyzwyczaić?
- Ja i on to ogień i woda. Uważaj, żebyś czegoś nie chlapnął w rozmowie. Jest piekielnie serio! Nie zna życia.
- Nie to, co ty! – roześmiał się raczej kpiąco.
- A w tym „Wieczornym” zdziwaczał do reszty.

Weszli w drzwi lokalu. Kawiarnia była w piwnicy, schodziło się w dół po wąskich kręconych schodach. Przybytek ów odznaczał się osobliwą publicznością. Znaczną część dnia okupowała ona bar kawowy prowadząc i ubijając swe mętne interesy. Ot, szumowiny stołecznej młodzieży akademickiej lub udającej akademicką!

Stłoczeni przy kilkunastu stolikach w dwóch półmrocznych salkach piwnicznych, skąpo oświetlonych żarówkami, zaciemnionych smugami papierosowego dymu – sami sobie wydawali się nie byle jaką siłą, lekceważącą kolegów, państwo, władzę, nawet historię.

Gdy Wiktor z towarzyszką zaczęli się przeciskać w tłumie młodzieży, owiani mocnym zapachem czarnej kawy, od stolików pozdrawiano ich przyjacielsko. Ukłonił się jakiejś dziewczynie w czerwonym lejbiku, uściśnął dłoń – „sie masz, Tolek” – okrągłemu grubasowi siedzącemu w przejściu na dostawionym do zbyt zatłoczonego stolika taborecie. Ktoś do niego zawołał kordialnie: – *How are you* – co brzmiało po prostu „ha!arju”, z dominującym akcentem na drugim „a”. Dopchnęli się wreszcie do stojącego w rogu stolika i spoczęli na przyściennej ławce. Rezydował tu chłopak o rudej czuprynie, w okularach w grubej rogowej oprawie, w beżowej wiatrówce z brązowymi rękawami.

– Ile? – nie bardzo ścisząc głos zapytał go Wiktor.

– Sześć do trzech dla „Lewkonii”.

– Ile poszło? Guzik mnie obchodzi twoje kopanie.

– Sto osiemdziesiąt.

– Słabo. Po czemu?

– Sześćset trzydzieści pięć.

– Jeszcze ujdzie.

– Z tym tak. Gorzej z kinami.

– Jeszcze się ten kurierkowy smród wlecze?

– Wczoraj pod „Palladium” milicja capnęła małego Felka. Na szczęście był czysty, wszystko już wcześniej opylił. Sypnął go bileter. „Kurier” ich dźgnął tymi artykułami i teraz gorsi są od gliny. Gonia jak psy.

– Choroba – Wiktor był zły, już drugi raz „Kurier” psuł mu interes. – Każ wstrzymać na jakiś czas. Uspokoi się. Wyłapią może szczeniaków od „Pryszcza”. – To była konkurencja. – Spłynie. Przyschnie. Zaczniemy od nowa. Może trochę inaczej.

– Rozkaz!

– Wik! – odezwała się właścicielka zadartego noska. – Wezmiesz dwadzieścia miękkich, dwa po dziesięć?

– Po ile?

– Słyszałeś: sześćset trzydzieści pięć.

– Zwariowałaś, kochanie! To my tyle bierzemy, kupujemy... po ile dziś? – zapytał rudego.

– Sześćset pięć.

– Ze mną się targujecie? – głos panny stał się drwiący. – Takie numery to na wynos. Nie tutaj. Ja też muszę mieć swoje.

– Kto ci to dał?

– Ta polonistka z pomponem na berecie, w kratkowanym kocu.

– A skąd ona to ma? Od chłopca?

– Nie ciekawam. Chce opylić – biorę. Jutro mam dać forszę. Dajesz sześćset trzydzieści pięć, to dobrze, nie – to weźmie Krawczyk.

Wiktor pod stołem dwukrotnie kopnął rudego, co znaczyło: jechać powoli w górę. Rudy podwyższył więc stawkę o pięć. Zocha roześmiała się kpiąco. Wspólnik co prędzej dorzucił kilka złotych. Wiktor lapidarnymi argumentami – swoje i tak będziesz miała! – nacierał na przyjaciółkę. Dziewczyna nie przyjmowała oferowanych stawek: znała dobrze swego towarzysza. Licytacja toczyła się szybko, nie było to jakieś rytualne targowanie się, pełne gierki, finezji i uporu, zaskoczeń czy uników, w których by smakowały obie strony czyniąc ze swego sporu niemal obrządek, gustując w samej grze cyfr. Wiktor i rudy nie mieli kupieckich tradycji. Oferowali ceny prędko, nerwowo, jakby nielegalność transakcji zmuszała do jej przyspieszenia w obawie przed wykryciem czy zaskoczeniem. Byle dobić targu i dolarowe papierki czym prędzej puścić w kurs. Byle złowić choć kilka punktów zysku. Rudy wyliczał cyfry.

Wiktor ponaglał. Zocha cierpliwie czekała na stawkę najwyższą, lecz gdy tamci nazbyt rozdrabniali końcowe sumy, znudzona sięgnęła po ostami atut.

– Helo! – przez szerokość salki skinęła ręką na jednego z dalej siedzących. – Panie Józku, prosimy tutaj!

W „Piekiełku” nie trzeba się było krępować. Koło wieczora bywa tu trochę ludzi obcych, lecz w porze obiadowej urzędują sami swoi.

– Daj pokój! – Wiktor ścisnął Zochę za rękę. – Załatwiamy między sobą. Ostatecznie obojętne, które z nas zarobi. Prawda?

– Jak obojętne, to czego się kłócisz? Tylko że jak ja potrzebuję pieniędzy i o byle grosz muszę błagać, to wtedy nie jest wszystko jedno!

Między stolikami sunął w ich stronę postawny brunet, ubrany z rozmyślnym niedbalstwem: brudnobiałe spodnie, także lniana marynarka z krótkimi rękawami, na gołych stopach sandały, a w klapę marynarki wpięty dwuberłowy znaczek Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć już przed dwoma laty Krawczyk wyjechał z Krakowa i na żadnym uniwersytecie nie był ani teraz, ani dawniej. Widząc zbliżającego się, Wiktor warknął najwyższą cenę:

– Sześćset trzydzieści pięć! No już!

Chrzęszczące jak blaszki dwa zielonkawe papierki przesunęły się z dłoni Zosi do Wiktorowych. Temu wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, czy aby „zera” nie są kunsztownie domalowane tuszem. Wyjął z tylnej kieszeni spodni złożoną paczkę pieniędzy i szulerским gestem, od siebie, odliczał pięćsetki.

– Dzień dobry pani! – Krawczyk szarmanckim ruchem ucałował podaną dłoń. – Co dobrego, co nowego?

– Za późno. W tej chwili już ani nic dobrego, ani nic nowego! – Wiktor wyprzedził Zochę w odpowiedzi.

– O, dlaczego? Niech pan siada, panie Józku – zapraszała Zosia. – Znajdę coś i dla pana. Sprawiedliwie – roześmiała się i ku Krawczykowi wyciągnęła złoty pierścionek.

– Ile? – Ręka z klejnotem podsunęła się zupełnie blisko pod oczy Józka.

– Ja go biorę! – Wiktor chciał pochwycić pierścionek z dłoni Zosi, lecz uprzedził go Krawczyk.

– Spokojnie, kolego! To mnie pani Zosia zrobiła ofertę. W rodzinie – uśmiechnął się – niedobrze handlować, to psuje miłość.

– Ile pan daje? – Zosia ucięła komentarz do stosunków łączących ją z Wiktorem.

– Dwanaście patyków.

– To dobry żart. A serio?

– No, czternaście.

– Zocha, ja daję piętnaście – podbił Wiktor.

– Obajście dobrzy!

– Siedemnaście. – Krawczyk przyjął licytację.

– Osiemnaście! – odezwał się rudy kopnięty przez Wiktora.

– Jak dojdziecie do dwudziestu pięciu, to mi powiedzcie. – Zocha wyjęła z torebki „Przeгляд Sportowy”, jedyne pismo czytowane tutaj bez wzbudzania sensacji, i już chciała się zabrać do lektury, gdy Krawczyk wstał i uklonił się.

– Do widzenia, panno Zosiu! Ja na bohatera próby generalnej z „windziarzem” nie nadaję się. Za stary ze mnie szpak na takie wice.

A że powiedział to głośniejszym, niż przyjęte było w tutejszym obyczaju, od wszystkich stolików zaczęto odwracać ku nim głowy. Uklonił się z przesadną dwornością raz jeszcze i odpłynął w dym, człapiąc sandałami.

– Przechytrzyłaś! Daję teraz piętnaście i ani dudę więcej.

– Ode mnie chcą więcej. – Głos Zosi stracił poprzednią stanowczość.

– To im oddaj do diabła cały pierścień i koniec. – Chyba, żeby cię wieczorem na ulicy okradli bandyci, nawet z milicyjnym protokołem. Każdemu się to może zdarzyć! – pół żartem parsknął rudy. – Takie dowcipy pošlij do kalendarza.

– Aha! Lepiej zachować na coś grubszego. Hi! – Rudy wpadł w dobry humor. Nie lubił przyjaciółki „szefa”. – No więc: piętnaście!?

– Jeszcze nie wieczór. – Schowała towar do torebki. – Ten Andrzej znowu się spóźnia. Dała do zrozumienia, że oczekują kogoś i że rudy winien zostawić ich samych.

– No, to serwus... kupcowo! Wik, co jeszcze dla mnie? Rudy podniósł się do wyjścia.

– Nic, tylko po drodze szturchnij Tolka, niech się tu przysunie. A jutro o dwunastej.

Grubas z daleka usłyszał wezwanie. Po chwili siedział już przy stoliku Wiktora. Szept ich rozpląnął się w gwarze sali:

targować się można było głośno, jednak techniczne szczegóły transakcji towarowych musiały być załatwiane bardzo poufnie. Chodziło o pięćdziesiąt metrów welwetu i trzydzieści gabardyny, które gruby Tolek miał odkupić od Wiktora. Lakonicznie ustalili miejsce odbioru i warunki płatności, gdy Zosia szarpnęła za rękaw przyjaciela.

– Andrzej! – Wiktor poruszył dłonią i Tolek odskoczył na stare miejsce.

Po schodach schodził Andrzej Kornecki. Rozglądał się pilnie. Pierwszy raz był w „Piekiełku”. Z niesmakiem konstatawał: ciemno, duszno, dym, tłok i nazbyt wiele młodzieży. Nie lubił rówieśników lub młodszych od siebie. Zmroziły go pretensjonalne, żygolackie stroje siedzących mężczyzn i obłędne fryzury dziewczyn. Zauważył swą siostrę, Zosię. Kiwała mu ręką. Też miała dwa roztrzepane koki na głowie, jeden z przodu, drugi z tyłu. Po niej nie spodziewał się niczego innego: ani wyboru lokalu, ani uczesania, ale był zły, że dał się nabrać.

– Serwus, stary druhu! – Wiktor serdecznie wyciągnął rękę, a Zosia widząc niepewny ruch brata zaczęła trzepać:

– Ach, tak! Przecież wy się doskonale znacie. Prawda, Jędrzek? Wiktor to mój kolega z uniwerku!

Dopiero teraz Kornecki poznał swego kolegę z gimnazjum, Wiktora Chłudzińskiego, syna popularnego przed wojną adwokata. W młodszych klasach przyjaźnili się bardzo, potem odsunęli się od siebie. Dzieliły ich temperamenty. Chłudziński nie lubił książek, w życie natomiast wskoczył wcześniej i od razu obiema nogami. Należał do tajnych młodzieżowych organizacji politycznych, młodonarodowych. Wcześniej zaczął chodzić poza szkołę w cywilnej czapce, zgrabnie szulerował w kartach i cynicznie przechwalał się erotycznymi sukcesami. W czasie wojny – razem jeszcze zdawali tajną, okupacyjną maturę – utkwiał od razu w jakiejś trudnej do określenia konspiracji, „pewnie też oenerowskiej” – jak zawsze sądził Andrzej. Od matury już się nie widzieli. Dopiero teraz.

– Jak się masz! – Kornecki ścisnął dłoń koledze, niepewny, czy ma się cieszyć, czy być obojętnym. Zastanawiał się, czy mówić mu „pan”, czy może wystarczy „ty”. Próbował przypomnieć dawne sentymenty, choć z Chłudzińskim nic go już nie łączyło.

– Jako tako! Pcha się demokratyczny wózek!

– A co z ojcem? – Był rad, że pamięć o panu Chłudzińskim, wysokim, siwym, nienagannie ubranym mężczyźnie, bodaj przewodniczącym Rady Adwokackiej w okresie uchwalania antyżydowskiego *numerus clousus* – o czym zgryźliwie wyrażał się stary Kornecki – pozwoliła mu chwycić jakiś wątek rozmowy.

– Nie wiesz? W czterdziestym trzecim był na pierwszej malinowej liście... – I zaległo kłopotliwe milczenie, normalne po takich odpowiedziach. Kornecki był zły, że o to spytał. Pamiętał o antyżydowskich ustawach Chłudzińskiego i pomyślał, że kto mieczem wojuje... rozumiał jednak, iż pamięci adwokata może czyni krzywdę, tyle ludzi wojna potrafiła zmienić... Trzeba było prędko zatuszować niefortunny początek, więc zwrócił się do Zochy:

– Przepraszam, że się trochę spóźniłem, ale byłem na bardzo ciężkim pogrzebie brata mojej znajomej. Straszna historia! Chłopak młody, szesnaście lat, zamordowany został jeszcze w zimie. Lecz dopiero teraz znaleźli ciało. Już gnił...

– To dla was, gazeciarzy, gratka nie lada jaka, sensacja jak cholera – zauważył Chłudziński.

– Teraz już prasa nasza na sensację tego rodzaju nie leci. Zmieniliśmy się trochę.

– Nie przesadzaj! Ten twój „Kurier” po staremu wacha, o czym by tu coś podniecającego napisać. Nieznośna gazeta!

– Dlaczego? – Po raz pierwszy Kornecki usłyszał tak cierpką opinię o lubianym w stolicy dzienniku.

– Wtrąca nos w cudze sprawy. Denuncjuje. Czyni mętlik. Przedtem z domami towarowymi, teraz z kinami.

Cierpką uwagę Chłudzińskiego zaliczył Kornecki do pozytywnych ocen reportaży, ocen, do których się zresztą już jakby przyzwyczał.

– Przeszkadza ci, że...

– Mnie w niczym nie przeszkadza, ale takimi artykułami robicie tylko zamęt w normalnej sprzedaży w PDT czy w kinach. Teraz na wszystkich klientów patrzą jak na złodziei.

– Utrudniamy nadużycia...

– Istniejące wyłącznie w dziennikarskiej imaginacji. Komplikujecie normalny obrót towarowy... – Nie pomagały uspokajające szturchańce Zosi, Wiktor był zły na „Kurier Wieczorny”.

– Przesadzasz. – Zosia uznała za słuszne wziąć stronę brata.

– I ty jeszcze mówisz, że nie leciecie na sensację? Ciekawym tylko, kto wam dostarcza tych numerów.

– Nawet nie wiem, to nie jest mój dział, to są zresztą – Kornecki czuł, że lepiej fantazją zakamufłować rzeczywistość – materiały dostarczane nam przez milicję. Inspiruje ona artykuły, niekiedy przysyła nawet gotowe.

Autorytet milicji zęcnie urwał temat. Lecz Chłudziński krążył wokół:

– Tam u was pracuje taki młody kulas ?

– Jacek Siwicki. To właśnie... – O mały włos nie powiedział „mój informator”, ale zatrzymał się w porę. Andrzej postanowił zapytać Jacka, co łączy go z Chłudzińskim – ...to nasz goniec, bardzo miły. Znasz go?

– Kiedyś zgubiłem parasol. Poszedłem do was i on informował mnie, w którym pokoju mieści się dział rzeczy znalezionych. Oddali mi parasol. To prowadzicie bardzo solidnie.

– Wszystko prowadzimy solidnie. A ty co robisz? Co skończyłeś? – Rytualne pytanie starych kolegów szkolnych.

– Prawo.

– O, to tak jak i ja. Dziwne, że nie spotkaliśmy się.

– Ja skończyłem w Łodzi.

– To w jaki sposób Zosia koleguje z tobą na uniwersytecie?

– Dla amatorstwa uczęszczam teraz na historię sztuki. A wszyscy humaniści to koledzy.

– Aha! Spotkałeś może któregoś z naszych? – Jeszcze jedno sakramentalne pytanie. – Leja, pamiętasz, taki barczysty, zawsze siedział w drugiej ławce naprzeciw katedry. Ten jest technikiem w fabryce żarówek.

– Żarówki. Uhum! Dobry towar. Ale *à propos* fabryka. Mam do ciebie pewien interes i właśnie prawdę mówiąc to Zosia nas specjalnie umówiła.

– W czym mogę ci pomóc?

– Poza dziennikiem podobno pracujesz w Państwowym Zjednoczeniu Budowlanym?

W istocie Kornecki prowadził w dyrekcji tego Zjednoczenia referat prasowy.

– Tak, ale to nic poważnego. Parę godzin w tygodniu za ledwie. Segreguję wycinki i od czasu do czasu kleję jakiś komunikat do prasy.

– Ja szukam teraz stałego zajęcia... Patrzysz na moje ubranie. Na bezrobotnego w istocie nie wyglądam. Ale to jeszcze ojca kapitały. Wszystko jednak ma swój koniec i choć mnie to odciągnie od historii sztuki, to jednak muszę przyjąć posadę. U was, słyszałem, wakują miejsca prawników. Spisywanie umów, prawna dokumentacja obiektów, no takie wiesz...

– Nie wiem.

– Ale ja wiem.

– Jeżeli ci chodzi o protekcję, to...

– Nie, Jędrzek, nie, a w każdym razie nie twoją. Bądź spokojny. Mam już i tak poparcie jak należy: jeden gość z partii. Przed złożeniem podania chciałem po prostu dowiedzieć się, jak u was panują stosunki. Jak i kiedy płacą? Czy dyrektor ma węża w kieszeni? Czy duże biuro? Wiesz, chodzi mi o atmosferę pracy, to ważniejsze niż wysokość zarobków. Dużo was tam pracuje?

– W samej centrali ze sto osób. Ale to tylko w biurze. Masa, chyba kilka tysięcy ludzi, pracuje na budowach w oddziałach rozrzuconych po całym mieście. Trzecią część Warszawy my budujemy. Przy wypłatach kasa jest obłożona, dopchać się wprost nie sposób, bo kasjerzy z oddziałów przychodzą po wielotysięczne kwoty, liczą, sprawdzają, coś potwornego.

– Mocna forsa?

– W sumie tak, mocna, ale w przeliczeniu na głowę to normalna, zwykła siatka państwa, są tylko dodatki i premie.

I rozgadali się. Kornecki opowiadał o swym biurze, o kierownikach, o kolegach. Wprawdzie tylko trzy razy tygodniowo po trzy godziny bywał w Zjednoczeniu, ale Chłudziński zręcznymi pytaniami i tak wiele się dowiedział.

Opowiadając Kornecki krążył wzrokiem po kawiarni. Nie podobało mu się tutaj. „Ot – pomyślał – tak wygląda towarzystwo Zosi, na nic więcej jej nie stać.”

Przy sąsiednim stoliku zabrzmiał ostry śmiech. Młoda para studentów: ona – przepisowy bałagan na głowie, on – fioletowy krawat w pomarańczowe koła, grali w coś bardzo interesującego. Osłaniając podłóżne kartki dłońmi, pisali na nich atramentem, a potem wymieniali swe notatki i przeczytawszy wybuchali głośnym śmiechem. Redaktora zaciekawił wygląd kartek, na których prowadzono tę korespondencję. Zainteresowały go one do tego stopnia, że opowiadając szkolnemu koledze o terminach wypłat przerwał relację i wręcz spytał siostrę:

– Co tamci robią?

– To taka gra: flirt pisany.

– Lecz przecież oni piszą na... – Nie miał odwagi słowem potwierdzić spostrzeżeń.

– Tak, tak, masz rację! – uśmiechnął się Chłudziński. – Na pięciozłotówkach. Nowiutkie banknoty, prosto spod igły. To już taka gra.

– Ależ to są publiczne pieniądze! – Andrzej miał kult dla przedmiotów użytku społecznego. Do białej gorączki doprowadzali go ludzie mnący banknoty w kieszeni.

– Drukują ich dosyć, starczy dla wszystkich. Nawet na zabawę. – Dla Zosi i Wiktora reakcja Korneckiego była wręcz śmieszna. Głupie pięciozłotówki! Niektórzy używali w tym celu nawet dziesiątek, a po dobrej wódce i dwudziestek.

Cała niechęć Korneckiego odczuwana wobec socjety w „Piekiełku” wyładowała się w oburzeniu na marnowanie banknotów. Chciał zwymyślać grających, lecz poczuł, że tutaj jest tylko odosobnionym intruzem, który narażając się na śmieszność nic nie wskóra. Coraz bardziej zły był na siostrę. Umilkł; wynikła kłopotliwa przerwa w rozmowie. Chłudziński wy czuł nieprzyjazny odruch dawnego przyjaciela – „był dziwakiem i pozostał nim” – a że osiągnął już cel spotkania, kiwnął dłonią na kelnerkę:

– Płacić. Trzy małe kawy i dwie sodowe.

Wychodząc Wiktor nie odpowiadał na ironicznie żegnające go uśmiechy – sąsiedzi domyślili się nieporozumienia – nie chcąc, by brat Zosi zorientował się, jak wiele go z tym gronem łączy.

Na ulicy Kornecki wskazał przeciwny kierunek swej drogi niż wymieniony przez Zosię i Wiktora.

– Czy ojciec pisał? – Panna Kornecka czuła, iż wypada rodzinnym akcentem zamknąć dysonans tego spotkania.

– Pisał. U staruszka wszystko w najlepszym porządku. Wpadnij do redakcji, to ci pokażę list! – Wiedział, że nie przyjdzie. Pieniądze i tak przysyłał ojciec prosto na jej adres.

Narodziny uczuć

Betoniarz Jeliński mówił swoje, a Marek myślał swoje i raz jeszcze pamięcią przebiegał tamte dni.

Wszystko to było nader pospolite, jednak dla każdego zawsze nowe, inne, osobliwe. Nie pierwszy Marek, mając lat siedemnaście, czekał na swą dziewczynę – „swą” było tu raczej marzeniem niż faktem – spacerując uparcie po trasie jej codziennych wędrówek, by sprowokować przypadkowe spotkanie. „Odprowadzę panią!” – wydawało mu się pomysłem szczególnie sprytnym. Dalej zakusy chłopca nie sięgały. Znał ją zaledwie od niecałych dwudziestu czterech godzin. Podczas trzech, nawet niekolejnych, tańców na imieninach przyjaciela zdołał dowiedzieć się tylko tyle, że brunetka o bladej twarzy nazywa się Hanka, mieszka na Chmielnej nieopodal Srebrnej, a chodzi do gimnazjum na Wawelską. Z lekkim sercem poświęcił jej pierwsze godziny poniedziałkowej pracy. Bardziej się kłopotał, by nie prześlepic zgrabnej sylwetki w tłumie rannych przechodniów – chodziła do szkoły dopiero na ósmą. Mógł tedy bez wzbudzenia jakichkolwiek obaw matki, zbyt często niepokojącej się z jego powodu, wyjść z domu o normalnej porze. I tak jeszcze za wcześnie! Tym pewniej spotka dziewczynę. Wszystko odbyło się jak należy.

– Dzień dobry pani! – dogonił ją zachodząc z tyłu. To też było ukartowane, spieszył niby w tym samym kierunku.

– O! Pan pewnie do tramwaju – ucieszyła się.

– Nie, mam interes na Kolonii Staszica. – Skłamał tonem możliwie najbardziej obojętnym; chłopięce kodeksy wzbraniały ujawniania uczuć, szczególnie takich.

– Świetnie, pójdziemy razem. – Trudno odmówić takiemu zaproszeniu,

– Z największą przyjemnością! – „Rozmawiamy okrągło, jak w przepisach dobrego wychowania” – pomyślał jeszcze przytomnie.

Dalej już toczyły się zwykłe pytania: A jak pani bawiła się wczoraj? A gdzie pan mieszka? A była pani na *Słońce wschodzi?* morowy obraz! Wreszcie:

– To bardzo ciężko w taki skwar siedzieć w klasie? – Ona potakuje, że istotnie ciężko. I jak zaczęli mówić o upale, to... Któż nie wie, jak się zwykle dzieje w takich razach. Nie sposób odtworzyć pierwszej propozycji kuszenia i zgody, dość, że zamiast wędrować na Kolonię Staszica, tramwajem pojechali nad Wisłę. Marek machnął ręką na tunel. Hanka bez bólu odżałowała kilka godzin szkolnych.

Na dzikiej plaży, na samym końcu Wału Miedzeszyńskiego, spędzili pół dnia. Koziół znał różne dziewczyny, nieobce mu były proste tajniki takich znajomości, lecz teraz cały czas czuł się onieśmielony. Zupełnie nowe wrażenie. Spętane miał dłonie. Nie bardzo wiedział z początku, czy wypada mu Hanke wziąć pod rękę. Wprawdzie współnictwo w popełnianym przekroczeniu dyscypliny pracy ośmielało do tego, lecz lękał się ją urazić. Pusta pamięć nie podsuwała żadnych rad stosownych do tej okoliczności. Czuł się nieswojo w stroju robotczym, zły był na siebie, że nie wziął porządniejszego ubrania, lecz wzbudziłoby to podejrzenia matki. Hanka była swobodniejsza. Kierowała pstrą rozmową. Gdy w pewnej chwili na Wale chwyciła Marka za rękę i w radosnym, zdawało się, nastroju zaczęła kołysać splecionymi dłońmi, było mu bardzo miło.

Z tamtych godzin nad Wisłą pamiętał tylko gesty, nie słowa. Rozmowa musiała być zupełnie nijaka. Prawdopodobnie opowiadał jej o pracy na Trasie – najciekawszy posiadany prze-

zeń temat – ona mu o swej szkole. Kapali się i opalali. Na koniec odnaleźli wspólną namiętność – kino. Plażowanie zakończyli filmem.

Wracając po seansie do domu mówili już sobie po imieniu. I nic nie było w tym dziwnego, że we wtorek rano znowu spotkał ją na Srebrnej i bez zbędnych już wymijań i korowodów od razu pojechali nad Wisłę. W kinie cały czas pozwoliła mu trzymać swoją dłoń, a na schodach, przed mieszkaniem, pocałowali się po raz pierwszy, pośpiesznie, krótko i z wzajemnym jakby rozczarowaniem.

W środę rano dopadł ją na Chmielnej, ale już tylko po to, by zakomunikować, że dziś na plażę iść nie może. Hanka też wołała nie nadużywać cierpliwości wychowawczyni. Umówili się dopiero na sobotę wieczór.

„Mam nadzieję, że do ósmej ta zabawa się skończy” – pomyślał rozpamiętując nie tyle to, jak było, ile to, jakby być mogło, gdyby był mniej nieśmiały, bardziej agresywny. Obiecywał sobie być takim dzisiaj po kinie. Ostatecznie Hanka – dziewczyna jak każda inna! Od dwudziestu już minut brygada majstra Tybura uczestniczyła w zebraniu; Marek jednak obecny był tylko ciałem. Przyszli również Wojciechowski jako sekretarz Koła PPR i Kuczmierk sprawną tę samą funkcję w PPS. W świetlicy budowlanych, w niskim drewnianym baraku nabitym ludźmi, było piekielnie gorąco; nie pomagały otwarte okna, tyle tylko że można było wyrzucić nimi na świat boży i popatrzeć sobie, gdy inni gadali, na ogromny szmat budowy.

W rozgrzanym powietrzu każdy szczegół występował bardzo wyraziście. To już nie był rozkopany, rozwalony, rozbebeszony plac sprzed trzech miesięcy niewiarę budzący w przechodniach. Z chaosu wyłaniały się kształty i zarisy.

Już rozpoczęto pracę na wszystkich odcinkach przyszłej Trasy. Z wody wiślanej, zmaconej robotą, wyrastały ku górze kamienne filary, białe, oplecione siatką drewnianych rusztowań. Było ich pięć. Między nimi rozpięto taśmę rusztowania montażowego. Równocześnie gdzieś tam het! na Śląsku, w Zabrze i w Chorzowie trójkatne segmenty mostowej konstrukcji suną dźwigami nad hałaśliwą halą, od kuźni do montowni. Przed pałacem księcia Pepi wygięło się czarne działło ściany oporowej, takim półłukiem pójdzie jezdnia wsparta na usypiskach i na stawianych właśnie filarach małego, niskiego wiaduktu. Na gliniastym placu Mariensztatu wyrzynają się z ziemi, niby pierwsze zęby mleczne, niziutkie mury nowych fundamentów. Ileż to było lamentów i wyrzekań, gdy przedwczoraj z rozbieranej rudery przy Nowym Zjeździe ewakuowano upartych lokatorów gnieźdzących się tam jak nietoperze w załomach starego młyna, w brudzie i ciemnocie, wśród gruzów. – Zaczyna się! – mruknął wtedy mały, krępy inżynier Rostoń, kierujący tą akcją z ramienia Warszawskiej Dyrekcji Odbudowy. Miał na myśli kłopoty, które już odtąd stale będą towarzyszyć odbudowie miasta. Nie można bowiem tolerować półruin, a nawet całych domów, jeżeli przeszkadzają one planom nowej stolicy; tego nigdy nie będą w stanie zrozumieć ludzie usuwani z tych ruin, chyba że od razu wprowadzi się ich do nowych, piękniejszych mieszkań, a tak nie zawsze przecież będzie i nie zawsze być może.

Na Trasie wykonano już dwadzieścia pięć procent robót. Marek prznosił powoli wzrok z placu mariensztackiego na szczecinę drutów wystających z żelbetonowych ścian oporowych tunelu. Omiatał oczyma całą budowę, lecz inaczej niż zazwyczaj: nie zastanawiał się nad tym, co widział, nie zapalał entuzjazmem do konstatawanych osiągnięć. Ciągle wracał myślami do Hanksi, a głos Jelińskiego, powoli cedzącego słowa przez gęste powietrze upalnego dnia, dochodził doń jakby z oddali:

– Jeżeli tak dalej będziemy pracować, to diabli wezmą cały harmonogram naszych robót. Siedzimy przecież w tej rozwalonej Warszawie i wiemy dobrze, że każdy dzień dłużej bez drugiego mostu to dręczenie ludzi, mieszkańców, nas samych. Alojzy telepie się co dzień z Targówka, aż przez Poniatowskiego, co nie jest wygodne.

– Aha! – przytaknął zza stołu Alojzy Bednarz.

– Most i tunel – to dwie połowy całości. „Mostostal” gna. Ho, ho! A my, sakramenckie dziady! Towarzystwo wzajemnej adoracji. Łęgosz nie był w piątek. Maciuga co i raz urywa sobie godziny. Koziół, choć młody i przykładać się winien wzorowo, jak w sobotę po fajerancie poszedł, tak zjawił się dopiero w czwartek rano. – Marek nadstawił uszu usłyszawszy swoje nazwisko. Zaczął uważać. – Spadają wam dniówki, wasza rzecz. Tracisz, masz widać na to. Nic mi do tego. Ale tak w każdej brygadzie – jeden, dwóch, a może i trzech. Leżymy na obie łopatki. Tamci, z mostem polecą naprzód, a my ich nie dogonimy! Leniuchujecie, wagarujecie, bąki zbijacie, a obok nas rośnie piękna robota. Rosłaby prędzej, gdybyśmy się lepiej przykładali. Towarzysze, czas najwyższy! Kolektyw winien chwycić za łeb tych opornych i albo won z roboty, albo będziesz pracował akuratnie!

Jeliński był gruby i mały. Przy ostatnich zdaniach przestał odmierzać słowa i wpadł w złość. Poczerwieniał i zamasyście wymachiwał rękami. Sprawa dojrzała do rozstrzygnięcia. Bumelanctwo ostatnimi czasy przybrało niepokojąco na sile. Groziło niedotrzymanie terminu wykończenia ścian tunelu. Pierwsi opamiętali się członkowie PPR, wśród nich Jeliński.

– Jak to wygląda? – głos zabrał drugi towarzysz z PPR, Kurzydło. – Co niedziela tłumy ludzi wałęsają tutaj. Od Krakowskiego jest warta, to przechodzą od Starówki. Co dzień po południu istna pielgrzymka. Wszędzie wtykają ciekawe gęby, radzi ujrzeć cud, o jakim mówi całe miasto. Teraz już nikt nie jęczy, że rozwalamy stare: każdemu zaczyna podobać się to nowe. Czy mamy być jak mnisi w klasztorze, którzy modlą się tylko, jak ludzie patrzą? My przecież nigdy nie skończymy tego tunelu, jak go tak będziemy wlec. Peperowcy zorganizowali zebranie wszystkich zespołów, które skończyły już usuwać gruzy i przesunięte zostały do betonowania. Brygada Tybury stawiała się w komplecie.

Kurzydło skończył i nikt następny nie zapisał się do głosu. Patrzyli badawczo jeden na drugiego.

– No, no, wszyscy się zgadzają z tym, co mówił Jeliński? – ironizował półgłosem Wojciechowski.

Milczenie. Nikt nie chciał mówić pierwszy – temu zawsze najtrudniej. Będą się śmiać.

Znad Pivnej wzbiła się cała chmara gołębi. Ktoś je wypłoszył. Trzepocąc skrzydłami, zataczały kręgi, najpierw wyraźne, jak po wrzuconym w staw kamieniu, potem nikszące.

Przyciągnęły na moment uwagę obradujących. Minęła minuta, może dłużej, nim ptaki z powrotem zaczęły siadać na ruinach, jeszcze nie tkniętych ręką człowieka. Wtedy o głos poprosił sam Wojciechowski.

Marek był ciekaw, co też powie towarzysz sekretarz. Z namiętną uwagą wprost zawisł wzrokiem na jego ustach. Gruba, mocno ku dołowi wywinięta warga Wojciechowskiego najpierw poruszyła się kilkakrotnie, jakby chciał, a nie mógł wydobyć głosu. Czekał widać, aż usiądą ostatnie ptaki i zebrani obrócą wzrok w jego stronę.

Wreszcie zaczął mówić z cicha, jak dobry orator, który zna prawa rządzące słuchaczami. Powoli głos mu potężniał. Postawił od razu sprawę zasadniczo:

– W Polsce są w tej chwili naprawdę tylko dwie grupy ludzi. Wszelkie inne podziały są mniej istotne. Ci, co budują, odbudowują i rozbudowują – i ci, co im w tym przeszkadzają. Wrogowie obłudnie chwając nasze osiągnięcia twierdzą, że gdyby rząd zmienić na kapitalistyczny, to odbudowa szłaby o wiele prędzej. Tym argumentem mydlą oczy głupim ludziom. Kraje znajdujące się w kręgu działania kapitału amerykańskiego odbudowują się wolniej niż my. Dlaczego? Bo kapitaliści lokują pieniądze tylko w rentownych budowlach, w domach mieszkalnych dla bogaczy, a nie w wielkich robotniczych koloniach mieszkalnych, jak my na Żoliborzu, a nie w przebijaniu nowych arterii komunikacyjnych, które by ożywiły całe dzielnice. A poza tym odbudowa to okres ciężkich wysiłków. Pracujemy stale więcej, niż otrzymujemy za naszą pracę. Ale komu dajemy ten wielki wysiłek? Kapitaliście? Nie, jemu nie dalibyśmy. We Francji robotnicy dlatego właśnie strajkują. Dajemy tylko naszemu państwu ludowemu, robotniczemu. Ot, co. Każdy odbudowany dom, każda uruchomiona fabryka to

dowód sprawności naszej władzy, wzrost naszej siły, to cios dla tych, co chcą nas widzieć słabymi, aby móc nami kierować. Choćby nawet byli Polakami, za każdą cenę pragną wstrzymać proces odbudowy, by zniszczyć autorytet władzy ludowej. Sabotują, mordują, kradną, innych do kradzieży namawiają, wszystko czynią, byle tylko opóźnić położenie każdej następnej cegły. W Polsce są dwie grupy: tych, co świadomie budują, i tych, co świadomie niszczą. Jest jednak i grupa trzecia, tych, co może nieświadomie postępowaniem swym pomagają niszczycielom. Powiem szczerze, kto opuszcza pracę, ten opóźnia budowę, a więc czy chce, czy nie chce, po jego woli czy mimo woli jest sabotażystą, niszczycielem, wrogiem...

Koziół myślał o Zenonie. Tylko dwa dni, poniedziałek i wtorek, przeplązował z Hanką. We wtorek wieczorem spotkał przed bramą domu czekającego nań Lutka. Trzeciego dnia nieobecności na budowie, w środę, pracował dla „szefa”. Nie mógł wykręcić się od polecenia, które było pierwszym po przysiędze w lesie anińskim.

Otrzymał rozkaz obserwowania woźnego ze Zjednoczenia Budowlanego, który szedł tego dnia około dwunastej ze swojego biura, mieszczącego się na Wilczej, do Banku w Alejach Jerozolimskich i z powrotem. Wszystko razem trwało niewiele dłużej niż godzinę, lecz rozerało dzień pracy na pół i do roboty nie było już po co chodzić.

Od czasu gdy życie zaczęło przed chłopcem stawiać coraz to poważniejsze problemy do samodzielnego rozwiązania, racje Zenona były dlań tylko tak długo nie zachwiane, jak długo słuchał jego słów. Gdy znalazł się poza ich zasięgiem, w kręgu innych dowodów, spostrzegł fałsze głoszone przez „szefa”, sam wytaczał kontrargumenty, znajdował racje przeciwne i nawet dziwił się, dlaczego nie miał ich na podorędziu wtedy, gdy mógłby rzucić je Zenonowi w oczy. Tak i teraz – gdy Wojciechowski swoją mową splatał bicz oskarżenia – Marek zupełnie wyraźnie widział, na kogo jest on kręcony. Na Zenona, który i jego, i Kazka, i Zbycha, i Jacka – każdy po kolei musiał śledzić woźnego i oczywiście zaniedbywać pracę – odrywa od ich obowiązków, a więc, który – jak powiedział sekretarz – opóźnia odbudowę. Łatwo zapomniał o poniedziałku i wtorku. Z tego się rozgrzeszył. Pamiętał natomiast o środzie. Czuł jakby ukłucie na myśl, że oto pomaga Zenonowi, który nie chce budować, chce burzyć – wyraźnie im to mówił w lesie. Stare zastrzeżenia od kilku miesięcy gnębiące chłopca znów wyrastały w myśli dręczącym znakiem zapytania, który coraz wyraźniej stawał się wykrzyknikiem, nakazem.

Wojciechowski tymczasem skończył.

Kuczmierek szturchnął w bok Bronowskiego, młodego, koło trzydziestki, wygadanego i czupurnego.

– Mów, Jurek. Powiedz ty im teraz coś od nas. Przyłącz się w naszym imieniu. No!

– Co tam będę strzepił jęzor darmo. W sobotę płacą mi tylko do drugiej, już i tak godzinę siedzę na bezdurno.

– Właśnie, właśnie, tak właśnie powiedz, że musisz siedzieć dlatego, że inni nawalają robotę, a więc zabierają nasz wolny czas, kradną nam go. Z tego rogu można zacząć tańczyć – szeptał uparcie Kuczmierek. – No, mów!

I głośno zawołał:

– Bronowski chce mówić!

To był zawsze dobry sposób. Wywoływany musiał wydukać kilka słów, choćby nie wiedzieć jak się zarzekał. A kiedy zaczął, to dalej już zdania same przychodziły, były szczerze i dobre.

– Więc... – powolutku podejmował Bronowski łowiąc w pamięci słowa już mniej uniwersalne. Gdy raptem w tok rozpoczętej mowy wdarł się piskliwy głos Zenka Kałamajskiego. Znakomity betoniarz, bezpartyjny, na Trasie pracował dopiero od kwietnia, ale znano go już z innych budów. Stał teraz pochylony nad stołem, nieduży i szczupły, dzięki czemu zdawał się wyższy, niż był nim w istocie, i machał długimi patykami rąk, nawet w stosunku do własnego tułowia nazbyt cienkimi.

– Hola! hola! Takie zakosy do niczego nie doprowadzą. My wiemy, że budowa Trasy jest ważna, że odbudowa Warszawy to narodowy obowiązek, że wagarując pomagamy wrogowi. Już wyżej dziurek od nosa mamy tych deklaracji. Dobrze dla gazet, którym za to płacą. Kto do tej pory nie wie, że pracuje na najważniejszej budowie prowadzonej teraz w naszym kraju, kto nie wie, że pracuje dla własnych nóg, zelówek swoich i swojej rodziny, to matoł, dureń i kretyn, i każdego słowa szkoda dla niego. Wiadomo, że nie jesteśmy samymi orłami. Co tu dużo trzepać ozorem... Kto się urznął wtedy na Miodowej?...

– Ty sam! – jak echo odpowiedział jakiś bas.

– Ja też. Nie zapieram się. Chciałem właśnie powiedzieć, że urznęliśmy się wszyscy. Teraz znowu wszyscy chodzimy na boczki. I gadanie nic nie pomoże. Trzeba każdego z nas wziąć za gardło, postawić tu – wskazał środek izby otoczony stołami – przed gromadą i niech się drań tłumaczy. Dlaczego nawala? Dlaczego laufuje? I co myśli robić, by lepiej pracować. Ale bez tych wielkich słów o ojczyźnie i socjalizmie. Dlaczego? Jak? Ile? Kiedy? Każdego oddzielnie przyprzeć do ściany, żeby się nie mógł wyśliznąć, i opracować go, opracować, opracować – powtórzył raz trzeci i usiadł.

Z kąta wstał Maciuga; wzrostem i budową zasłużył na przezwisko „Maczugi”. Głos miał stosowny do wyglądu, więc zagrzmiał:

– Koledzy! Po co zaraz takie wielkie słowa? Wróg, sabotaż, ojczyzna. A samiście, towarzyszu Wojciechowski, przed wojną, pamiętacie, u „Martensa i Daaba” na robocie stroili kpi-ny, gdy w konstytucji napisali o odpowiedzialności przed Bogiem i historią...

– Bo to było przed nikim. Tu jest natomiast odpowiedzialność przed nami, konkretnymi ludźmi, przed naszym robotniczym rządem. – Wojciechowski z miejsca odparował atak.

– Nie chodzi mi o szczegóły, tylko o te wielkie słowa. Wtedy ich używano, żeby pokryć bezkarność, teraz wy używacie, aby...

– ...była karność! – wrzasnął Kurzydło.

– ...aby piętnować drobiazgi. Gdzie sabotaż? Gdzie wróg? Tak, ja się spóźniłem raz, drugi i trzeci do pracy, ale czy wy wiecie, ile ja mam dzieci?

Pytajnikiem, na który nie dostał odpowiedzi, Maciuga zawiesił na chwilę swą mowę.

– Pięcioro dzieci. Ile to jest kłopotów? A to szkołę załatwić, to buty zreperować, a to kupić portki czy sukienkę. Ja na to wszystko sam nie zarobię. Żona też musi pracować, szyje w domu i za wielu sprawami nie ma czasu latać. Załóżcie dla naszych dzieci przedszkole, załóżcie żłobek... – I znowu przerwał. Nikt nie chrząknął nawet, Maciuga dotknął spraw naprawdę ważnych.

– Ja jestem dobry robotnik – kontynuował. – Ale świat wymaga ode mnie, od każdego zresztą, nie tylko, bym betonował tunel, ale i dzieci uczciwie chował. Nie bez kozery kawalerom strącają podatek. – Zachichotali. – Dopóki nie pomożecie mi w trosce o dzieci, dopóty ja będę musiał spóźniać się czasem, może nawet nierzadko. Ja mój akord i tak robię. Ja też pragnę naszą Trasę widzieć skończoną i piękną, ale...

Nie umiał skończyć. Zabrnął w labirynt słów, kilkakrotnie powtarzał swe naprawdę ważne powody, nawracał do Trasy, przypominał dzieci, wypominał żłobki. Wreszcie urwał w pół zdania i opadł na ławę nie rzekłszy ani słowa o swych projektach czy zobowiązaniach na przyszłość. Nic nie obiecywał, wprawdzie żądał. Wytknął mu to zaraz Wojciechowski, na co Maciuga nie zareagował i tylko z miejsca, siedząc, mamrotał dalej swoje, podtrzymywany półgłosem przez tego i owego. „Przedszkole” – z wykrzyknikiem, podwójnie podkreślając zanotował w podręcznym zeszycie Wojciechowski. Za chwilę miał zapisać więcej tych uwag.

– Przyczyną spóźnień jest komunikacja. Czy nie dałoby się załatwić z dyrekcją tramwajów, aby pierwsze wozy wychodziły z przedmieść o dziesięć minut wcześniej? – zaproponował Kołacz. Miał zawsze kłopoty z jazdą z dalekiego Bródna. Wojciechowski zanotował z nikłą wiarą w możliwość załatwienia: tramwajarzom też się sen należy.

– Nie mówić o spóźnieniach, ale o nawalonych dniówkach – gorączkował się Jeliński. Ale o tych jakoś nikt nie chciał wspominać, to było już trudniejsze do usprawiedliwienia. Aż wstał Kalinowski, młody robotnik, często gęsto nieobecny na robocie całe dni.

Stanął, ręką dał znak, iż chce mówić. Trudno mu to przychodziło. Zaczął nieartykułowanym dźwiękiem – i umilkł. Rozglądał się bezradnie. Jednak nie siadał, nie rezygnował z głosu. Niecierpliwie pochrząkiwano za jego plecami. Gdy sytuacja przedłużała się i Wojciechowski chciał już wywołać dalszych zapisanych, raptem Kalinowski wykrzyknął z jakąś ogromną pasją:

– Ja... ja... ja, panie Wojciechowski, nie jestem żaden wróg. Jak możecie? Co to, to nie. I ja... ja wam obiecuję przed tym, jak to mówią, kolektywem, że ja... kolektywem robotniczym, że ja już nie będę... nie będę... pił...

Ktoś w rogu sali zaklaskał w dłonie, reszta – wprost zbaraniała. To było coś zupełnie nieoczekiwanego. Odkąd rękoma swymi budowali domy i drogi, czegoś podobnego nie słyszeli. Ba! Nawet na świętej spowiedzi nikt nigdy nie obiecywał wyrzeczenia się gorzałki. Tylko Wojciechowski ponad głowami innych wyciągnął swą krótką, o kwadratowych poduszkach palców dłoń i wymownym gestem ścisnął rękę Kalinowskiego.

Wtedy wstał Waławczyk.

– Kalinowski głupio gada. Głupio i podle. Po co wywlekasz prywatne sprawy przed wszystkimi? Dlaczego?! – krzyczał wprost do Kalinowskiego.

– Nie chcę być wrogiem.

– Wróg nie wróg. Słowa. Od kieliszka jeszcze się Trasa nie zawali, mocniejszą ją zbudujemy. Co kogo obchodzi, czyj interes, czy ty pijesz, czy nie pijesz. Pić mi wolno. Moja prywatna sprawa. Mojej kobiety i moja. W robotę proszę zaglądać. Mogą sprawdzać, robię dla nich.

– Dla siebie robisz, trutniu jeden!... – krzyknął Kałamajski.

– Źle robię – Waławczyk nie zareagował na okrzyk – wolno strącić mi z dniówki. Wywalić nawet z pracy. Ich prawo. Ale od picia – wara. Zaczyna się od zaglądnienia w kieliszek. Potem do garnka. Potem może jeszcze do łóżka... Co zarobię, mogę przepić, żeby mi nawet wszyscy diabli stali na drodze. Zresztą to też państwowy interes, za te same pieniądze co ta Trasa. Daj kurze grzędę, ona wyżej siedzie. Kalinowszczak, dałeś im teraz grzędę. Zaczną nas dopiero musztrować, urkiesy, psia ich mać...

– Skończyliście? – przerwał Wojciechowski. Uśmieł się, ale dość miał tych bredni.

– Nie, jeszcze chwileczka... – Waławczyk perorował dalej, ale Kalinowski zawołał:

– Chcesz, by ci w oczy rzucili, żeś drań, zdrajca, wróg? Że przeszkadzasz budować naszą Warszawę? Bo ja nie chcę.

– Z głupim gadać. Pijana pałka. – Waławczyk uczynił pogardliwy ruch ręką i usiadł.

– Najłatwiejsza odpowiedź. – Kurzydło był piekielnie zły na Waławczyka.

Leszcz był starym robociarzem. Razem z dzisiejszym dyrektorem ich oddziału, inżynierem P., pracował przed dwudziestu pięciu laty przy pierwszej w Warszawie budowie żelbetonowej, przy rekonstrukcji wiaduktu Trzeciego Maja.

Dwa długie opadające kosmyki rudych włosów nie pasowały do wielkiej, okrągłej, wyłysiałej czaszki. Musiała płynąć w nim tatarska krew, bo oczy miał skośne i wydatne kości policzkowe. Rozpoczął teraz, zaciągając wschodnim akcentem:

– A ja wam powiem, że mnie to się podoba. Dawniej nie było tej solidarności. I harowałeś, bracie, za innych, rad, że cię z roboty nie wykopsali precz. Woda w gębę i wsio rawno. Mnie się to teraz podoba, i ja wam powiem, bracia, dlaczego nie byłem w zeszyły czwartek na robocie...

– Betoniarka przez ciebie, łysa pałko, stała.

– Tak, stała. Powiem, bracia, dlaczego. Szczerze powiem. Nie chciało mi się wstać z łóżka, ot co.

– Baba dogodziła – zarechotali.

– Dogodziła, nie dogodziła, wasz owaki interes, bracia. Po prostu stare kości nie chciały, ot co. Śmieli się dalej.

– Śmieście się. Śmieście. Podoba mi się solidarność w narodzie... Po naszymu, po robociarsku, jak to teraz mówią, po klasowemu. I ja też oświadczam kolektywowi robotniczemu, że, bracia, już do końca tunelu nie opuszczę ani jednej dniówki...

– Chyba że na cmentarz! – wśród braw krzyknął jakiś żartowniś.

– Chyba że na cmentarz, bracia. Podoba mi się... Słowa Leszcza, na ogół dość lubianego, przełamały lody tradycyjnej nieśmiałości, nie pozwalającej zbyt otwarcie ujawniać swych spraw osobistych przed gromadą kolegów, chyba że przy kieliszku. Poderwał się teraz i mały Solarski, chłop niedawno przybyły spod Białegostoku, a już wciągnięty w tajniki handlu na bazarach, i Czygóra rudy jak wiewiórka, który zwykł solennie święcić murarskie poniedziałki, i Berent boczący się na nowe porządki, jeden z tych idealistów nigdy nie dostrzegających potrzeb życia społecznego, i kilku innych.

– Dobrą mają, psiekrwie, pamięć! – syczał Jedliński do Kurzydły, gdy wywlekali z odległej przeszłości wielu tygodni, skoro niczego bliżej nie było, jakąś opuszczoną dniówkę, nie zawsze tę najistotniejszą, jakieś spóźnienie, którego nikt nie zauważył, i usprawiedliwiali je z pełnym zapalem. – Czy prawdziwie? – Jeliński pytał Wojciechowskiego. A ten mu odpowiadał, że o to już mniejsza, grunt, że zaczęli usprawiedliwiać się przed gromadą. Czynili to w przybliżeniu, z grubsza. Potem solennie obiecywali poprawę. A choć bez cyfrowych zobowiązań obietnice te też wyglądały mało wiarygodnie, to jednak Kurzydło chuchał w dłonie i raz po raz trącał łokciem w bok Jelińskiego czy Wojciechowskiego: – Idzie woda, kręci młynek, aż dokręci! – Ale czekał jeszcze, gdyż zaczęli prosić o głos ci, których sumienie nie było obciążone żadną absencją, rzetelni pracownicy. Radzili, jak usprawnić betonowanie, jak opędzić się pokusom spędzenia czasu poza robotą, kierowali uwagę rady zakładowej i dyrekcji na mankamenty w organizacji pracy, piętnowali niepoprawnych warchołów.

Marek poczerwieniał z emocji. Chłopcu łatwo udzieliła się ta gromadna pasja, która doszła do szczytu, gdy powtórnie wstał Waclawczyk i nie wdając się w żadne rozważania na temat poruszony uprzednio, oświadczył, że jego dwukrotna nieobecność spowodowana była słabością żony, „możecie to łatwo sprawdzić”, i że on też, jak koledzy, nie opuści już ani jednego dnia. I nim ścichła porcja przeznaczonych dla niego braw, jeszcze stojąc dodał: – A pić mi i tak nie wolno, widzieliście ochotnika na prohibicję! Uważaj tylko, gorliwych w tyłek biją!

Kozioł zapomniał o Hance, o Zenonie, przejął się całym zebraniem. Owładnęła nim pasja zbiorowego przeżycia.

Przed rokiem wszyscy oni siedzieli jeszcze w głuchych opłotkach wiejskich lub prowadzili rzemieślniczą murarkę w małych firmach budowlanych, w ogromnej ilości powstałych w powojennej koniunkturze i dopiero teraz, w roku 1948, zanikających na rzecz wielkich przedsiębiorstw państwowych. Dzisiaj z mało uświadomionej grupy produkcyjnej murarze ci, właściwie rzemieślnicy, zaczęli się powoli przekształcać w zespół robotniczy przemysłowy, rządzący się swoimi specjalnymi prawami. Rodziło się to „nowe” wśród robotników „Beton-Stalu” w pierwszych miesiącach budowy Trasy. Każdy z nich mimo woli czuł się dumny, że właśnie tu pracuje. Po raz pierwszy uczestniczyli w budowie, o której tak szeroko mówiono w kraju, o którą tak troszczyły się władze państwowe. A oto rzucono im ciężkie, krzywdzące, bolesne oskarżenie o sabotaż, o wrogość. Uderzenie było celne. Oskarżenie oburzało! Poczuli mus złożenia deklaracji.

Składali ją jeden po drugim. Rodziła się siła kolektywu. Może jeszcze zbyt słabego, by ludźmi kierować, lecz już przez nich uznanego za czynnik nadrzędny.

W końcu – nie mówiło jeszcze tylko trzech. Marek na początku zebrania chciał podać byle jakie głupstwo na swoje usprawiedliwienie. Teraz już jednak nie mógł tak uczynić. Jeszcze nie zdobył się na zupełną odwagę, zresztą w podobnym gronie może i nie było na nią miejsca, więc wypalił krótko:

– Nie byłem na robocie, gdyż poszedłem się kąpać nad Wisłę – i znacznie ciszej, jakby to było największe jego przewinienie, dodał: – z koleżanką. – Zachichotali, jak zwykle, gdy

mowa o kobietach, a Kozioł dokończył już pełnym głosem: – Ale to się nigdy nie powtórzy. – Pewien był, iż z Hanką nad Wisłę chodzić będzie jedynie w niedzielę.

Kurzydło uznał, iż nadszedł czas.

– Towarzysze! Pięknie! Bardzo pięknie! Aż łzę mam w oku. Ale dobrymi chęciami jest piekło, jak się to dawniej mówiło, wybrukowane. „Obiecuję, obiecuję”, lecz to są słowa palcem na wodzie pisane. Weksel trzeba na własną solidność podpisać. Dopiero wtedy jak piśmiennie zobowiązemy się rzetelnie pracować, będziemy pewni, że robotę odwalimy. Grunt to hipoteka, a co dzień na nią patrzymy przy robocie...

– He, he, he...

– I ja wam tu w imieniu nas, peperowców, taką hipotekę zaproponuję. Żebyśmy się nie tylko publicznie zobowiązali do nieopuszczania dniówek i ukończenia robót betoniarских w czasie przewidzianym przez plan, co przecież jest obowiązkiem każdej brygady, ale byśmy się zobowiązali plan ten przekroczyć, to jest przyspieszyć wykonanie. Niewiele na początek, o dziesięć dni. To, co miało być wybetonowane do 1 sierpnia, ukończymy do 21 lipca. Dla uczczenia Święta Odrodzenia.

Pierwsi zaczęli klaskać peperowcy. Kurzydło przerwał swą mowę i czekał na aprobatę wszystkich, każdego oddzielnie lustrując wzrokiem jakby karcącym. Więc brawa rosły, po tężniały; klaskali chyba wszyscy.

– Zgadza się? To dobrze. I nie tylko sami się zobowiązemy – mówił dalej – ale inne brygady też wezwiemy. Potrząśniemy całą naszą robotą, niech zgniłe jabłka spadną z „Beton-Stalu”. Niech się inni obudzą razem z nami. A kto nie podejmie, to...

– Wróg! – zapiał dyszkantem Kałamajski.

– ...to wróg, mimo że Maciudze to słowo tak się nie podoba. A i ono na niektórych drani jeszcze za słabe. Zresztą – Kurzydło przerzucił się w ton żartobliwy – czy my sami tylko mamy pracować? Niech inni też tyrają. No, co?

Zaaprobowali.

Wojciechowski podniósł się uroczyście.

– Nie wystarczą oklaski. Musimy głosować. Żeby każdy wyraźnie wypowiedział się wobec siebie i drugich, czy solidaryzuje się z gromadą, czy też nie. Stawiam pod głosowanie wniosek towarzysza Kurzydły w sprawie zobowiązania przyspieszenia pracy i wezwania innych do takiego przyspieszenia. Kto jest za wnioskiem?

Obecnych było siedemdziesięciu ośmiu. Podniosło się siedemdziesiąt rąk.

– Siedemdziesiąt – obliczył Wojciechowski. – Kto przeciw? Nikt.

– Reszta wstrzymuje się? – Lecz też nie wzniosła się żadna ręka.

– Tak być nie może. Ośmiu musi być przeciw, jeżeli się nie wstrzymuje ani nie głosuje za. Nie wolno ani tak, ani tak, ani tak.

– Głosujmy jeszcze raz – poradzili. Tym razem za wnioskiem uniosło się siedemdziesiąt siedem rąk. Wstrzymał się Maciuga.

– Ja pracować będę, jak trzeba, aby nadrobić te dziesięć dni, tylko uważam, że zanim od nas będzie się żądać, należy pamiętać o naszych dzieciach i żonach. Wstrzymuję się dla porządku. Żebyście mnie tylko wrogiem nie nazywali...

– To nawet lepiej, jak jeden tak nijak, inaczej byłoby diabło nudnie – roześmiał się Kurzydło, ale tego Marek już nie słyszał. Przed innymi wyskoczył z baraku i popędził do trolejbusu. Właśnie „C” wytaczało się szerokim łukiem z Miodowej na Krakowskie.

Wesoło mu było na duszy. I zebranie się udało, i na ósmą zdąży bez trudu, jeszcze się w domu nieco ogarnie.

Lutek

– Panicz mi w tym pomoże! Poprawi! Ja przepiszę. Nabrzmiała, czerwona, o krótkich pościeranych paznokciach dłoni położyła na pulpicie ławki kartkę wydartą z zeszytu, a pokrytą nieporadnymi rządками liter niezbyt trzymających się linii. – Panicz mi to poprawi – powtórzyła po raz drugi, ale głos jej zmienił się już z proszącego na żądający, niemal ostry, tak bardzo zależało jej widocznie na wysłaniu listu. Chłopiec po raz pierwszy usłyszał z ust swej dorosłej uczennicy jakąś prośbę. Zawsze dotąd, w trakcie wspólnej niemal dwumiesięcznej pracy, tylko burkliwie przytakiwała jego pouczeniom i z małomówną skrupulatnością, niekiedy z mozołem, wykonywała zadawane ćwiczenia. Michalina Rostkowska sama zgłosiła się do związku zawodowego grupującego pomocnice domowe z żądaniem ułatwienia jej nauki pisania i czytania – umiejętności jej nie wykraczały poza książkę do nabożeństwa oraz rozeznawanie cen w sklepie. Ta wysoka koścista, już dobrze po pięćdziesiątce kobieta uczyła się starannie i rzetelnie. W dni ustalone: poniedziałki, środy i piątki, punktualnie o szóstej po południu, sztywna i wyprostowana, siedziała w zbyt ciasnej dla siebie ławce szkolnej oczekując chłopca spóźniającego się regularnie. Nigdy nie mógł zdążyć, pełen zresztą niezmiennego podziwu dla siebie, iż w ogóle obowiązek ten wypełnia tak skrupulatnie, jak nigdy żadnego innego przedtem, odkąd sam był uczniem.

Cóż mógł innego wymyślić? Oczywiście zaczął od rytualnego zdania z elementarza Falskiego: „Ala ma psa Asa. As jest to pies Ali.” Zawyły szyfr „a” – inaczej pisanego jako duża, inaczej jako mała litera – opornie szedł stwardniałej dłoni Michaliny; minęło szereg lekcji, nim opanowała sztukę przepisywania tych kilku zdań. Były to dni najcięższe dla chłopca-nauczyciela. Mozolnie tłumił ziewanie, oczy kleiły się, każdorazowe dziewięćdziesiąt minut rysowania litery po literze trwało wieczność. W te dni chłopiec gardził sobą, że dał się namówić na zajęcie tak bezsensowne; po co tak głupio tracić majowe godziny kradzione plaży i wodzie? Żeby starą babę uczyć czytać i pisać, po kiego diabła?! Gdy Michalina powoli i dostojnie, sylaba po sylabie, odczytywała prymitywne zdania z elementarza, jej „proceptor” mobilizował całą siłę woli, by natychmiast nie uciec. Jednak trwał, mechanicznie powtarzając: – Tak! dobrze! dobrze! – za każdym wstrzymaniem się chropowatego toku lektury. Z lekcji pierwszej wyszedł zdecydowany: – Niech oni myślą i robią, co chcą, noga moja więcej tu nie postanie!

Oni – to gimnazjalne Koło Związku Walki Młodych, które namówiło kolegów, by zbliżając się połączenie wszystkich organizacji młodzieżowych klasa uczciła specjalnym czynem. Każdy chłopiec miał nauczyć czytać i pisać jednego z alfabetów przysłanych przez Okręgową Komisję Związków Zawodowych. Uczniowie przegłosowali propozycję, a nauczyciele z niemalą radością poparli tę formę akcji społecznej, uważając, iż ona bardziej niż inne przystoi młodzieży. Byli to bowiem ludzie starzy, wstrzemięźliwie lojalni, dotkliwie wykolejeni faktem, że utrwalona w ich głowach latami pracy zawodowej formuła o apolityczności nauczania okazała się nieprzydatna, fałszywa i bałamutna. Czuli swym pedagogicznym instynktem, iż pod grozą trwałego spaczenia młodych charakterów nie wolno wychowywać młodzieży w negacji politycznej. Zaszokowani koniecznościami rewolucyjnego czasu i głęboko dotknięci w swych klasowych tradycjach, nie potrafili przekazywać młodzieży wielkich idei rozpoczętej doby. Upchani razem ze swymi uczniami w za ciasnych gmachach szkol-

nych, stali na bocznym torze, a tymczasem życie szło mimo nich i naprzód. Coraz więcej wychowanków wstępowało do organizacji młodzieżowych. Przerazili się słysząc o „czynnie połączeniowym”, złagodnieli aprobująco, gdy czyn ten nie wyszedł poza ramy szkolne.

Wychowawca klasy, do której uczęszczał Lutek Kozłowski, żwawo zakrzętał się koło realizacji projektu, jemu samemu w kuratorium też postawią może maleńki plusik – warto! Wychowawca wykładał matematykę, był więc na radzie pedagogicznej jedynym obrońcą Lutka, biegłego w tym przedmiocie. Chłopiec wolał go sobie nie zrażać. Matka zresztą klarowała w domu: – Szkolne sprawy urabiają opinię w sądzie i tobie, i ojcu! Rozumiesz! – Kozłowska upierała się jak nigdy przedtem: Lutek powinien koniecznie spełnić ten czyn. Że ludzi należy uczyć czytać i pisać, była sama zawsze i najświęciej przekonana. Zenon też radził: – Bądź sprytny, nie daj się zbyt wcześnie złapać za gardło.

Więc Lutek zgłosił się. Po pierwszej lekcji miał już tego dosyć. Na drugą zjawiał się jednak. Poprzedniego dnia, we wtorek, gdy meldował się jak co tydzień, kuratorka powitała go z rozjaśnioną twarzą. Dyrektor gimnazjum zawiadomił ją o zgłoszeniu Lutka. Obudziła się w niej nadzieja, że może na koniec i ten ponury, arogancki chłopiec wkroczył na drogę poprawy. Szczodrze okazywana przez panią Majewską radość pouczyła Lutka, jakie to narzędzie polepszenia swej reputacji posiadał podejmując zetwuemowskie zobowiązanie. A dla opinii pani Majewskiej, czyli sądu, warto się może pomęczyć tych kilka tygodni. Gdzieś tam w korzeniach myśli tkwiły uparcie wspomnienia o Radziszewskim i teraz zrodziła się na mgnienie tajemna nadzieja: może czyn ten będzie kiedyś jakimś plusem w razie czego... Zdusił tę głupią, szaloną myśl.

Dopiero na czwartej lekcji Rostkowska napisała zdanie z elementarza bezbłędnie: każda litera na swoim miejscu i tak jak należy, choć słowa chciały przeskoczyć jedno przez drugie. Lutek odczuł wtedy satysfakcję.

Minęło kilka lekcji i Lutka zaczęło po prostu bawić, że starsza kobieta nagina się do jego woli, że czyni to, co jej każe. Potakiwała swym suchym głosem, jakby brakowało jej śliny. Gdy pisał przykłady, wprost żarłocznie obserwowała ruch jego dłoni. Chłopiec widział, jak stosownie do jego wskazówek – mocniej naciskać! bardziej zaokrąglać! przeciągnąć w dół poza linię!. – nieporadne litery z każdym kwadransiem nieledwie nabierają wygięć, wyrzuceń, kształtów, po prostu stają się ładniejsze i czytelniejsze. Raz, gdy nie potrafiła sobie dać rady z zawilą literą „r”, wpadł na pomysł, by litery sprawiające jej większy kłopot nanosiła atramentem na kontur uprzednio narysowany przez niego cieniutkim ołówkiem: siedem, dziesięć takich podwajanych liter i potem kobieta stawiała je już sama poprawnie. Czasami znów bawił się nią, igrał, nie troszcząc się o faktyczne rezultaty nauki. Pewnego dnia przerwał tok elementarza i ze złośliwą uciechą podsunął uczennicy gazetę. Palec wyszukujący tekst do przepisania zatrzymał się na zdaniu: „Imperialny kryzys Wielkiej Brytanii tkwi w samej strukturze ekonomicznej schyłkowego okresu kapitalizmu.” Połykała i gubiła litery mocując się z nie znanymi jej słowami. Przypominał i podpowiadał. A gdy na koniec przepisała to trudne zdanie, roześmiał się jak wyrostek, który przeskoczył bardzo szeroki rów. Był wtedy dumny. I choć w Majewskiej dusza dawnej nauczycielki zadrżała z oburzenia, gdy opowiedział jej o tym ekwilibrystycznym ćwiczeniu, przechwalając się, jak to on uczy – Majewska, kurator sądowy, była zadowolona. Zdawało się jej, że to pod wpływem starań czynionych w zimie Lutek przekształca się dziś, pięknieje, jak litery stawiane przez Michalinę Rostkowska pięknieją wskutek uwag Lutka.

Nie przyznawał się oczywiście nikomu, gdyby wyraźnie uświadomił to sobie, byłoby mu nawet wstyd, ale lekcje z Rostkowską zaczęły go ciągnąć jak magnes. Regularnie co drugie popołudnie wędrował do szkoły. I choć nadal nie szukał towarzystwa kolegów z gimnazjum, nie stronił spotkawszy ich w drodze na kurs. Rozmowy chłopców były wyścigiem zachwytów nad własnymi talentami pedagogicznymi. Lutek nie pozostawał w tyle. Czyn nabierał cech współzawodnictwa. Postanowili bowiem, że pod koniec polonista gimnazjalny przeegzami-

nuje analfabetów i orzeknie, czyj uczeń najwięcej skorzystał. Konkurencja zawsze roznamiętniała Lutka. Od tej reguły był jeden wyjątek: własna nauka. Nie lubił się uczyć, natomiast chętnie pouczał drugih. Strofował kolegów, przyjaciół z Barskiej, własną matkę. Wszyscy boczyli się za to na niego lub odmawiali mu posłuszeństwa. Jedyna Rostkowska przyjmowała uwagi chłopca z potulną wdzięcznością, chciała być pouczana i była pojętna. Ambicja osiągnięcia przewagi nad kolegami kołatała w nim tłamszona warstwą pogardy, którą chłopiec opancerzał się przeciw światu. Nienawidząc z zasady wszystkiego, co go otaczało, wstydził się uczuć cieplejszych – również i w tej pracy. Gdy pani Majewska pytała go o postępy uczennicy, odpowiadał mruklawie i niechętnie; z matką szczerzej dzielił się nowinami, lecz tonem pełnym głębokiego lekceważenia.

Choćby jednak nie wiedzieć jak dusił swe odruchowe myśli, przebijały się one przez skorupę lekceważenia, znajdowały drogę do serca, budziły nawet jakieś tęsknoty. Siebie nikt nie oszuka. Lekcje z Rostkowska sprawiały mu po prostu przyjemność. Dawaly mu spokój, jakiego nie zaznawał ani w domu, ani wśród przyjaciół z Barskiej, ani w szkole. Były mu one ucieczką od Zenona, matki, ojca. Zapamiętywał się więc w monotonnym wzbogacaniu intelektu starej służącej. Przenikała go nigdy nie odczuwana radość, gdy w słowach napisanych przez Michalinę nie brakowało liter, gdy ortograficznie różnicowały się jednakowe dźwięki, gdy stalówka zgrabniej kreśliła kółka, pałeczki, elipsy. Nie była to żadna pedagogiczna satysfakcja ani tęsknota, ale była to radość tworzenia czegokolwiek, wzmacniana świadomością krótkiego trwania całej akcji. Cierpliwość chłopca nie miała być nadużyta, wiedział to. Tym łatwiej w wielokrotnym objaśnianiu różnicy pomiędzy „rz” i „ż” czy „u” i „ó” przepadał strach, nieodłączny towarzyszył ostatnich miesięcy. W kieracie reguł ortograficznych myśl krążyła swobodniej. Lutek więc uśmiechnął się do suchej i starej kobiety, którą darzył sympatią, dlatego że zaspokajała jego potrzebę komenderowania. Ratowała go przed złymi myślami oblegającymi go uporczywie: „szef przestał łudzić różowymi obietnicami, przygotowując ich do niełatwych przepraw. Tyle więc jego spokoju, co w labiryncie gramatyki. I chyba za to chłopiec jest odruchowo wdzięczny Rostkowskiej.

Lecz oto, nieproszona, wdziera się między zdania elementarza taka myśl: Jakby to było dobrze, gdyby raptem znikł, przepadł Zenon i tamto wszystko, i na ustroniu gdzieś w szkole, szkółce zwyczajnej, móc uczyć, uczyć spokojnie, z daleka od ludzi... Powtarzać dzieciom, że Ala i jej pies... co to jest podmiot, co orzeczenie, liczba mnoga i pojedyncza. Tak rankiem, do południa, z dziećmi, które nic o nim nie będą wiedzieć, a wieczorkiem usiąść w ogrodzie z książką, sam, z daleka od wszystkiego. Gramatyka jest taka piękna... Aż wstrząsnął się na tę myśl, co kusi i mierzi. Ale była uparta, odepchnąć się nie dała i nikt, znów powracała. „Brrr! Starcze pragnienia, pozbawione młodzieńczego rozmachu” – to myśli przestraszonego chłopca.

Gorliwość Kozłowskiego podpatrzyli zetwumowcy. Ich przewodniczący poinformował o tym fakcie panią Majewską. Zaczęła już roić plany co do pedagogicznej kariery Lutka. Rozmawiała z sędzią Wilczyńską. Dlaczegoż by nie? Może w istocie chłopiec trafił na swą pasję życiową, każdy kiedyś musi na to trafić. Tylko wpraw niech skończy gimnazjum – zdecydowały obie. By być nauczycielem, trzeba mieć maturę; jeszcze dwa lata.

Rostkowska coraz lepiej czytała i pisała. Był już pełny czerwiec, zbliżał się egzamin, gdy oto kobieta położyła na ławce przed chłopcem wydartą z zeszytu kartkę. Zaciekawiał go ten samodzielny plód nowo zdobytej umiejętności.

– Proszę... proszę, niech panicz mi poprawi!

„Czy uczniowie innych kolegów po niecałych dwóch miesiącach nauki też próbują już sami pisać? Pewnie nie!” – pomyślał nie bez dumy. Pochylił głowę nad kartką papieru, w którą Michalina wpatrywała się uporczywie: jej dzieło pod każdym względem.

Czytał:

„Do Zarządu... – poprawił „on” na „ą” – Głównego – „u” na „ó” – Związku Zawodowego...

– To list urzędowy? Prośba?

– Nie, proszę panicza, prywatny.

– Prywatny do Związku? – zdziwił się. Czytał dalej:

„Czuję się w obowiązku podziękować... – dodał opuszczone „ię” – ...Panom za wzięcie... – znów „en” – mnie w opiekę. Po tym, jak Panowie, wyszli, moja pani podpisała tę umowę. Nigdy w życiu nie miałam żadnych praw. Dopiero teraz wiem, co mi się należy. Że to dostanę...”

Chłopiec uniósł pytający wzrok: jak ma zmieniać i poprawiać tekst, gdy nie zna sprawy! O co chodzi? Co za podpis?

– Panicz nie wie?! – Zaczęła tłumaczyć jękając się, jakby nagle czymś bardzo zawstydzona. – Służąca to zawsze było popychadło. Jak się trafiło, to człowiek nie miał ani dnia, ani godziny odpoczynku. Pani wyganiała i potem jeszcze rzeczy zabierała, niby za to, cośmy potłukły. Potrafiła i pościel schować. Jeszcze przed wojną. Dwanaście miesięcy bez odpoczynku. W biurze na Żurawiej było nas zawsze więcej niż pań szukających dziewczyny. Dopiero teraz ujeli się za nami. Z Ubezpieczalni każda dostała list, że na Nowym Zjeździe znajduje się związek, który się nami zaopiekuje. Nasz związek. Ci właśnie dali mnie tu na naukę do panicza. Potem mojej pani przysłali umowę.

Zginał gdzieś początkowy lęk. Słowa popłynęły składnie i szybko. „Teraz to jej nie brak śliny” – w Lutku wezbrała nagle jakaś ironia. Rostkowska szczęśliwa, że „panicz” chce słuchać o jej wielkim przeżyciu, wbrew swemu przyzwyczajeniu nie skąpiła słów.

– Tam było wszystko wydrukowane. Ile mam dostać pieniędzy. Kiedy można mi wymówić pracę. Mam mieć teraz urlop. Wszystko. Pani na to powiedziała, że nie podpisze, że nikt jej niczego nie będzie nakazywał. W końcu podarła umowę i wrzuciła do kosza. No, trudno – powiedziałam. Umowa mnie nie była potrzebna. Służę od wojny u bardzo dobrych państwa. On ma kancelarię adwokacką. Pani wyrozumiała i ludzka. Daje mi zwolnienie co drugi dzień, gdy powiedziałam, że panicz mnie będzie uczył pisać. Pytała mnie, czy ja się boję, że ona mnie oszuka, wyrzuci na bruk, zabierze bieliznę czy ubranie, o tym właśnie w tej umowie było napisane. Powiedziałam, jak jest, że nie, że ja się nie boję. „No, więc po co podpisywać?” – zawołała. Zgodziłam się z nią. Tak zostało. Aż wezwali mnie do związku, naszego związku, i zapytali, dlaczego nie przyniosłam umowy. Opowiedziałam, co i jak. Wtedy taka starsza kobieta, co tam urzęduje, wytłumaczyła mi, że nie chodzi wcale o mnie, ale o wszystkie służące. Jedna pani dobra, ale druga zła baba, wiem o tym. Każdy urzędnik też podpisuje z kierownictwem biura umowę, jak i za ile będzie pracował. Nie może być nikogo w Polsce Ludowej – Lutek zachnął się – kto by pracował bez wyraźnego oznaczenia jego praw. I moja pani widocznie też ma humory, jeżeli zawsze jest dobra, a to ją zdenerwowało. Kiedy indziej zezłości ją coś innego. Ja muszę mieć swoje prawa jak człowiek. W kilka dni później ta kobieta ze związku i jakiś młody mężczyzna przyszli do mojej pani, rozmawiali z nią godzinę w stołowym. Potem pani była zdenerwowana, ale umowę podpisała, oni jej przynieśli drugą. Niby nic się między nami nie zmieniło, ale jest inna. Nie gorsza, o nie, ale inna. Nie lepsza. Chybaby mnie zwolniła, gdyby teraz łatwo było drugą znaleźć. Ale teraz już każda będzie przychodzić z umową. Tak dziś jest. Odsyłam im tę podpisaną umowę i chcę podziękować w moim pierwszym liście za tę naukę z paniczem, za tę umowę. Na stare lata człowiek...

Michalina powtarzała obszerniej swój własny list. Słuchając jej Lutek odruchowo poprawiał błędy ortograficzne. Ziębła w nim radość z pierwszego samodzielnego dzieła uczennicy; po to tracił godziny pływania i plaży, by ona w swym pierwszym samodzielnym liście dziękowała nie jemu, ale reżimowi. Opowiadanie Rostkowskiej budziło w nim sprzeciw. Lecz nie sama historia Michaliny go drażniła. Kozłowscy nie mieli nigdy służącej, nie pojmował więc oporów mecenasowej odmawiającej podpisania umowy, skoro i tak – jak wynika ze słów

Rostkowskiej – warunki w niej wymienione wypełniała już przedtem. Lutka jednak drażnił adres pierwszej wdzięczności niedawnej analfabetki. Ot co!

Nie powiodła się ucieczka w krainę neutralnego abecadła. Alfabet ma swój kierunek – i właśnie Lutek nauczył Rostkowską dziękować państwu ludowemu. Zenon śmiały się tego! I do tego wszystkiego namówiła go matka! Polska Ludowa – też! Tej chłopiec bał się po prostu fizycznie. Kuchta plecie o szacunku dla człowieka! „A ojca uszanowali, mnie... – znowu ma jak Radziszewskiego – uszanują... Wdzięczność kucharki; śmiechu warte!” – Poprawia słowa: „nigdy w życiu nie miałam swych praw”, poopuszczane litery i „f na końcu. Rostkowska przy każdej poprawce kiwa aprobująco głową. Jego matka mówi inaczej: teraz gorzej niż w wojnę! I ma swą rację, dobrze umotywowaną. Wojna, którą ona pamięta – o „pierwszej światowej” już przezornie zapomniała – nie była taka zła; złe było dopiero powstanie, ich powstanie, jak nazywają je Kozłowscy, zawsze starannie odróżniając te dwa terminy. Wojna to jedno, powstanie to coś zupełnie odrębnego. Lutek z Zenonem marzą o powstaniu, starzy Kozłowscy o wojnie, o takiej jak ostatnia, nie innej. Do czasów przedwojennych – aby było jak dawniej! – plany ich przezornie nie sięgają.

„Wiem, że dostanę...” – przecinek przed „że”. – Tego to już pani nie wie! – Z wyrozumiałego instruktora stał się cierpki. Rostkowska potulnie przytakuje: przepuściła, jej błąd. – „Ona wie, że dostanie, wie dobrze, a ojciec co dostał, ładną figę! A ja... a wszystko nam tylko odbierają. Tak, ona tuczy się na nas, komuś muszą zabrać, żeby takim dawać. I do tego namówiła matka...”

Poprawił cały list. Przesunął papier z powrotem ku Rostkowskiej. Skończone – definitywnie.

– Znakomicie pani to napisała! – Głos ma suchy i nadmiernie uprzejmy. – Świetnie. Dalsza nauka jest już pani zupełnie niepotrzebna. Niech już pani nie przychodzi na te trzy lekcje. Po prostu szkoda naszego czasu, jak mówią Francuzi... – Szarpnął dłoń, którą ona, nauczona przeszło trzydziestoletnią tradycją, koniecznie chciała ucałować. Nie odczuła zmiany tonu. Dziękowała swemu „paniczowi” serdecznie. Zapewniała, że list zaraz przepisze i co prędzej razem z umową wyśle. W końcu zdołał się wyrwać. Przez natarczywą gorliwość dopełnienia feudalnego obrządku całowania dłoni wydała mu się ohydna. Cóż za obyczaje ma ta baba!

Na ulicy roześmiał się.

Radość

– Widzisz.

Uważnie patrzył, jak Complak nabrawszy z kasty wielką łopatą gęste wapno powoli zsuwał je na taśmę muru.

– Będiesz tak stale wylewał. Tylko z głową. Uważać, kiedy ja będę podsuwał się z ceglami. Nie wcześniej, świeże wapno nie może leżeć zbyt długo na murze; nie później, bym na ciebie nie czekał. Musi być wszystko na czas, inaczej zbańczymy całą robotę. – Dopiero tym „zbańczymy” Complak nawiązał z obu chłopcami ściślejszy kontakt. Pewien był zresztą, że go zrozumieli. Rozprowadzanie wapna nie jest żadną filozofią.

Radząc w przeddzień z sekretarzem Wojciechowskim nad wyborem podręcznego i pomocnika, obaj zgodzili się, że w tym wypadku najlepiej będzie wziąć do pracy zupełnych żółtodziobów. Z dwóch powodów: starzy murarze posiadają nawyki, przy których trudno od razu stosować nową metodę; ponadto jedną z korzyści systemu „trójkowego” miała być właśnie możliwość wykorzystania robotników niewykwalifikowanych. Czyniąc zadość prośbie Complaka, Wojciechowski podał mu dwa nazwiska: na podręcznego – Oślizłę, na pomocnika – Kozła.

Wysuwając Marka Kozła realizował Wojciechowski następny etap swego pedagogicznego planu. Pierwszy został niefortunnie zakończony pijaństwem na Miodowej. Drugi był bardziej udany: Marek już teraz porządnie pracował nad wypełnieniem betoniarskich zobowiązań. Wielu innych mogło go jednak w tym zastąpić. A tymczasem właśnie nadarzyła się wspaniała okazja trzeciej próby. Bardziej indywidualnej, prawdziwej.

– Zgadzasz się? – sekretarz przedstawił chłopcu propozycję pracy z Complakiem.

Koziół słuchał podejrzliwie. Kim jest Complak? Nie znał go. Wojciechowski wyjaśnił, że murarz ten specjalnie przybył na Trasę, by próbować nowych metod budowania. Nowość wymagać może będzie jakichś nadzwyczajnych wysiłków, a lipcowe upały rozleniwiły chłopca. W brygadzie u Tybury dobrze mu się teraz pracowało. Zenon od miesiąca prawie nie dawał znaku życia, Hanka pisała z obozu przyjemne listy – po cóż mu jakaś nowość?! Wojciechowski nie umiał w ponętnych barwach odmalować pracy z Complakiem. Sam zresztą po raz pierwszy miał ujrzeć nową metodę. Nie przemówił do wyobraźni chłopca, lecz Markowi nie wypadało odrzucić propozycji sekretarza. Brakowało argumentów; niechęć i lenistwo stanowczo nie wystarczały, innych nie znalazł. Więc zgodził się.

Józek Oślizło, starszy od Marka, od niedawna pracował na Trasie. Przedtem służył w wojsku. Zamierzał zostać murarzem, lecz najpierw musiał odbyć budowlaną terminatorkę. Chłop rosły i silny, zaczynał od kozłarza – nie było to lekkie ni łatwe. Nie zdążył jeszcze nasiąknąć starymi metodami pracy, więc go Wojciechowski podrzucił Complakowi.

Stali teraz obaj, Marek z Józkiem, i niepewnie wpatrywali się w Complaka wyjaśniającego zasady wspólnej pracy. Józek miał mu podawać cegły, Marek rozprowadzać wapno.

Prędko rozniosła się po budowie wieść o próbie, budząc niechęć, drwinę i śmiech. Pierwszy spór wybuchł zaraz rano, gdy tylko przyszedł Complak. Poprzedniego dnia polecił ułożyć cztery tysiące cegieł w regularnych odstępach wzdłuż ławy fundamentowej oraz co trzy metry ustawić kilka kastr z wapnem. Ponadto zażądał dwóch sznurów dla siebie samego, choć jak świat światem przy jednym sznurze murowało zawsze kilku murarzy. Rano stwierdził, że przygotowano za mało cegły.

– I tego nawet nie ułożycie – kpił majster. Za mało kastr z wapnem i rozpięto tylko jeden sznur. Wszystko było złe. Musiano zarządzić uzupełnienie. Nim to wykonano, Complak uczył swych pomocników.

– Rozumiesz? – pytał Marka. Chłopiec potakiwał. To wszystko było diablo proste. Nabierać wapno na szufłę i zsuwać je. Po co tyle gadania? Marek zaczynał żałować, iż zgodził się na tę hecę.

Była to bowiem heca zupełnie oczywista.

Na rozkopanym, powoli nagrzewającym się od lipcowego słońca placu budowy zebrała się gromada ciekawskich. Murarze i pomocnicy, którzy już od kwadransa winni stać na swych rusztowaniach, zwlekali z rozpoczęciem roboty. Zapowiedź nowych sposobów pracy budziła kpiny. Rysowali palcem kółka na czole i wzruszali ramionami – ani chybi wariat. – Podobno zresztą wcale nie murarz, urzędnik! – szepnął jeden drugiemu i poszła pogardliwa wieść. Usłyszał ją Józek, usłyszał Marek – niepewnie przypatrywali się instruującym ruchom Complaka. Ze stojącej za nimi gromady docierały uszczypliwe prześmiewchy. Szary pas betonu, podstawa muru, kusił, by podjąć próbę; kpiny towarzyszy powstrzymywały ostrzegając przed śmiesznością.

Marek zrozumiał. Po prostu zawody, niczym na boisku. Kto prędzej zbuduje kawał muru: czy inni w pojedynkę, po staremu, czy oni we trzech nową metodą. Układać – byle prędzej.

Niekoniecznie o tak sportowy wniosek chodziło Complakowi.

Tego dnia na Mariensztacie ani Oślizło z Kozłem, ani żaden inny robotnik nie pojmowali istoty nowych metod Complaka. On jednak mniej się przejmował brakiem zrozumienia u swych towarzyszy niż stratą czasu wynikłą ze złego przygotowania pracy. Szykował swego rodzaju „murarską rewolucję” i wiedział, że początkowo natrafi na mur niechęci, może nawet wrogości, którą zawsze muszą przezwyciężyć wszelkiego rodzaju nowatorzy.

Zbliżała się godzina ósma. Gromada ciekawskich rozpełzła się po budowie. Ich pojedyncze figurki, wyraźne na tle jasnego nieba, poczęły się kiwać niczym marionetki w codziennym wysiłku murarskim; swe skomplikowane rzemiosło wykonywali kielnią. Kozłarze objuczeni dziesiątkami kilogramów cegły powoli pieli się po chybotliwych i giętkich deskach. Tak murowano strzelistą katedrę w Toruniu, ogromne mury Wawelu, filigranowy pałacyk w Łazienkach, secesyjne kamienice na Wilczej, nowoczesną sześcienną bryłę Banku Gospodarstwa Krajowego przed laty dwudziestu i tak zaczęto murować w Warszawie domy pierwszej socjalistycznej dzielnicy – Mariensztatu. Sześćset, najwyżej osiemset cegieł dziennie układał murarz, gdy tymczasem we wszystkich innych dziedzinach tempo pracy było szybsze niż w wieku dziewiętnastym.

Gotowe. Kastrы z zaprawą i cegły regularnie rozstawione. Dwa sznury rozpięte wyznaczają linię muru. Chłopcy pochyleni niczym biegacze w dołkach startowych czekają, jeden przy kastrze, drugi z ręką opartą na czerwonej przyźmie cegieł. Inżynierowie i technicy z kierownictwa robót przyglądają się, niecierpliwi i nieufni. Tylko jeden z nich, ten wojnę spędził w Związku Radzieckim, tłumaczy kolegom, że tam muruje się już inną, szybszą metodą.

Zaczęli kilka minut przed ósmą. Spóźnieni niemal o godzinę.

– Wal! – zawołał Complak stanąwszy przy ławie. Marek przekreślił nad betonem szufłę z wapnem, z niezmiernej emocji strącając część zaprawy na ziemię. Pokraśniał, gdyż wszyscy spojrzeli na niego. Complak szepnął mu: – Spokojnie. – Wdzięczny był za dobre słowo, gdyż Józek warknął coś brutalnego. Następna szufla już składniej rozproszyla zaprawę na betonowej wstędze.

Gdy Complak tłumaczył, praca wydawała się lekka. Chłopiec sądził, że między opróżnieniem jednej a nabraniem drugiej łopaty zaprawy, nim murarz upora się z cegłami, będzie można odpocząć przez chwilę, rozejrzeć się, założyć ręce bezczynnie. Omylił się. Complak pracował szybko i jednostajnie. Obiema dłońmi chwycił od razu parę cegieł z podsuniętych przez Józka, wlepiając je ściśle obok siebie w sine ciasto. Marek spostrzegł, że Complak nie

ruszał się zwawiej niż inni murarze; to tylko ograniczenie się do ustawiania cegieł z pozostawieniem reszty pomocnikom, pozwala mu tak prędko posuwać się naprzód. Ledwo Marek odstąpi tych kilka kroków od muru, zanurzy łopatę, przyniesie ją z powrotem, już Complak, pokrywszy nałożoną porcję ceglami, czeka wyprostowany. Czeka zresztą i na Józka, który raz podaje cegły zbyt prędko, drugi raz za wolno. Nie są zgrani w robocie, każdy pracuje oddzielnie.

Marek zły jest na siebie samego, że nie nadaża. Przyśpiesza kroku. Zaraz jednak słyszy głos Complaka: – Spokojniej! – gdyż z szufli spada mu więcej wapna, niż powinno. Co robić? O jaką czynność skrócić czas przenoszenia? Wszystkie ruchy są konieczne. Zanurzenie szufli, dźwignięcie jej kilka kroków, przekręcenie nad świeżym murem. Tempo skandowane półgłosem przez Complaka: – raz, dwa, raz, dwa – stale myliło mu krok, mijał je. Zbyt długo trwało przenoszenie każdej szufli.

Raptem pojał, dłaczeo. Obroty. Niepotrzebnie czyni zwrot idąc od muru do kasty i z powrotem. Nie musi przecież obserwować Complaka układającego cegły: bez kontroli tamten zrobi swoje, a Marek, by mieć go stale na oku, kręci się zbyt często. Po co? Ucieszył się: podanie wapna pierwszy raz bez zwrotów zbiegło się z ostatnią wetkniętą przez Complaka cegłą. Wpadł w rytm dyktowany przez murarza: raz, dwa, dwa, dwa, raz...

Lecz całość ciągle szwankowała.

Chłopcy zapamiętali się w pracy. Marek, zlikwidowawszy zbędne obroty, już przy piątym podaniu zsunął wapno na mur, gdy Complak sięgał dopiero po ostatnią parę cegieł. Wyprzedził go więc o dwie cegły. Uśmiechnął się zadowolony. Nie w przyśpieszeniu kroków, lecz w usprawnieniu ruchów kryła się rezerwa czasowa. Więc zaraz następny pomysł: płycej trzeba zanurzać łopatę w nosilkę z zaprawą. Tak uczynił. Gdy wapno spłynęło na mur, przed Complakiem stały jeszcze cegły podsunięte przez Józka; ten również przyspieszył tempo podawania, pewnie też usprawnił swe ruchy.

W obu chłopcach niemal równocześnie zapaliła się iskra współzawodnictwa. Wyprzedzić Complaka! Kilka minut temu on na nich czeka, niech zobaczy, do czego są zdolni. Nie wymienili między sobą słowa czy gestu porozumienia, lecz już po kilku minutach Marek nie miał gdzie rozkładać nowej porcji wapna, Complak nie nadażał z układaniem cegieł, tak szybko i tak dużo podsuwał ich Oślizło.

– Stać! – wstrzymał ich głos murarza. Czyż nie szło świetnie? Zdziwili się.

– Wyścigi? – Pytanie i wyrzut w tym jednym słowie. Nie odpowiedzieli. Wzruszyli ramionami: sam widzi.

– Chwali się wam, że chcecie pracować zwawo, że myślicie nad swą robotą. Tyś przestał tańczyć z łopatą, a ty po dwóch próbach znalazłeś najlepszą pozycję. To bardzo dobrze. Ale nie o wyścigi chodzi. Wapno stwardnieje, nim dojdę z ceglami. Zderzacie się ze sobą. Ty nie masz miejsca na cegły, ty na wapno. To nie stumetrówka, gdzie każdy leci naprzód sam, byle prędzej. Na budowie pracować musimy razem i razem przyspieszać.

– To róbcie i wy, majster, prędzej. Jak marzenie położymy tamtych. – Józek gorzał już świętym zapalem.

– Nie potrafie. – Przy demonstrowaniu nowej metody pracy Complak nie chciał rozwijać jakiegoś nadzwyczajnego, rekordowego tempa. Bał się, by „wyczyn” jego nie wyglądał nieprawdopodobnie. By wyśrubowany rekord nie odstraszał innych. – Zresztą układamy nie na wyścigi, ale inaczej niż inni murarze. Nie szybkość naszych ruchów mojego układania, waszego podawania sprawia, iż w jednakowym czasie wymurujemy więcej niż oni. – Machnął ręką w kierunku rusztowań, na których obracały się figurki. – Przyczyna leży w czym innym. Do tej pory każdy murarz sam robił wszystko, cackał się z każdą cegłą oddzielnie, oddzielnie dla każdej rozkładał wapno – my inaczej, my zorganizowaliśmy pracę jak w fabryce, dzieląc ją między nas trzech. Rezultaty już widzicie, a resztę zobaczycie z końcem dnia. No wio!

Ruszyli znowu.

Pracowali składowiej, choć nie bez kłopotów. Ośliźle, który z początku przybrał zbyt wyścigowe tempo, cegły zaczęły ciążyć. Uwagę Kozła odciągali murarze, którzy porzucając na chwilę własną pracę, zeszli się z całego terenu oglądać „wariata”; czujne ucho chłopaka łapało docinki i złośliwe porównania. To dodawało mu takiej ostrogi, że Complak znowuż musiał mitygować: – Spokojniej, spokojniej...

Z gromadki gapiów padały drwiące uwagi. Jeden wołał, że mur zaraz się zawali. Drugi prorokował klęskę nie tyle stawianej kamienicy, co murarzom: – Taki maraton schylajlapaj to dobre na jeden dzień, ale jutro facet będzie ugotowany. – Trzeci nieczuły był na wysiłek pracujących i nic go nie obchodziła jakość ściany, oburzony był zasadniczo na sam fakt. Tyle lat budowaliśmy po staremu i dobrze było. Owo „dobrze było” zdawało się rozstrzygać o wszystkim. Dobrze było i koniec! Po diabła ma być lepiej, skoro było dobrze!

Mur dźwigał się. Prędko. Zebrany tłum gęstniał z każdym kwadransiem. Ściągali nawet urzędnicy z biura. Tego dnia niewiele wymurowano na innych budowach: murarze odchodzili na chwilę, by popatrzeć na Complaka, a potem godzinami tkwili na miejscu, przyglądając się jego pracy.

Obaj chłopcy szczególnie starannie uważali teraz na siebie. By nie „spalić” ani jednego ruchu. Marek pomyślał, iż podobnie musiał się czuć Zbyszek podczas swego pierwszego występu w teatrze. Potem się przyzwyczaił. „Ja się też przyzwyczaję.” Przez serce przemknął mu żal, że matka nie może go w tej chwili widzieć. Byłaby dumna, jak on sam jest dumny będąc obiektem powszechnego zainteresowania. Szkoda, że nie ma Hanki!

Teraz już chłopiec nie słyszy rytmicznego dyktanda Complaka, wszystko głuży niemal chóralne obliczanie ułożonych cegieł. Podniecenie trójki udzieliło się zgromadzonym.

– Tysiąc dziewięćset trzydzieści cegieł! – ktoś wyrachował pierwszy i obwieścił innym.

– Tysiąc dziewięćset czterdzieści! – po chwili z tłumy padła druga cyfra.

– ...pięćdziesiąt!

– ...sześćdziesiąt! – głośno odliczano każdą dziesiątkę. Niektórzy wyciągnęli zegarki i sprawdzali tempo.

Najcięższe godziny dnia. Południe. Słońce dokucza. Narzekają na nie wszyscy, a trójce emocja dodaje jeszcze ciepła. Zrzucili koszule i spodnie – pracują jedynie w gimnastycznych majteczkach.

W pewnej chwili Ośliźło krzyknął: – Precz!

To ktoś czwarty próbował samorzutnie podzielić się chwałą nowych bohaterów i chciał Józkowi pomóc w podawaniu cegieł. Musiał jednak odejść, głos podręcznego był stanowczy. – Podsuwaj swemu staremu! – poradził groźnie. Cóż, kiedy „stary” tamtego młodzika gardłował właśnie przeciw Complakowi, a chłopiec pozazdrościł Kozłowi i Ośliźle. Complak jednak nie dopuszczał nowych pomocników, choć chętnych znalazłoby się więcej. Chciał, by normę wykonała tylko ta trójka, by zademonstrować nową metodę w jej postaci zupełnie czystej i zasadniczej. Na warianty przyjdzie czas później.

Podczas przerwy starzy robotnicy otoczyli Complaka. Pukano w mur, mocowano się z cegłami, pochylano nad linią ścian. Ktoś znalazł cegłę krzywo ułożoną, inny zarzucił marnowanie zaprawy przy użyciu szufli. Jedna cegła istotnie leżała nierówno, lecz ponad dwa tysiące – prosto. Technik zaś oświadczył, że przy przenoszeniu łopata od razu większych porcji spada mniej wapna niż przy operowaniu kielnią.

Marek z miną zwyczajcy pałaszował śniadanie. Miał on, jak Complak, swe grono słuchaczy trochę młodszych, którzy żądali rzetelnych wyjaśnień – tylko bez grandy! – czy bardzo się zmordował? Zaprzeczał namiętnie, znacząco napinał bicepsy, choć mięśnie bolały go trochę, ale – pomyślał sobie – był to przyjemny ból... Ból dający satysfakcję.

Complak popędział. Ostatnie kęsy bułki Marek połykał już trzymając łopatę w ręku. Jak w greckiej tragedii lub na sportowym stadionie chór widzów skandował zapalczywie:

– Dwa tysiące sześćset siedemdziesiąt!

- Sześćset osiemdziesiąt!
- Dziewięćdziesiąt!
- Dwa tysiące siedemset!

Wzrastające liczby sprawiały Markowi rozkosz. Jego wysiłek ma chóralnie wyrażaną cenę! I raptem – myśl w najpiękniejszych chwilach płata nam psikusy – przypomniał sobie, że raz już był przedmiotem publicznego zainteresowania: gdy aresztowanego milicja prowadziła do komisariatu. Szli przez Ochotę, pełną znajomych. Też – jak teraz – słyszał głosy mijanych przechodniów. Ale wtedy były to wyrazy potępienia, teraz natomiast dobiegały go słowa podziwu, nawet gdy były zaprawione żółcią; bo była to złość ludzi nie pogardzających złodziejstwem, lecz lękających się nowości. Chłopiec wyczuwał tę różnicę!

Oślizło, a ten był oblatany, szepnął, że jutro o nich napiszą w gazetach. W tłumie dostrzegł człowieka z aparatem fotograficznym. Kozioł poczuł bezmierną wdzięczność dla Wojciechowskiego, dzięki niemu przecież był w trójce Complaka.

Podawał szuflę za szuflą. Sina zaprawa lśniła srebrzyście w słońcu, które minęło już swój najwyższy punkt. Mur wyrósł, musiano podstawić im rusztowanie. Praca była teraz trudniejsza, lecz wzmógł się zapał, zwiększyło się doświadczenie.

Zbliżał się koniec.

- Trzy tysiące dwieście dziesięć!
- Dwieście dwadzieścia!

Coś się wokół nich zakotłowało. Ludzie się rozstępowali. Ktoś przyjechał. Markowi ciarki wzruszenia przeszły po karku, gdy usłyszał szept: – Minister. – Trójka nie przerywała pracy ani na moment.

- Trzydzieści!
- Czterdzieści!

Już dawno pozostawili w tyle wszelkie normy. Układali teraz dziesięć cegieł na minutę nadrabiając powolność pierwszych godzin pracy. Słysząc było szept, który brzmiał jak okrzyk:

- Jeszcze dwadzieścia minut!
- Jeszcze piętnaście minut!
- Trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt!
- Dwieście dziewięćdziesiąt!
- Trzy tysiące trzysta!
- Jeszcze dziesięć minut!
- Jeszcze pięć minut!

Marek uważał, by nie poddać się zdenerwowaniu, do końca nie przyśpieszać tempa. Complak, jakby na złość, zwalniał. „Nie chodzi o wyścig, lecz musimy ludzi w Polsce nauczyć nowej metody stawiania domów.” Powtarzane przez niego słowa zakarbowwały się chłopcu w pamięci: „nowej, szybszej, sprawniejszej”. Jasne stało się dla Marka, że szybsza metoda stawiania murów – to wcześniejsze ukończenie nowych domów, to prędsza odbudowa miasta. Uświadomił to sobie w ułamku sekundy, słuchając Complaka podczas przerwy śniadaniowej. A teraz dziwił się bardzo, iż inni tego nie pojmowali; często gęsto bowiem liczenie cegieł przerywały drwiny, a nawet przekleństwa. Chłopiec nie znał innej murarki, łatwo więc pojął i uznał nowy system za swój. A że właśnie ten system stawiał go niejako na świeczniku, budził uznanie i dodawał znaczenia, nie był skłonny rozgrzeszać tych, którzy nowych wartości pojąć nie chcieli czy nie umieli.

– Spo-koj-nie, spo-koj-nie! – za plecami wyliczano im ostatnie minuty. Jeszcze cztery, jeszcze trzy, jeszcze dwie – wbrew intencjom Complaka chwile te miały posmak sportowego wyczynu; za dużo było patrzących!

- Jeszcze minuta!
- Trzy tysiące trzysta dziewięćdziesiąt!

Koniec.

Zatrzymali się niemal w pół ruchu. Wszyscy już wiedzieli, że w ciągu ośmiu godzin pracy trójka ułożyła trzy tysiące czterysta cegieł. Z tłumu wysunął się starszy siwy pan. Marek znał tę twarz z fotografii: minister odbudowy. Ścisnął Complakowi rękę; murarz jakoś serdecznie pochylił się ku ministrowi. Oślizło wyprężył się na baczność, jakby tkwił jeszcze w żołnierskim mundurze. Marek nie wiedział, co ma ze sobą robić, jak się ustawić, co począć z rękami, które wydały się niezgrabne. W końcu minister podszedł i do niego. Wszystko odbyło się bardzo prosto, dłoń jakoś sama przejęła uścisk. Coś mu jeszcze starszy pan mówił, lecz chłopak ani nie zrozumiał, ani nie zapamiętał, tylko bąkał pod nosem jakieś solenne zapewnienia.

Koło muru tłoczyli się fachowcy. Oglądali, opukiwali, liczyli cegły, sami nie bardzo wiedząc, czy dać się przekonać, czy zostać przy swoim. Ktoś twierdził, że przy takim pośpiechu nie na długo starczy sił, ręce zetrą się w mig. Podniecenie wśród murarzy było niebywale. Ktoś przekonywał, że to zwykły sport, ot, wyścigi.

– Kusociński biegał dziesiątkę w pół godziny, ale czy to znaczy, że wszyscy winni tak szybko chodzić? Tak i to: rekord – owszem, na co dzień – do powietrza!

Ktoś trzeci jednak zauważył, że gdy murarz stale tylko układa cegłę, może się mniej zmęczyć, niż gdy sam ją podnosi, sam ustawia i sam rzuca zaprawę. Kto wie, czy praca trójkowa nie jest godna naśladowania?

Długo gadali.

Trójka Complaka zrobiła tego dnia sześćset czterdzieści procent dotychczasowej normy. Stołeczna murarka drgnęła swych średniowiecznych posiadach.

Gdyby szukać słowa najdokładniej określającego stan, w jakim Marek Koziół wracał na Ochotę po dniu trójkowej próby, trzeba by sięgnąć po stare i banalne: radość. Był rozradowany!

Było w tym szczęście i zawiadająca odwaga, i fizyczna lekkość. Zrezygnował z tramwaju, taką czuł potrzebę kroków długich, zamasztych.

Na rogu Alei i Nowego Świata rozstał się z Complakiem Oślizłą. Pierwszy wędrował aż na Czerniaków, drugi skręcał na Pragę. Idąc Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem, obaj młodzi otrzymali od murarza nie tylko podziękowanie zaproszenie do dalszej pracy, ale i związane pouczenie zawodowo-polityczne. Rozmawiał z nimi jak ze starymi murarzami, a nie żółtodziobami. Tłumaczył konieczność pracy zespołowej w murarstwie. Kreślił perspektywę maszynizacji budownictwa. Opowiadał, jak stawia się domy w Związku Radzieckim. Nie wszystko z gawędy Complaka Marek pojął, nie wszystko nawet mu się podobało, lecz jedno nie ulegało dlań najmniejszej wątpliwości: w ciągu tych niewielu godzin awansował bardzo wysoko. Wczoraj był jeszcze nieznanym pomocnikiem w dużej brygadzie betoniarzy, a dziś już cała budowa wiedziała o Marku. Chłopiec był absolutnie pewny, że jego nazwisko będzie wieczorem powtarzane w wielu robotniczych rodzinach!

Dotychczas Marek Koziół posiadał nader mgliste wyobrażenie o swym przyszłym zawodzie. Myślał o szoferce. Było to jednak raczej hołdowanie modzie panującej wśród rówieśników urzeczonych wszelką motoryzacją aniżeli jego własne serdeczne pragnienie. I oto teraz poczuł, kim chce być. Szarpnęło nim nagle. Nie zdając sobie z tego wyraźnie sprawy, taksonował w myśli mijane ruiny, ocalałe lub budowane domy według ich wartości budowlanej; nie były to chyba konkretne myśli, ale podświadome odczucia, wrażenia, zresztą naiwne. Bo i skąd Marek mógł wiedzieć, czy dom zbudowany jest wadliwie, czy rzetelnie, czy ruina nadaje się do odbudowy, czy jest tylko kupą gruzu; kryteria użyteczności ruin zmieniały się zresztą co pół roku. Spojrzał na świat okiem murarza, choć mu do niego jeszcze było daleko, a życie wielokrotnie może przewrócić jego plany. Olśniła go siła własnego pragnienia. Zachwyił cykl pracy budowlanej: dziś ruiny czy gołe pole, jutro – czerwony mur, pojutrze – firanki w oknach. Jak każdy warszawiak, który po wojnie wrócił do zrujnowanego miasta, Marek wy-

soko cenił sobie mieszkanie, zarówno w materialnym jak w przenośnym znaczeniu. W młodym chłopcu, który nędzę swej klasy pomnożył nędzą mieszkaniową całego swego miasta, potrzeba własnych czterech ścian była szczególnie silna.

Chłopak od trzech lat radośnie witający każdy odbudowany obiekt stolicy łatwo pojął, iż murarz jest szafarzem owego osobistego szczęścia każdego człowieka, które oznacza się słowem „mieszkanie” i którego osiągnięcie może poważnie przyspieszyć nowy system budowania – o tym przekonał go Complak. A mękę ludzi, całych rodzin stłoczonych we wspólnych lokalach, znał, niestety, dobrze.

Przychodzą takie dni, gdy świat otwiera się przed młodym człowiekiem i impet szturmujących zewsząd wrażeń i wniosków zmusza do decyzji. Kozioł nie był w stanie okiełznać raz rozbudzonych myśli. Konsekwentnie, nieubłagane toczyły się one w stronę imienia, które sprawiało mu teraz przykrość. Już podczas narady betoniarzy Marek zrozumiał, że wysiłki Zenona zmierzają do opóźnienia odbudowy miasta, do opóźnienia odbudowy kraju. Więc teraz, gdy sam miał stanąć w pierwszym szeregu odbudowujących, czuł, że jakakolwiek dalsza łączność z Zenonem jest niemożliwa, absurdalna; a w głębi myśli czaiło się jedyne słuszne określenie: zbrodnicza. Lecz to określenie chłopiec skrywał przed sobą samym, bo odnosiło się ono także do niego.

Alejami prosto jak strzała pędził na Ochotę. I gdyby nie ta jedna, tocząca jak czerw myśl o Zenonie, byłby szczęśliwy.

Na placu Narutowicza nieoczekiwanie wpadli na siebie. Kazek spieszył się do domu, a Marek pałał chęcią podzielenia się z kimś wiadomością o swym zwycięstwie. Sądził, że pierwszą osobą będzie matka. Nawinał się przyjaciel – dobry! I oto Spokorny był pierwszym powiernikiem radości i uniesienia Marka. Przyjaciel zasypał go gradem chaotycznych słów. Chwalił się popularnością, zarobkiem, osiągnięciami, żonglował tysiącami cegieł, tłumaczył Kazkowi, iż wyczyn jego przewyższa swą wagą osiągnięcia przodowników pracy, gdyż nie tylko jest zwiększeniem normy, ale wprowadza zupełnie nową metodę. Powtarzał argumenty Complaka.

Wreszcie do głosu doszedł Kazek. Nigdy dotąd nie mówił kolegom z Ochoty o swych doświadczeniach w fabryce. Oto Marek usłyszał o jego świetnych zwycięstwach we współzawodnictwie, o uzyskanym przezeń tytule przodownika pracy, o tym, jak razem z młodzieźowcami rzucili hasło międzyzakładowego wyścigu pracy, o tym jak dawniej szło mu łatwo, a teraz konkurencja kolegów wzrosła. Kazek też dzielił się swą radością!

Spokorny mówił nieporządnie, skakał z tematu na temat, bez sensownych między nimi związków. Marek mu zresztą przerywał wtrącając słowo o sobie samym. Lecz obaj czuli jedno: nie logika ich wypowiedzi była ważna, ale to, że między nimi odżyła znowu dawna harmonia. Kiedyś łączyło ich wspólne spiskowanie. Wtedy rozumieli się wzajemnie. Potem Kazek pierwszy wyzwolił się z zatrutego kręgu „szefa”, a mając własne pasje zawodowe, zaczął odsuwać się od przyjaciół z Barskiej. On inaczej myślał – oni inaczej. Banda trzymała się siłą bezwładu, lęku ożywionego nadzieją, że cała afera sama się zakończy. Każdy z nich żeglował w swoją stronę, coraz podejrzliwiej traktując innych. Spotykali się niemal codziennie – jak zawsze na wspólnej ulicy! – a jednak przygnieceny ciężarem swego przestępstwa oddalali się od siebie. Teraz dopiero, tak nagle, po długiej przerwie Marek i Kazek odczuli, iż dzielają te same radości; owiewały ich te same wzruszenia, podniecały te same ambicje. Młodzi chłopcy z powrotem odnaleźli swą przyjaźń, zagubiwszy ją przedtem w ogromnej masie ludzkich trosk i nieszczęść.

W ciepły wieczór wędrowali powoli szczęśliwickimi polami. Milkli, ich radość dała się wyrazić przecież niewielu słowami, lepiej oddawały ją gesty i wykrzykniki. Każdy odczuwał szczęście drugiego – nie potrafili o tym mówić. Kilkakrotnie nawracali, na koniec stanęli pod bramą domu Marka.

– Powiesz matce?

– Zaraz!...

Kazek w domu nie chwalił się sukcesami. Ojciec jego wykpiłby taki zapał; stary przeciwny był wszelkim „nowinkom”. Kazek zazdrościł Markowi tej domowej radości, jaką odczuje dziś wieczór.

Pożegnali się serdecznie. Lecz obu gnębiło to samo, najważniejsze nie zostało w ich długiej rozmowie poruszone: nie padło ani jedno słowo o „szefie”. Nie mieli odwagi spłoszyć wzajemnego szczęścia. Lecz wiedzieli, że ich to nie minie.

Wieczorem, już w łóżku, szczęśliwa i dumna, Kozłowa gorąco dziękowała Bogu za uratowanie jej chłopca. Długo w noc słyszała oddech syna kręcącego się bezsennie na swej kanapce. Przeszkadzały mu zasnąć wrażenia przeżytego dnia, przeszkadzały myśli o jutrze, nie umiał znaleźć słów, w których najzgrabniej można by podziękować Wojciechowskiemu za skierowanie go do pracy w trójce Complaka.

Julek i Marek

Ten sam teatr.

Nawet bodaj to samo miejsce. Prawa strona dziesiątego rzędu. Dobrze stąd widać i sły-
chać. Jedynie dlatego mógł kupić tak bliskie krzesła, że Zbyszek postarał się dlań o zniżkowe
bilety, szepnąwszy komu tam należy w sekretariacie teatru, że to „dla pomocnika z trójki
Complaka”. Mały Moczarski bardzo był dumny z przyjaciela.

Mimo wszystko jest tutaj jakoś zupełnie inaczej. Budynek pozostał, lecz zmienił się teatr.
Zmienia się przy każdej sztuce, gdyż tworzy go za każdym razem inna treść widowiska i inna
reakcja widowni. Wtedy, w zimie, widzowie nie byli tak przejęci sztuką, której konflikt był
wprawdzie interesujący, ale nieprawdziwy i obcy. Dzisiaj w najwyższym skupieniu patrzą na
scenę. Marek, rzadki gość na widowni teatralnej, w ogromnym podnieceniu śledzi toczącą się
akcję. Chwilami zapomina, że w prawej ręce trzyma dłoń Hanki, że jest przy niej, w teatrze, o
czym tak gorąco marzył od dnia, gdy z obozu ZWM dostał kartkę z powinszowaniami murar-
skiego sukcesu.

Nieruchomy, aż Hanka z ukosa zerka nań, zdumiona, taką pasją natężyły się rysy chłopca,
świdruje oczyma obu aktorów.

Tam, na scenie jest wieczór, gorący jak dziś w Warszawie. Do gabinetu dyrektora Jagmina
będącego jednocześnie działaczem politycznym, wtargnął młody chłopiec Julek z zamiarem
zastrzelenia go. To czas referendum, okres wzmożonej walki politycznej. Podziemie morduje
działaczy demokratycznych².

Marek pamięta dobrze tamte dni: uzbrojony w krede, rysował antyrządowe hasła na odle-
głych płotach przedmieścia. Nie przypuszczał wtedy, że kiedyś to samo ujrzy w teatrze. To
bardzo dziwne uczucie oglądać samego siebie z odległości dwóch lat, tym bardziej że zapał,
ożywiający chłopca wówczas, dziś już wyparował, znikł.

Dyrektor wytrącił broń z ręki zamachowca. Rozmowa dojrzałego mężczyzny z młodym
chłopcem wyjaśnia zasadnicze sprawy. Padają argumenty. Młody chłopiec na scenie powtarza
wyuczony zdanie: „Jeżeli miliony ludzi mówią «nie», to jest siła”, i wtedy młody chłopiec na
widowni słyszy głos zmuszający go do złożenia drugiej, strasznej przysięgi. Lecz dyrektor
gimnazjum odpowiada: „To jest siła, która nie dźwignie ani jednej cegły w zburzonej War-
szawie!” Pomocnik murarza Complaka teraz wie, że to prawda.

Idąc dziś do teatru Marek nie przewidział, co zobaczy. Wybrał to a nie inne przedstawi-
enie, gdyż Zbyszek ułatwił mu kupno tańszych biletów; premię uzyskaną za pracę z Compl-
kiem poważnie nadszarpięło kupno jasnych skórkowych rękawiczek. Przed wakacjami
uczęszczali z Hanką do kina, teraz pragnął ją godniej uczcić. Pójście do teatru było czymś
poważniejszym, doroślejszym, a nawet i... garnitur Marka lepiej się prezentował tu niż w ki-
nie.

Garnitur był rezultatem wielkiej dumy i radości matki.

Nie zawsze stosunki między matką a synem były dobre. Kozłowa dostrzegała jego wykro-
czenia, lecz zabiegana, zapracowana, nie umiała oddziaływać na jedynaka. Przerażona pa-
trzyła, jak chłopiec marnował się z dnia na dzień. Marek bardzo kochał matkę. Praktycznie

² Treść przedstawienia oraz cytaty ze sztuki Leona Kruczkowskiego *Odwety*.

jednak uczucie to nie miało nań żadnego wpływu. Robił, co chciał, uważając, iż okazywaną od czasu do czasu serdecznością wypełnia w całości synowski obowiązek. Nadzieję zmiany przyniósł Kozłowej wyrok sądu, a potem praca Marka na Trasie. Lecz nadzieja ta realizowała się nader powoli, aż przyszedł ów letni dzień, gdy pokazano jej gazetę, w której nazwisko Marka wymieniono razem z nazwiskiem Complaka; wczorajsza chwalba syna znalazła publiczne potwierdzenie. Wtedy zaczęła się krzątać z tajemniczym zacięciem. Wysupłała oszczędności. Spenetrowała stołeczne sklepy prawo-i lewobrzeżne. Kupione ubranie oddała do przeróbki. I gdy 22 lipca Marek, mający tego dnia wziąć udział w uroczystej akademii pracowników Trasy, przetarł z porannego snu oczy, ujrzał na krześle nowy ciemny garnitur.

– Synku! Teraz, jak jesteś tym... racjonalizatorem, to musisz wyglądać... – Marek, olśniony elegancją ubrania, pierwszą myśl poświęcił nie wdzięczności dla matki, lecz Hance!

Gdy w kilka dni później oboje szli ulicą Marszałkowską, ciemny garnitur dodawał mu pewności siebie. Ruchy jego inne były teraz niż przedtem, w burych, rozprasowanych spodniach i eks-wojskowej bluzie. Rękawiczki, nieodzowne uzupełnienie stroju; niósł w dłoni lewej, prawą z lekka podtrzymując opalone ramię dziewczyny. Zerkał na mijane witryny sklepów, z zadowoleniem konstatując, że oboje prezentują się dobrze. Wyższy o głowę od Hanki, poczuł się jej opiekunem. Czulej przycisnął ramię. Rósł – jak nigdy przedtem – z dumy i poczucia swej ważności. Cieszyły go zarówno rzetelne osiągnięcia murarskie, jak i garnitur, który zewnętrznie podkreślał wartość właściciela.

Przez cały pierwszy akt ukradkiem zerkał na ostre kanty spodni, na wystające z kieszeni rękawiczki lub na profil Hanki. Myślał o niej, nieuważnie słuchając dialogów na scenie.

W drodze do teatru młodzi zdążyli powiedzieć sobie bardzo wiele. Był to jednak raczej monolog dziewczyny niż rozmowa. Wiedziała już wszystko. Na obozie dużo mówiono o nowej metodzie murowania. Dwóch pomocników Complaka wspomniano jedynie informująco, lecz przeczytawszy w gazecie imię i nazwisko Hanka potrafiła już dopowiedzieć sobie resztę. Jej akcje w gronie koleżanek poszły w górę, gdy im zwierzyła swą przyjaźń z Kozłem. A po powrocie do domu ojciec, majster odlewów w „Ursusie”, też zaraz zauważył: – To twój Kozioł. – Hanka terkotała nie tylko o nim. O sobie też. Spędziła uroczę trzy tygodnie na obozie w wielkim zamku na Dolnym Śląsku, pod Wałbrzychem; potem była na otwarciu Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu i brała udział w pięćdziesięciotysięcznym zlocie, podczas którego nastąpiło połączenie wszystkich organizacji młodzieżowych w jeden Związek Młodzieży Polskiej. Na bluzce miała przypięte małe zębate kółko otoczone biało-czerwonym sztandarem.

O tym wszystkim, o sobie i o niej, myślał Marek. Dopiero drugi akt sztuki przykuł jego uwagę. Teraz rozumie dokładnie każde słowo padające ze sceny. Jakby rozpruwano jego samego i wybebeszano ośrodek czucia i wiedzy. Pierwszy raz w życiu chłopiec stanął wobec zwierciadła sztuki, w którym dostrzegł odbicie własnego dramatu. Rok wcześniej nie pojąłby może głębi tragedii, dostrzegając jedynie intrygę: perypetie chłopca, który ma dwóch ojców, i nieudany zamach rewolwerowy. Przed kilku miesiącami, gdy szarpał się już w sieci własnych sprzeczności, może nie rozumiałby jeszcze racji dyrektora Jagmina, w zamachowcu Julku dostrzegłszy siebie – jak Julek dusiłby się własną bezradnością. Teraz jednak, po osiągnięciach ostatnich tygodni, odczuł i zrozumiał wszystko. Słowa usłyszane ze sceny miały dlań większy autorytet niż mowy na zebraniu betoniarskiej załogi. To samo przecież mówił wtedy Wojciechowski. Siły „nie” żadnej cegły nie ustawią w Warszawie! To pewne. Lecz co robi Julek? Pytanie dotyczące węzła dramatycznego sztuki było wyrazem troski o los własny.

Julek uciekł z mieszkania dyrektora! Kurtyna spadła w dół znacząc koniec drugiego aktu. Rozbłysło światło.

– Coś tak szczerwieniał? – Dla Hanki była to jedynie interesująca sztuka.

– Ciekawe! – zbył pytanie.

Na korytarzu czekał Zbyszek. Pociągnął ich za kulisy. Carskiemu wmówił chęć poznania Marka, chcąc przyjaciela zapoznać z terenem swych codziennych, lecz zawsze osobliwych wzruszeń.

Lecz ani Hanka, ani Marek nie mieli śmiałości, by przyznać się Zbyszkowi, jak bardzo ich rozczarował tajemniczy świat za kulisami. Wspaniałe dekoracje grające przepychem kształtów od tyłu są źle heblowanymi deskami. Barwność kostiumów szarzeje i blaknie, gdy wiszą na kołku w garderobie. Twarze aktorów, pełne wyrazu dla patrzących z widowni, z bliska odrażają maską tłustej szminki. Za szeroką, przestronną, jasną sceną wije się ciemny zakurzony, ciasny korytarz. Klitki garderób ukazują bałagan rzeczy, strojów i ludzi. Przez szerokie luki w dekoracjach, przez kulisy właśnie – objaśniał Zbyszek – dostrzegli krzątanicę na scenie. Robotnicy ustawiali nowe dekoracje. Hanka bystro spostrzegła, iż są te same co w akcie pierwszym. „Czy Julek wróci do ojca?” – pomyślał Marek.

Zbych wepchnął ich do małego pokoiku. Na krześle siedział starszy mężczyzna bez marynarki – było duszno – z doklejonym sztucznym wąsem, z tłustą farbą na twarzy, z ustami umalowanymi na czerwono i uczernionymi brwiami. To był dyrektor Jagmin tylko jakiś niższy niż ten na scenie.

Pierwszy przywitał wchodzących.

– A! Pewnie nasz bohater z Mariensztatu. – Głos miał donośny, głęboki i serdeczny. Inny zupełnie niż ten słyszany ze sceny – skonstatował Marek, mile połaskotany pochwałą, choć nie był pewien, czy aby nie ironiczną. Wydawało mu się, iż grzeczność wymaga bagatelizowania swych zasług.

– Jaki tam bohater, proszę pana!

– Ludzi dobrze pracujących należy zwać bohaterami. Toż to walka o lepsze jutro. – Roześmiał się potrząsając dłonią chłopca. I jakby dopiero teraz zauważywszy Hanke, wyciągnął ku niej rękę, znowu zaskakując swą bezceremonialnością: – A to pewnie twoja dziewczyna? Masz dobry gust, panno...

– Anna Traczyńska! – bąknęła czerwieniejąc, czego nie mógł skryć brąz opalenizny.

– ...panno Hanko. – Garski zauważył mały znaczek na bluzce i dokończył: – Wiadomo. Dobry gust zetempówki. Nie myślę się?! – Palcem szturchnął w metalowy krążek. – Widzę po raz pierwszy ten znak.

– Tak, jestem w ZMP.

– No, to świetnie! A ty też jesteś w ZMP? – zapytał Marek.

– Nie...

– To... – stary aktor zaczął tonem nagany, lecz przypomniawszy sobie, że Marek jest kolegą Zbycha, a znał ciężący nad chłopcami wyrok, z którym trudno iść do organizacji, zmienił temat. – Dumni jesteśmy z ciebie, chłopcze! – Poklepał Kozia po ramieniu. – Niezła jest ta wasza paczka z Ochoty! – Marek zdrętwiał z przestachu, czy aby Garski nie chłapnie czegoś przy Hance, przed którą starannie ukrywał hańbę swej przeszłości. – Ze Zbyszka mamy wiele pociechy. Gra znowu w najbliższej sztuce, może go nawet do filmu – Hanka spojrzała na małego z niekłamanym podziwem – wezmą. Ho, ho! On wam jeszcze pokaże, co potrafi. Przegoni jeszcze i ciebie, choć ty daleko zajechałeś...

– To nie moja zasługa, tylko pana Wojciechowskiego...

– Wojciechowskiego? Nie znam...

– Sekretarz na... – chciał powiedzieć: „naszej organizacji”, ale się ugryzł w język – ...Koła PPR u nas na Trasie, w „Betonstalu”.

– Taki Garski z Trasy W-Z! – zahuczał aktor. – Rozumiem. On ciebie, jak ja Zbyszka...

– Tak, to on polecił mi pracować z Complakiem. Robiłem. Tyle mego.

– Takiś skromny, bratku. Nie udawaj. A jeśli już bardzo chcesz być wielkoduszny, nie swojemu Wojciechowskiemu dziękuj, ale tym, co go na twojej drodze postawili, jak mnie tu koło Zbycha. Przyjdziecie po nas; może zastąpisz tego Complaka, może zajdziesz wyżej. My-

ślą o tym. Partia, moi kochani... – zapalił się i huczał swym dudniącym basem – Partia... – chciał jeszcze coś mówić, gdy zabrzmiały dzwonki, a na korytarzu zawołano: „Pani Starosolska na scenę!” Zbych szepnęła Hance, że to inspicjent wywołuje na scenę aktorkę grającą Sabinę, matkę Julka. Gdy Hanka z Moczarskim byli już na korytarzu, stary aktor przytrzymał Kozła za rękaw i powiedział doń cicho, serdecznie, lecz ostro:

– Nie chciałem mówić tego przy niej, lecz pamiętajcie, Zbycha jużem tego nauczył, Polska Ludowa jest dla was wielkoduszna. Otwiera życie przed wami, żebyście, smyki, jej nie zawiedli...

– Nie... – bąknął Marek w odpowiedzi na słowa wypowiedziane w rozgardiaszu, jaki panuje za kulisami w ostatnich chwilach przed nowym aktem, gdy na widowni ludzie, depcząc sobie po nogach, spieszą się zająć miejsca przed zgaszeniem świateł. Teatr jest wtedy nerwowo. Wydało mu się, że Garski żąda od niego konkretnej, zupełnie określonej – Marek wiedział, jakiej! – obietnicy, choć przecież aktor nie znał całej ich prawdy.

Stali w ciemnym korytarzu. Stary aktor ścisnął dłoń młodego chłopca. Pod lampką drzwi dzielących kulisy od kuluarów Hanka oglądała się niecierpliwie za marudzącym towarzyszem. Garski coś tam mówił, lecz Marek zdążył mu powiedzieć to tylko jeszcze, co naprawdę pomyślał:

– Nie, na pewno nie, dziękuję panu bardzo, dziękuję... – i pobiegł do Hanki. Aktor może nawet nie wiedział, że dziękowano mu za otrzymane pochwały, za słowa otuchy, za wskazania, za to przedstawienie, za to, że właśnie Garski jest Jagminem...

Kurtyna odsłoniła scenę.

– Co zrobił Julek? – szepnęła zaciekawiona Hanka. Julek na noc nie wrócił do domu. Rodzice byli zaniepokojeni. Na koniec zjawił się, zmęczony i uszargany – do rana włóczył się po polach. Przyszedł, by człowiekowi, który polecił mu zamordować dyrektora, swemu oficjalnemu ojcu (prawdziwym ojcem był Jagmin właśnie!) oświadczyć wolę zerwania z konspiracją; by wypowiedzieć mu posłuszeństwo:

– „Ja już nigdy nie pójdę... na żadną taką robotę...” „Czy będę miał równą siłę, by oświadczyć to Zenonowi?” – młody widz tłumaczył przedstawienie dla siebie.

– „A jeżeli ty się mylisz, ojczu?” – wołał mały bohater dramatu, a za nim pytanie to, pod innym adresem, kierował Marek Kozioł.

– „Przysięgałeś!” – groźnie przypomniano Julkowi.

Tak jest. Przysięgali.

Na scenę wszedł Garski. Inaczej niż w poprzednim akcie patrzył nań teraz Marek. Między aktorem grającym Jagmina a zasłuchanym chłopcem istniała już więź porozumienia. Chłopcu zdawało się, że zwracając wzrok ku widowni, Garski patrzy wyłącznie na niego i do niego mówi. Spotkali się dwaj ojcowie jednego chłopca i Jagmin potępia Okulicza:

– „...Ten chłopiec stoi między nami jak cień, który oskarża nas obu – mnie i pana. Ale ten cień zadaje jeszcze inne, straszne pytania – wam! w imieniu wszystkich, których zapału nadużyliście do marnych celów, dla nędznej gry! których wytraciliście na próżno! (Marek pomyślał: «Powstanie») i których dziś jeszcze pchacie do zguby (Marek pomyślał:

«Poprawczak»)...”

Patrząc na oskarżycielski zapal Jagmina, Marek znowu usłyszał tamte słowa wypowiedziane głosem bardziej głębkim:

„...abyście, smyki, jej nie zawiedli...”

Julka w ostatniej chwili powstrzymano od samobójstwa – zbyt trudno było młodemu chłopcu rozwikłać skomplikowany węzeł ideowy i rodzinny. Marek z niejaką ulgą pomyślał, że on ma do rozplatania jeden supeł mniej.

I tak w akcie trzecim wyjaśniło się, co zrobił Julek.

Stanęli w cieniu bramy. Ich wargi były spragnione, a Hanka. tym razem nie uciekała z ustami. Marek doświadczył rozkosznego wstrząsu, po raz pierwszy chyba. Po którymś tam

pocałunku dziewczyna wywinęła się z jego objęć i zadyszane „już dosyć” zakończyło wieczór. Marek był oszołomiony. Wbiegając na schody rzuciła mu jeszcze jedno zdanie:

– To za tamto na Mariensztacie! Dumna jestem z ciebie... – i zniknęła na zakręcie półpiętra.

Na rogu Barskiej zaczepił go Lutek. Bez jakiegokolwiek wstępu rozkazał mu stawić się jutro o dziesiątej rano w znanej im obu piwnicy w ruinach na ulicy Wspólnej. To był rozkaz „szefa”.

I Marek – zaskoczony, drżąc cały z wrażeń dzisiejszego wieczoru – odpowiedział krótko:

– Będę!

Na ulicy Kruczej

W ciągu roku 1949 ulica Krucza bardzo zmieniła wygląd. Wzdłuż dwakroć poszerzonej jezdni położono fundamenty nowych gmachów ministerialnych, które w rok później były już ogromnymi, wielopiętrowymi blokami. Tak powstała reprezentacyjna arteria, podczas gdy do 1944 roku była to tuzinkowa ulica ludnego śródmieścia, z kompletem brzydkich czynszowych kamienic, o chodnikach wąskich i nieruchliwej jezdni, owiana melancholijnym smutkiem spokojnej, mieszczańskiej nudy. Sierpniowe powstanie pozostawiło na miejscu secesyjnych kamienic panoramę ruin. Zwęglone ściany waliły się same, tworząc groźne, choć malowniczo amfiteatry gruzów. W trzech powojennych latach ulica nie ożywiła się. Nie było mieszkań ani sklepów – tak wielka była ruina! Z wypalonych piwnic wiał ku chodnikom trupi zapach, a odsłonięte zburzeniem kamienic wąskie podwórka malowniczo porosły trawą i chwastem. Pościanane latarnie nie dawały światła. Powyłamywane płyty chodników zagrażały nogom przechodniów. Nawet i w biały dzień było tu pusto i głucho, z rzadka tylko sunął przechodzień. Taka była ulica Krucza, nic nie zapowiadało jej późniejszego rozmachu.

Urbaniści wiedzieli, że niedługo potrwa tu ten stan grozy i zapuszczenia. Lecz choć harmonogramy przyszłej świetności były już wypisane, jeszcze niejedyn zapóźniony przechodzień, klucząc wieczorem wśród budzących lęk ruin, pytał siebie: kiedyż ta ulica zmartwychwstanie? I odpowiedź była smutna – wtedy jeszcze warszawiak miał prawo być sceptykiem; budowa Trasy dopiero się rozpoczęła.

Tym wszystkim jednak nie przejmował się Kazek Spokorny stojąc w jasne południe na wysokim pagórku gruzów i ogarniając wzrokiem pusty, zrujnowany ciąg Kruczej oraz bardziej ożywioną wstęgę Żurawiej. „Szef, mało wymagający w ciągu ostatnich miesięcy, raptem odezwał się wczorajszym rozkazem. I oto Kazek zamiast pracować w fabryce siedzi jak byle jaki ulicznik na kupie ruin, z pozorną obojętnością bawiąc się długą witką. Był zły na siebie samego. „Dlaczego przyszedłem?” – stawiał sobie piekące pytanie. Rachował stratę produkcyjną wynikłą z nieobecności w fabryce. Ile procent normy zgubił? Już raz stracił, gdy „szef kazał mu śledzić tamtego woźnego. Wówczas też wypełnił rozkaz, uznawszy dopiero po dobrym namyśle, iż nie warto o głupstwo zadzierać z „szefem”. Lecz teraz znów strata! Psia-krew! Wczoraj wieczorem, gdy Lutek przyniósł polecenie, Kazek zjeżył się w odruchu buntu: „Nie pójdę.” I pobiegł do Marka, z którym ostatnio odżyła stara przyjaźń. „Poszedł do teatru – rzekła Kozłowa dumnie. – Późno wróci.” Więc należało rozstrzygnąć samemu. To zawsze najtrudniej. Najprościej: nie iść! „Lecz czy to jest rozwiązanie zawilej sytuacji?” – pytał siebie, bezsennie obracając się na łóżku, aż ojciec syczał z drugiego: – Ciszej. – Byłoby to drażnieniem Zenona, bez unieszkodliwienia go. Kazek wie, że nie powinien iść, że jako przodownik pracy, nie powinien posłuchać rozkazu, ale jeżeli Zenon powiadomi, kogo trzeba, w fabryce, że on jest w tajnej organizacji... Wstrząsnął nim zimny dreszcz. Wszystko, byle nie ta kompromitacja. On – przodownik pracy! Nie! A przecież Marek też jest przodownikiem, i to jakim! Co on zrobi? Była chwila, gdy kurczył stopy, by wyskoczyć z łóżka i znów biec do Marka. Pewnie już wrócił. Ale co powie ojcu? Z Markiem zobaczą się jutro... dopiero na zbiórce. Zawsze jest czas trochę pogadać na stronie. Coś już wymyślą, by pokrzyżować plany „szefa”! We dwóch raźniej! Tylko razem z Markiem, nie w pojedynkę. Zresztą niebezpieczeństwu trzeba spojrzeć w oczy. Ucieczka jest najgorszą formą obrony. Przecież nie jest

tchórzem – zdecydował, i to rozstrzygnęło. Chwyci zło za gardło. Razem z Markiem. I oto z nocnych lęków przeszedł Kazek w nocną odwagę. Teraz zjawiały się coraz piękniejsze obrazy. „Przeszkodzą Zenonowi w planowanym łotróstwie.” Tak, niebezpieczeństwu należy wyjść naprzeciw. Domagała się tego chłopięca zuchwałość.

Rano na zbiórkę nie przyszedł... właśnie Marek. „Szef czekał pół godziny, klnąc z nie hamowaną złością. Lutek zapewniał, iż Koziół obiecał spełnić rozkaz. Coś się widocznie musiało stać. Zenon zaczął przypuszczać najbardziej ponurą możliwość – wyspę. Przez moment skłonny był odwołać całą akcję, nieobecność jednego podwładnego przyjmując za zły prognostyk. Lecz otrząsnął się z niedorzecznych przesądów. Kazka przeraziła nieobecność Marka.

– Co robić? – zapytał półgębkiem Jacka, lecz ten warknął niezyczliwie:

– Co ci się podoba!

„Jacek się boi” – pomyślał z rozpaczą Spokorny. A Jacek miał swoje plany, których chciał być jedynym realizatorem. Jemu nieobecność Marka nie przeszkadzała. Kazkowi zabrakło śmiałości do samodzielnego wystąpienia przeciw dwóm naraz: Zenonowi i Lutkowi; Jacek wyraźnie nie chciał się mieszać; Zbych drżał, jak przed przysięgą w anińskim lasku. Spokorny stracił godziny pracy, a nie zyskał nic. Jawna wściekłość Zenona wyklinającego Marka sparaliżowała ostatecznie wolę chłopca. „Rozszarpie mnie, gdy mu teraz coś powiem.” Potulnie więc słuchał instrukcji, wzrokiem tylko krążąc dokoła jak więzień w aresztanckim konwoju marzący o ucieczce.

„Szef z dużą wstrzemięźliwością wtajemniczył chłopców w szczegóły akcji, z każdym rozmawiając oddzielnie – nie ufał żadnemu z nich: ani Jackowi, ani Zbychowi, ani nawet Kazkowi. Nie miał jednak innego wyjścia, gdyż ilość młodych ludzi, których mógł użyć do tego rodzaju sprawy, ostatnimi czasy skurczyła się dość znacznie. W przeciwnym razie nie patyczkowałby się ze swymi podwładnymi z Barskiej, gdy ci zbuntowali się po raz pierwszy.

Zadanie Kazka było proste. Gdy ujrzy Lutka idącego Żurawią od placu Trzech Krzyży, ma czekać, aż ten zdejmie czapkę z głowy. Wtedy Spokorny winien trzykrotnie machnąć wityką w kierunku samochodu stojącego na ulicy Żurawiej, bliżej Marszałkowskiej. I to wszystko. Po odjeździe samochodu był już wolny. Jeżeli by jednak w chwili pojawienia się Lutka spostrzegł w pobliżu milicjantów czy uzbrojonych żołnierzy – było to zresztą mało prawdopodobne – winien trzykrotnie zagwizdać, machając przy tym swą wityką, ostro i często.

Na Żurawiej i Kruczej śledził przed kilku tygodniami woźnego z pewnego przedsiębiorstwa budowlanego. Więc choć „szef jednym słowem nie zdradził, jakiego rodzaju akcję mają przeprowadzić, Kazek był pewien, że dokonają napadu na woźnego.

„Dlaczego przyszedłem?” – penił się na siebie. Teraz mógłby zbiec z ruin i po prostu uciec. Lecz czy wtedy Zenon nie da znać do fabryki?... Wszystko było potworne. Umysł chłopca pracował gorączkowo. Co teraz robić? Marek mądrze uczynił lekceważąc polecenie.

Zbych przeląkł się wezwania „szefa”. Po bezsennej nocy pobiegł do Marka po radę, lecz ten akurat wcześniej niż zazwyczaj wyszedł z domu. Jacka też nie było. Rozpacz. Zbych przed terminem zjawił się na umówionym miejscu. Nie wszedł jednak w głąb ruin, krążył po ulicy. Postanowił, że jeżeli nie spostrzeże żadnego ze swych przyjaciół, on też nie pójdzie na zbiórkę. Jeżeli jednak oni posłuchają rozkazu „szefa” – cóż robić? – pójdzie i on.

Przyszli Jacek i Kazek. Nie spostrzegł Marka, lecz tamten był pewnie w środku już wcześniej. Zdumienie ogarnęło Zbycha, gdy Marek nie pojawił się w ogóle.

Teraz Moczarski siedział w kucki za zamkniętą bramą wypalanej kamienicy na Kruczej, przez szparę we wrotach obserwując pustą ulicę. Tędy mają przebiec na podwórze trzej młodzi ludzie – „Już będziesz wiedział, którzy to, będziesz wiedział” – tłumaczył Zenon. Wtedy miał wrota zatrzaskać żelazną zasuwą i uciec co rychlej ruinami na Wspólną. Zbych też – jak Kazek – domyślał się celu tej historii. Łykał rozpaczliwie łyzy. Nie potrafił dać sobie rady z

tym wszystkim, co go oblegało. Jakżeż to było proste wtedy, w czterdziestym piątym czy szóstym, a jak się pogmatwało później. Nie wiedział, co robić, brakowało mu odwagi, by się sprzeciwić... Poczekaj i zamknij bramę, jak mu kazano.

Jacek spokojnie wysłuchał objaśnień Zenona, potwierdził je trzykrotnym „rzeczywiście”. „Szef kazał mu ze zrujnowanych schodów kamienicy na rogu Wspólnej i Kruczej obserwować obie ulice, a w razie pojawienia się milicji lub uzbrojonych żołnierzy ostro gwizdać machając trzymany w ręce prętem. Oczywiście ewentualny alarm mógł czynić dopiero wtedy, nie wcześniej, gdy z Żurawiej na Kruczą wyjdzie Lutek. „Szefowi” naprawdę musiało brakować już ludzi, skoro do tej akcji użył kaleki, ciężkiego w ucieczce i łatwego do rozpoznania.

Jacek zrozumiał świetnie polecenie. Otrzymawszy rozkaz stawienia się, obmyślił w nocy plan działania. Nie oglądał się tedy na innych. Zajął wyznaczone mu stanowisko, pilnie obserwując Kruczą i Wspólną. Jak pozostali dwaj koledzy, i on był podniecony, lecz nie szarpały nim sprzeczne decyzje, jak Kazkiem, nie gnębiła bezradność, jak Zbyszka. Jacek, łatwo przejrząwszy cel akcji, był zupełnie zdecydowany ostatecznie załatwić rachunki.

Lutek krążył wokół przystanku, jakby czekał na tramwaj. Bacznie obserwował wysokie wejście do szarego gmachu, który jako jeden z niewielu ocalałych z pożogi, już w zimie 1945 r. stał się siedzibą rozlicznych instytucji samorządowych i bankowych: niełatwa była tedy obserwacja mnóstwa wychodzących osób. W ogóle w tym punkcie miasta stale przelewały się i kłębiły tłumy. Naturalny tłok skrzyżowania wzmacniany był szczególnym zagęszczeniem ruchu kołowego, który tutaj, u zbiegu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, wlewał się w koryto wiaduktu, stanowiącego wtedy jeszcze jedyne połączenie z prawym brzegiem Wisły. Na domiar, odbudowa tunelu kolejowego linii średnicowej zagroziła oszalowaniem części szerokiej jezdni, a ruch kołowy odbywał się nawet po specjalnym przepuszczeniu. Dawno już wprawdzie, w 1946 roku, dźwignięto zwalony bombą strop tunelu, likwidując kilkumetrową wyrwę hamującą ruch na obu arteriach, lecz prace przy poszerzaniu tunelu trwały jeszcze ciągle.

Chłopiec uważnie obserwował wychodzących. Był niezwykle przejęty, po raz pierwszy biorąc udział w ekspropriacyjnej akcji: wyobraźnia ożywiona lekturą pracowała na pełnych obrotach. „Szef niedawno powiedział: – Każda cegła ułożona przez nich później, niż planują, to szybsze zwycięstwo naszej sprawy. Ekspropriacja – heroiczne słowo, dziś mające kryć czyn wręcz bandycki! – była właśnie wymierzona w układających te cegły. A potem... Zenon kuśił świetnymi propozycjami, wobec których groźba „poprawczaka” malała, nikła prawie. Należało tylko dziś zrobić swoje.

Młodzieniec w brudnej czapce studenckiej wysunął się spomiędzy kolumn gmachu i kłaniając się Lutkowi, ruchem głowy wskazał dalszych wychodzących: było ich troje – młoda elegancka kobieta, starszy szpakowaty pan i chudy, średniego wzrostu woźny, w granatowym mundurze z wypustkami, dźwigający dużą parcianą torbę. Woźnego Lutek znał z widzenia – to ten. Urzędnicy byli jednak obcy, prawdopodobnie tamta para jest na urlopie. Zatraskał się więc, czy aby pójść swą dotychczasową trasą. Skręcili w Nowy Świat.

Z kolei Lutek skłonił się mijającej go pani, ta wprawdzie spojrzała nieco zdumiona, lecz trzech czekających po przeciwnej stronie ulicy młodzieńców widać zrezygnowało z autobusu, gdyż wyciągniętym krokiem ruszyli w kierunku placu Trzech Krzyży, szybko wyprzedzając woźnego, urzędników i powoli kroczącego za nimi Lutka.

W tym samym czasie Marek zanurzał łopatę w siną zaprawę i rozprowadzał ją na niższej warstwie ułożonych cegieł. Pracował z Wiewiórskim, jednym z tych, którzy próbowali murować systemem trójkowym, pokazanym przez Complaka. Samego Complaka już na budowie nie było, pozostali jednak następcy i naśladowcy.

Kozioł wcześniej rano przyszedł na budowę. Jak przyjaciele, on też nie spał tej nocy, gnębiony fatalnym poselstwem Lutka, tym cięższym, im bardziej urocze były wspomnienia minionego wieczoru. Analogia między losem Julka z Odwetów a własnym zaczęła się aktualizować prędzej, niż sądził składając Carskiemu obietnicę. Noc go zmęczyła, wstał więc wcześniej niż zwykle. Był pierwszym pomocnikiem, którego Wiewiórski, skrycie marzący o pobicie normy Complaka, spotkał u bramy na Krakowskim Przedmieściu. Propozycja współpracy uzyskała aprobatę kierownictwa, Marek z Wiewiórskim i podręcznym stanęli przy murze. Wiedział, iż Wiewiórski chce dorównać osiągnięciom Complaka.

Chłopiec podawał szuflę za szuflą, starając się nie myśleć o niczym prócz doskonalenia zręczności swych ruchów. Lecz zapamiętana cytata o sile „nie”, która jednej cegły nie ustawi w Warszawie, drażyła go nieustannie, a wraz z nią ogarniało podwójne uczucie: niepokoju i radości, dumy i niepewności, spowodowane zlekceważeniem rozkazu „szefa”.

W rozkładane na murze sine wapno Wiewiórski szybkimi ruchami wciskał czerwone cegły.

Kazek widzi dokładnie samochód czekający na jego sygnał. Przez kilka minut przed autem spacerował „szef – łatwo go było poznać po charakterystycznych podrygach całej figury. Teraz schował się do samochodu, przez okienko obserwując chłopca, którego dostrzegł ponad meblowym wozem nieprzewidzianie zasłaniającym dalszą perspektywę ulicy Żurawiej.

Podniecenie wywołane nieposłuszeństwem Kozła lub może groźnym przypadkiem nie opuszczało Zenona. Dziwił go stan własnych nerwów, nie w takich akcjach brał przecież udział, a jednak nigdy nie był roztrzęsiony. „Starzeję się” – bagatelizował żartobliwie, lecz duszno mu już tu było, gnębił go brak bezpieczeństwa, mnożyły się oznaki, iż sieć została nań zarzucona. Może by się z niej potrafił wywinąć; potrzebował na to pieniędzy; tymczasem znajomy dyplomata raptem znikł, może wyjechał. Zenon pogubił kontakty i musiał sam sobie dawać radę w tej matni. Nigdy dotąd w jego bujnym życiu jedna akcja nie decydowała tak dalece o całym dalszym losie. Dotkliwy zawód z ulicy Miodowej nie mógł się powtórzyć! Wpatrując się w sylwetkę stojącego w słońcu Kazka, odpalał jeden papieros od drugiego.

Spokorny ma przed sobą całą zachodnią część Żurawiej. Dobrym wzrokiem już z daleka poznaje ludzi.

Najpierw dostrzegł tych trzech – szli szybko, ostrym marszem, i skręcili w Kruczą, tam dopiero zwalniając. Dwóch znał z widzenia: towarzyszyli „szefowi” w anińskim lasku. Wyprzedzili znacznie woźnego i urzędników.

Kazkowi każda chwila wydawała się teraz zbyt długa.

Woźny kroczył pierwszy, trzy kroki za nim para urzędników, Dopiero o jakieś dziesięć metrów za nimi szedł Lutek.

Rosła emocja Spokornego. Każdy krok tamtych potęgował mus podjęcia decyzji. Choć wiedział, jak powinien postąpić ciągle nie był pewien, czy tak właśnie uczyni.

Trójka idących powoli zbliżała się do rogu Kruczej. Lutek – za nimi. Trójka skręciła w Kruczą.

Jacek spostrzegł urzędników. Oczekiwał ich, od chwili gdy minęli go trzej młodzieńcy, z których dwóch też rozpoznał. Jedynie Zbych nie przypomniał sobie znajomych z anińskiego lasku, zbyt szybko przeszli koło jego bramy.

Lutek skręcił w Kruczą. Jacek miał już teraz wszystkich przed oczyma. Widział napastników i przyszłe ofiary. Przed nim rozgrywał się film: widzowie już wszystko wiedzą o grających bohaterach, lecz ci są sobie jeszcze zupełnie obcy. Woźny szedł niedbale i spokojnie, ileż już razy przebył tę trasę. Za nim kroczyła rozmawiająca para.

Jacek orientował się doskonale: trzech młodych dokona napadu, pewnie z pomocą Lutka. Nastąpi to wtedy, gdy wszyscy zetkną się w jednym punkcie.

Jak to wszystko długo trwa!

Raptem bandycka trójka zawróciła i ruszyła naprzeciw ofiar. Minęli ich i momentalnie się obrócili. Teraz wszyscy byli zwrócenii ku Jackowi. Lutek gwałtownym ruchem ściągnął czapkę z głowy.

Kazek zdecydował: nie weźmie udziału w napadzie. Było to konsekwentne postanowienie chłopca, który swą dobrą pracą odbudowywał siebie i kraj. Jego sygnalizacja miała ułatwić napad. Przerwanie łańcucha sygnałów pewnie uniemożliwi zbrodnię, a w każdym razie odeptnie go od bandytów; pierwszy raz słowem tym nazwał Zenona.

Zobaczył: dwie trójki spotkały się. Lutek zdjął czapkę...

Kazek pozostał nieruchomy na szczycie gruzów. Nawet chwiejąca się witka zastygła mu w ręce. Zenon wpatrywał się ponad meblowym wozem w sylwetkę chłopca i niecierpliwił się: „Marudą w tym banku!...”

Jacek z precyzją realizował swój plan – okoliczności wymagały drobnych korektur, lecz zasada działania ustalona była już od kilku godzin.

W tej samej chwili, gdy napastnicy znaleźli się obok pracowników przedsiębiorstwa, Jacek ostro i donośnie zagwizdał na palcach. Trzy razy spokojnym powietrzem szarpnął świst. Chłopiec machał trzymanym w ręce prętem. Czynił to gwałtownie, gestykulując rękami.

Pracownicy zjednoczenia budowlanego wraz z gwizdem usłyszeli rozkaz uniesienia rąk, poparty przyłożeniem do pleców rewolweru. Zdrętwieli. Lecz nim zdążyli wykonać polecenie – już nie było koło nich nikogo.

Gwizd się powtórzył, donośnie rozległ się wśród ruin. Napastnicy doskoczyli do umówionej bramy. Zamknięta...

Zbych zupełnie dokładnie widział, jak Lutek zdejmował czapkę, a trzech młodzieńcy wyciągali rewolwery. Są chwile, gdy człowiek decyduje się w mgnieniu oka. Działa instynkt, a nie rozważa. Gwizd alarmowy, ostrzegający napastników, wyzwolił reakcję chłopca. Zamknąć odwrót, ułatwić złapanie! Ruchy chłopca były szybsze niż myślał. Uwolnić się od tej zmory. Ziarno rzucone ręką Carskiego raptem wykiełkowało.

Gdy bandyci runęli w bramę, która miała być przygotowana do ich ucieczki, wrota były zaryglowane. Zbych sadził susami przez ruiny podwórza, byle wydostać się za niebezpieczny obwód.

Daremne szarpnięcia. Zaryglowane. Przekleństwa – i trójka skoczyła w stronę Żurawiej okrężną, otwartą drogą chodnika.

Lutek zrazu też się cofnął szybkim biegiem, lecz za rogiem zmusił się do spokojnego marszu.

Woźny i para urzędników stali nieruchomi.

Kazek usłyszał gwizd i dostrzegł gestykulację przyjaciela. Odruchowo chciał powtórzyć sygnał Zenonowi, lecz wstrzymał się. Po raz drugi. Zresztą w udzielonych instrukcjach „szef” nic nie wspominał o powtórzeniu nadawanych przez Jacka sygnałów. Niech sobie bandytów łapie milicja!

Zenon przez szybę samochodu widział ciągle nieruchomą figurkę chłopca. „Czyżby tamci poszli inną drogą? – pomyślał, zaniepokojony. I w tym momencie zza meblowego wozu wyłoniły się w gwałtownym biegu trzy postacie o twarzach zaczerwienionych z wielkiego pośpiechu.

Zenon zdrętwiał... Uciekają! I to z pustymi rękami, chodnikiem, nie przez ruiny?! Zrozumiał: nieszczęście! Marek nie przyszedł rano! A motor samochodu nie zapuszczony! Miał uczynić to w chwili, gdy Lutek ściągnięciem czapki zasygnalizuje początek akcji, a Spokorny sygnał ten przekaże. Do ruszającego już samochodu mieli wskoczyć bandyci. Lecz Kazek siedział spokojnie...

Szarpnęli drzwiczkami. Opadli na poduszki siedzenia. Zenon przekręcił kontakt, nacisnął starter. Dobry motor poszedł gładko, lecz i tak stracono kilka cennych sekund.

Odjechali szczęśliwie. Nikt za nimi zresztą nie gonił. Tylko przechodnie, rzadcy na tym odcinku Żurawiej, zdziwieni byli wyścigowym pośpiechem młodych mężczyzn. Kazek dostrzegł, jak auto „szefa” zniknęło w gardzieli Marszałkowskiej. Zdumiał się, iż mimo alarmu żaden milicjant nie zaopiekował się trójką ludzi stojących ciągle nieruchomo na środku Kruceej. Nie pojęli widać wszystkiego tego, co się wokół nich stało. Lub też sądząc, że napastników spłoszyła milicja, oczekiwali jej przyjścia.

Gwizd Jacka nie zwrócił niczyjej uwagi, poza zainteresowanymi nikt go nie słyszał. Niedośzłe ofiary same musiały powędrować do komisariatu Milicji Obywatelskiej. Dyżurny oficer od każdego odebrał inny opis napastników – zgodni byli jedynie w tym, że trzech atakujących byli młodzi i uzbrojeni. Podawali natomiast sprzeczne dane o ich twarzach, o kolorach ubrań, o wzroście. Sama ucieczka wyglądała zupełnie zagadkowo. Coś musiało spłoszyć napastników. Ale co? Z wrażenia wywołanego rozkazem podniesienia rąk – wszyscy troje zapomnieli o usłyszonym niemal równocześnie gwizdzie. Kto by tam zresztą o tym pamiętał! Tylu chłopców hałasuje na ulicach!

Konkluzja milicji była krótka: nieudana próba napadu, spłoszeni bandyci uciekli nie ograbwszy woźnego.

Przed wieczorem Marek odebrał od wszystkich trzech przyjaciół, od każdego oddzielnie, relacje o wydarzeniu. Swą lakonicznością nie różniły się one od wniosku powziętego przez milicję. Nie kryjąc radości z klęski „szefa”, każdy starannie przemilczał swój osobisty w tym udział. Młodzieńczy wstyd nie pozwalał zdradzać wewnętrznych burz. Jacek wręcz oświadczył, że podniósł alarm spostrzegłszy trzech milicjantów idących Wspólną, tylko że później zawrócili oni z powrotem.

Marek też zbyt szeroko nie tłumaczył powodów swej nieobecności. – Dość mam tej całej grandy. – Ponad to szorstkie zdanie nie rzekł nic więcej. Nie miał zresztą chęci przedłużać dzisiejszych rozmów, był zmęczony. Czy to upał zawinił, czy trapiące go myśli, dość, że z Wiewiórskim pracował gorzej niż z Complakiem. Ułożyli ledwo 3148 cegieł, a zmordowany był dwakroć więcej niż w dniu swego pierwszego tryumfu. Zdarzają się takie pechowe dni w życiu każdego.

Jacek wypatrzył, że Lutek nie wrócił na noc do domu.

Jacek

Jackowi wydawało się, że fiasko napadu położy kres jego wewnętrznym kłopotom. Lecz już wieczorem, gdy wiedziony przemyślnym instynktem wyszedł nieobecność Lutka, poczuł, że się omylił. Tyle tylko, że ustało szamotanie się w sieci własnego braku decyzji, strachu przed „szefem” i przed „poprawczakiem”; wyrosło natomiast, gdy przestąpił próg czynu, dręczące pytanie: co dalej?

Co dalej czynić? Wstrzymać się w połowie drogi to przecież było niemożliwe. Chłopiec zaczynał pojmować reguły gry życiowej: gdy wymówiło się pierwszą literę alfabetu, trzeba zdobyć się i na powiedzenie ostatniej.

Czynem zadeklarował się przeciw Zenonowi. To prawda, lecz „szef gładko uciekł samochodem! Nikt go nie. gonił, nie ścigał. Po zabójstwie Radziszewskiego Marek okiełznał pierwszy odruch buntu Jacka ostrzeżeniem: „Cóż ty wiesz o Zenonie? A on o tobie – wszystko!” I teraz, po upływie pół roku, sytuacja jest ciągle podobna. Ciągłe nie wiedzą nic o Zenonie, znają go właściwie jedynie z widzenia, choć Kazka łączy z „szefem” nawet jakieś powstańcze, niemal historyczne przeżycia, a Lutek, lecz nie Jacek, zna lokale, gdzie bywa Zenon – i to wszystko. O wiele za mało. Niebezpieczeństwo

grożące ze strony „szefa” ciągle jeszcze trudne było do zlikwidowania.

Jacek poczuł bezradną samotność. Bał się wtajemniczyć w swe kłopoty kolegów, strach przed konsekwencjami przestępstw zniszczył wzajemne zaufanie. Może należało zwierzyć się Matusiakowi? Myśl tę, nawiedzającą go już dawniej, odpychał od siebie: wstydził się po prostu! Wstydził się również pani Majewskiej. Wydawało mu się, iż ukrywając przed nią dotąd najistotniejszą prawdę o sobie naruszył jej dobrą wiarę.

Po złej nocy wstał zmęczony i zdenerwowany. Kuśtykając o kuli przez Grójecką, dał się ogarnąć żalości nad samym sobą. Kalectwo swe uznał za przyczynę nieszczęścia, łzy zakreśliły mu się pod powiekami. Zły i zgryziony stanął do pracy w redakcji.

Koło dziesiątej zjawił się Kornecki. Z miną naburmuszoną. Gdy Jacek w chwilę potem kładł na biurkach obu redaktorów codzienną paczkę pism, usłyszał jak Kornecki kończył rozpoczęte przedtem opowiadanie:

– ...tak ich potem długo trzymali na przesłuchaniu w Milicji Obywatelskiej, że dyrekcja przesunęła wypłaty na popołudnie. Nie mogłem czekać, dostanę pieniądze dopiero dziś, dlatego, mój drogi, pożycz mi na dwie godziny.

Matusiak podał trzy zielonkawoniebieskie banknoty.

– Najzabawniejsze w tym całym wydarzeniu to spłoszenie się rzeźmieszków. W pobliżu nie było żadnego patrolu ani nawet pojedynczego milicjanta. W ogóle mało ludzi. I raptem tamtych przejął paniczny strach...

Jacka ogarnęło uczucie znane pisarzowi, który w rękach przygodnego towarzysza podróży dostrzega własną powieść czytaną z zainteresowaniem, a w nieświadomości sąsiedztwa z autorem.

– Cudów nie ma! Coś ich przepłoszyło! O tym i Jacek był najświęciej przekonany.

– Dlatego też nasz woźny nie potrafił opisać ich twarzy. Za krótko z nimi obcował.

– Humorek ci się poprawił, gdy dostałeś forszę...

– Ludzka rzecz. Powiem ci jednak, to marna robota. Wielka sztuka wyrwać idącemu pustą ulicą...

– Uff, co za marzenia! Ondraszek czy Robin Hood nie doczekali naszych czasów. Zamiast szlachetnych rozbójników mamy teraz do dyspozycji jedynie tchórzliwych rzezimieszków. – Na korytarzu ktoś krzyczał, że redaktor naczelny wzywa Matusiaka.

Rozmyślając tego ranka o napadzie, Kornecki uprzytomnił sobie w pewnej chwili, że ostatnią osobą, z którą dłużej rozmawiał o zjednoczeniu budowlanym, był Chłudziński; chciał u nich pracować, widać jednak znalazł sobie coś stosowniejszego. O swym dawnym koledze myślał z odrazą, kojarzył mu się on z owymi banknotami, na których w ponurym „Piekiełku” głupkowaty fircyk wypisywał kiepskie madrygały swojej Dulcynei. Z kolei uświadomił sobie, że zamierzał spytać Jacka, skąd zna Chłudzińskiego. Gdy Matusiak wyszedł z pokoju, Kornecki zagadnął chłopca:

– Skąd znasz Chłudzińskiego?

– Ja? Chłudzińskiego?

– Tak, Wiktora Chłudzińskiego.

– Nie. – Jacek gorączkowo szukał w zakamarkach pamięci tego nazwiska. Słyszał je po raz pierwszy. – Nie. Rzeczywiście. Nie. Kto to?

– Student, kolega mojej siostry...

– Nie znam ani pana siostry, ani jego. Rzeczywiście. Może on tu coś dla pana redaktora zostawił? Jak wygląda?

– E, zwyczajnie! Szczupły, średniego wzrostu, nic specjalnego. Aha, jakoś zabawnie chodzi, tak podryguje, jakby wpierw stawiał palce, potem dopiero opuszczał pięty... – W tej chwili Kornecki przypomniał sobie wyjaśnienie podane przez Wiktora; oczywiście Siwicki nie może pamiętać wszystkich, którzy przychodzą do działu rzeczy zagubionych. – Zresztą nic ważnego, on tu był w redakcji...

Nie, nie mogło być wątpliwości. Szczupły, średniego wzrostu, o tak wyjątkowym, charakterystycznym chodzie. Jacka ogarnęła nieoczekiwana radość. Czyżby pierwszy ślad? Lecz oto Kornecki bagatelizuje sprawę.

– Mówi pan redaktor, że tak zabawnie chodzi. Rzeczywiście. Zdaje się, zdaje się, że rzeczywiście – uchwycił się ostatniego zdania Korneckiego – że ja go tu widziałem. Kilka dni temu pytał o pana redaktora. – Palnął pierwsze z brzegu kłamstwo, byle dowiedzieć się więcej.

– O mnie ? Osobiście ? – Cóż za interes mógł mieć Wiktor ? Zosia go przysłała? Z kolei redaktor był zdziwiony.

– Osobiście był tutaj. – Jacek brnął dalej; wóz albo przewóz.

– Kiedy?

– Tydzień temu.

– Chciał się widzieć ze mną?

– Tak, tylko ja potem zapomniałem o tym powiedzieć panu redaktorowi. Rzeczywiście. Obiecał, że zatelefonuje, że nic ważnego...

– Może znów coś zgubił, jak wtedy...

– Chyba! – Jacek uznał za roztropne potwierdzić tę zagadkową dlań możliwość.

– Ale do tego przecieżby mnie nie potrzebował... Raz mu już pokazałeś drogę. Zbudowany był wtedy twoją grzecznością. Jacek był bardzo zdumiony.

– Mówił panu o mnie?

– Tak, on zwrócił na ciebie uwagę. Tyś go tylko nie zapamiętał. Jacek był pewny, że jest na właściwym tropie.

– Zapamiętałem. Owszem. Rzeczywiście. Ale jak on się nazywa, bym mógł powtórzyć, gdy znowu przyjdzie pytać o pana redaktora?

– Chłudziński, Wiktor Chłudziński, mój dawny kolega, ale to bardzo dawny...

Dopiero trzeciego dnia Jacek zdobył się na krok stanowczy. Były to trzy najcięższe doby w jego krótkim świadomym życiu.

Jacek Siwicki w chwili wybuchu wojny liczył lat nieco więcej niż siedem, w maju 1945 roku skończył trzynaście. W okresie między tymi datami był jeszcze zbyt dziecinny, by konspirować samemu, lecz dostatecznie młodzieńczy, by nasiąknąć namiętnością do nielegalnego spiskowania i marzyć o bohaterskich czynach. Wychowywały go w równym stopniu cynizm i bezwzględność życia okupacyjnego jak piękno prawdziwych czynów bojowych lub też tylko ich obiegiwe mity.

Urodził się i wyrósł na Ochocie, ojczyściej dzielnicy obojga rodziców. Ochota była przedmieściem stolicy, na którym w okresie Drugiej Rzeczypospolitej miasto tyralierą swych podłych ruder i luksusowych kamienic wdzierało się między zagony kartofli i poletka chudego żyta. Tutaj wieś dopiero przekształcała się w miasto. Fabryk nie było, tradycji robotniczych – żadnych. Podstołeczny chłopiec stawał się mieszkańcem milionowego skupiska, co w pierwszym pokoleniu dawało ludzi o niewyklarowanych cechach klasowych, nieświadomych ideowo, łatwo przejmujących od drobnomieszczaństwa i lumpenburżuazji ich najgorsze, lecz i najcharakterystyczniejsze cechy, zwiększały się tedy kadry stołecznego lumpenproletariatu. Pogranicze hoduje zawsze przemytników. Ochota była takim pograniczem: już nie wieś, ale jeszcze nie miasto. Żył tu legion przemytników klasowych, którzy z jednej na drugą stronę społecznej barykady szmuglowali oportunistyczne idee i koncepcje, trując nimi proletariat przedmiejskiej dzielnicy tak skutecznie, iż wyrastały tutaj gromady ludzi zamazanych, niewyraźnych, wyzbytych jakiegokolwiek ambicji lepszego jutra, obojętnych na walkę o sprawiedliwość dla siebie i swoich.

Otoczenie i rodzina Jacka – ojciec szewc i w jednej osobie dozorca rentownej kamienicy – nie przekazywały dzieciom żadnych ideowych wskazań ani prawd, nie uzbrajały ich do walki politycznej, bo i same stały od niej z dala. Świadomość klasowa to nie laska z nagłą oświecającą. Kształtują ją warunki życia lub polityczne wychowanie. Choć w 1945 r. władzę w Polsce objęła klasa robotnicza, trzeba było dopiero roku 1948 i wielkich przełomów ideowych w polskim ruchu robotniczym, by rewolucja stała się w pełni proletariacką. Na Ochocie w 1947 i 1948 drobnomieszczański tynk tamtejszego proletariatu nie był jeszcze poodbijany. Ani Jackowi Siwickiemu, ani żadnym innym Jackom z tamtych ulic Barskich nikt z bliskich nie powiedział prawdy o nowej Polsce. Od nich chłopcy najczęściej słyszeli skargi i narzekania, gdyż powojenne trudności, nieuchronne w zrujnowanym mieście, uważano za następstwo zmiany ustroju społecznego. Tacy ludzie nie zawsze byli w stanie doprowadzić młodych chłopców do nowo; ojczyzny.

W roku 1946 temperament pchał Jacka w sidła Zenona; marzyło się chłopcu to brawurowe życie, którym podczas wojny imponowali starsi. Znaleźli się ludzie, kontrrewolucjoniści przedradzający się w bandytów, którzy pojęli siłę tkwiącą w niewyżytych tęsknotach tych jeszcze dzieci! Bez skrupułów sięgnęli po ich młodość, by ją zniszczyć, w zamian ucząc ich tylko zbrodni, pogardy dla praw, szczepiąc bakcyl negacji. Nie ograniczono się przy tym do nauk wyłącznie technicznych. Akademia rabunku i skrytobójstwa wymagała przecież motywów „ideowych”. Wśród nich najważniejszym był mit wierności wyludzonemu przysięgom, mit kurczowego szacunku dla przeszłości, mit solidarności z współprzestępcą w imię nieokreślonego honoru.

Jacek był chłopcem inteligentnym, którego bystrość łatwo przechodziła w cwaniactwo czy nawet w wyrachowanie. Chropowaty los kaleki uczył go podstępów i przewidywań. Wcześniej od kolegów pojął niebezpieczeństwo współpracy z Zenonem. Początkowo daleki od rozumienia sensu zbrodniczych poczynań „szefa”, daleki od wyczucia klasowego interesu Zenona oraz interesu własnego – bał się jedynie konsekwencji. Jako kaleka, umiał ocenić grozę i logikę nieszczęścia; chłopcy zdrowi, zbyt ufni we własne siły, po prostu mniej się zastanawiali, bardziej ryzykowali, wierząc w przypadek sprzyjający odważnym.

Praca w redakcji dziennika, tej retorce życia, ukazała Jackowi wiele znanych zjawisk od innej strony. Trysnął mu w twarz strumień trzeźwiącej wody. Dyskusje dwu młodych redaktorów stały się dlań podstawową szkołą myślenia. Perypetie z Andrzejem Korneckim obudziły żywe, istotne zainteresowania, ruszył więc najpoważniejszy motor w życiu młodego chłopca: praca zawodowa. Jacek miał lat szesnaście – w metryce; doświadczenia dziecka, któremu ojcem była nędza, a matką wojna, czyniły go starszym. I oto w pewnej chwili rozpoczął – z wyrachowaniem i rozmysłem – torować sobie drogę powrotną do normalnego życia.

Lecz gdy na tej drodze znalazł się u ostatecznego, tak mu się zdawało, kresu, pod stopami ujrzał przepaść. Ścieżka wiała się dalej po drugiej stronie bezdennej szczeliny, możliwej do przebycia wyłącznie gwałtownym, mocnym skokiem.

Przepaść ta odsłoniła się przed nim w chwilę po rozmowie z Korneckim, w której zyskał głębokie przeświadczenie, że Wiktor Chłudziński i „szef Zenon to jedna i ta sama osoba;

w przeciwnym razie po cóż by się niejaki Wiktor Chłudziński, na domiar tak samo charakterystycznie chodzący jak „szef Jacka, miał pytać właśnie o Siwickiego.

Póki nie wiedział, kim jest „szef, poty drzemiący gdzieś na dnie mózgu problem uniezależnienia się od Zenona nie atakował z tak niepokojącą ostrością. Dopiero teraz!

Teraz już wiedział, kim jest Zenon. Wiedział, że jedynym sposobem uwolnienia siebie i przyjaciół od „szefa” jest pozbycie się go. Wiedział, że działalność „szefa” skierowana jest przeciw jego państwu i jego ojczyźnie. Lecz jednego nie wiedział – jak go się pozbyć?

Konspiracyjna szkoła Zenona nasuwała mu jeden jedyny sposób: skrytobójstwo. Gdyby pani Majewska mogła usłyszeć wewnętrzny dialog jej wychowanka, byłaby zgorszona, przerażona tą zimną, wyrachowaną diagnozą, jaką sam sobie sformułował szesnastoletni chłopiec, zdolny bez wzruszenia myśleć o „zlikwidowaniu przez zastrzelenie”. Zrabowano mu jednak tak dzieciństwo, jak młodość, w zamian ucząc jednego: cynizmu.

Lecz Jacek zabójstwo odrzucał. Nie z sentymentu jednak. Wywody redaktora Matusiaka nauczyły go, że samowolne, prywatne wymierzanie sprawiedliwości, dochodzące aż do zabójstwa, w normalnym państwie jest zbrodnią, a nie chciał się obciążać nową winą w chwili uwalniania się od starych. Do wymierzania sprawiedliwości powołane są specjalne władze. Sam się z nimi, niestety, zetknął. Jedynie one mogły oswobodzić ich od „szefa”. Gdybyż o Zenonie cokolwiek wiedziały!

W tym właśnie miejscu otwierała się przepaść!

W konspiracji, która go wychowała, przepaść tę nazywano zdradą! Lecz już kielkująca w nim solidarność z istniejącym porządkiem ustanowionym rewolucją podsuwała inne słowo: obowiązek. Sens „zdrady” był wyraźnie zakarbowany w pojęciach chłopca, rozumiał go świetnie. Natomiast sens „obowiązku” był jeszcze mglisty, bardziej przeczuwany niż świadomy. Wiedział tylko tyle, że obowiązkiem obywatela jest wydać przestępcę w ręce władz bezpieczeństwa. Przestępca i obywatel są jednak normalnie po różnych stronach państwowej barykady, a on jeszcze ciągle siedział na niej okrakiem.

Więc sam siebie pytał w ciągu tych trzech długich dni: czy solidarność z dawnym towarzyszem, czy poczucie honoru – lecz sam dobrze nie wiedział, jakiego honoru? – pozwoliłyby mu wydać „szefa”.

Pytał się dalej: czy sam, bez niczyjej pomocy, potrafi się od „szefa” uwolnić? I czy wtedy Zenon, pozbawiony wszelkich skrupułów, nie będzie pędzący w działaniu.

I na koniec wyrastał przed nim problem: czy on sam nie popełnia ciężkiego przestępstwa ukrywając wiadomość o „szefie”, czy tym samym też nie popełnia zdrady! – właśnie zdrady! – w stosunku do ludzi mu przychylnych?

Tak odnalazł dwie treści straszliwego słowa „zdrada”. I choć już pojmował, która jest rzetelna, wahał się przed konsekwencjami tej prawdy. O, jakżeż trudno borykać się ze słowami czy pojęciami, nieraz trudniej niż z ludźmi!

Chłopak sam mocował się ze swą zmorą. Nie poszedł z tym ani do Matusiaka, ani do sędziego Wilczyńskiej, choć o tym nawet myślał. Pouczyliby go oni o prawdach ideowych i życiowych, podali dłoń, błysnęli światłem, wskazali drogę. Lecz Jacek mordował się w pojedynkę z upiorną zagadką, zbyt trudną dla jego wieku, szarpał się między pojęciami, których istotnego, a nie spaczonoego sensu nikt mu nie odczytał. Trzy dni zmagął się ze swym bólem, by wreszcie pojąć, iż dalsza walka grozi mu szaleństwem. Jęczał w półśnie, majaczył wyrazami bez związku, aż zaniepokojona ciotka śpiącemu kładła dłoń na rozpalonym czole. Trzy noce były koszmarne. Czuł, że musi decydować w jedną lub drugą stronę, ale decydować natychmiast. W jego sytuacji rozstrzygnięcie mogło być tylko jedno.

Trzeba było przeskoczyć przepaść...

Korytarz był ciasny, mroczny; jak zwykle w starych domach czynszowych, budowanych przez zachłannych kamieniczników, ze skrupulatną, wrogą higienie oszczędnością przestrzeni kuchen czy umywalni, a przesadnie reprezentacyjną rozległością pokoi – od pokoi zależała wysokość komornego. Tylko w zniszczonym wojną mieście w takim mieszkalnym lokalu mogła urzędować Milicja Obywatelska. Ostro śmierdziało świeżym wapnem. Na pokrytej brudnobiałymi kałużami posadzce stały cebrzyki z siną zaprawą. Jacek musiał dobrze uważać, by ślizgająca się po mokrej podłodze kula nie zawadziła o coś.

Początkowo dyżurny milicjant nie chciał go wpuścić do komendanta komisariatu. Domagał się nazwiska, które chłopiec wzbraniał się podać; był ostrożny – skąd Zenon dowiedział się wtedy o Radziszewskim?

– Proszę zameldować, że mam rzeczywiście bardzo ważną sprawę. Rzeczywiście!

Tak długo nalegał, aż milicjant, zawiadomiwszy oficera o niezwykle natręcie, otrzymał polecenie wprowadzenia chłopca. Minąwszy cebrzyki ustawione na korytarzu, Jacek wszedł do ostatniego pokoju po lewej stronie: ten był już po remoncie. Stare meble biurowe odmłodziły w świeżych ścianach. Za wielkim czarnym biurkiem, nie pasującym ani do dyktą krytej jasnej szafy na akta, ani do stolika pod maszynę, ani do twardych fotelików, siedział młody oficer milicji. Twarz miał przyjemną, gładką, jakby nie tkniętą brzytwą. Oczy duże i niebieskie („niczym u Zbycha” – pomyślał Jacek) tworzyły drażniący kontrast z mundurem, wysokimi butami i potężną fajką, którą raz po raz to wyjmował, to wkładał z powrotem między wargi.

Stanąwszy przed oficerem, Jacek gruntownie zapomniał wszystko, co zamierzał powiedzieć. Gotowe zdania uleciały z głowy, zaczął się jąkać, potykać o głoski, mnożyć słowo „rzeczywiście”. Porucznik poznał kalekę od pierwszego spojrzenia: piątka z ulicy Barskiej ciągle absorbowała uwagę milicji podejrzewającej mimo sądowego orzeczenia, że banda Kozła więcej miała grzechów na sumieniu, niż udało się jej udowodnić. Odnalezienie zwłok Radziszewskiego odnowiło sprawy nie załatwione: chłopcy nie przypuszczali, jak bardzo wiele już wie o nich cierpliwa i skrupulatna milicja.

– No, śmiało! – Wyjętą z ust fajką porucznik jednocześnie ośmielał chłopca do mówienia i wskazywał mu krzesło. – Siadaj i mów. Jacek Siwicki? Prawda?

Lecz chłopiec ciągle nie mógł wykrztusić słowa. Na koniec gwałtownym ruchem wyzarpnął z wewnętrznej kieszeni kurtki sporą, wygniecioną i zniszczoną kopertę. Położył ją ostrożnie na czarnym blacie biurka i wtedy dopiero usiadł na krześle. Porucznik wyjął z koperty egzemplarz „Kuriera Wieczornego” z powycinanymi całymi słowami i pojedynczymi literami. Gdy zdumienie zabłysło w jego dużych oczach – pojął, jakie świadectwo dobrej woli ma przed sobą – Jacek zaczął mówić jękając się i klucząc:

– Panna Radziszewska straciła w zimie brata. Przed kilku miesiącami otrzymała list. Ten list wysłałem ja...

To nie był przypadek

Przypadki światem nie rządzą, lecz zdarzają się pojedynczym ludziom. Są nawet dni, gdy, jakby zamówione, gromadzą się razem, wywołują zamieszanie czasami błahe, czasami poważne. Sprawy istotne jednak nie w przypadkach mają swe właściwe źródło. Zbieg okoliczności może najwyżej opóźnić lub przyspieszyć działanie sił innych, głębszych, więc mniej widocznych, a potem mówi się: przypadek! i wzrusza wobec tego ramionami – na przypadek nie ma lekarstwa!

– Na przypadek nie ma lekarstwa! – gorąco tłumaczył sekretarz Dąbek, wezwany do Komitetu Dzielnicowego dla wyjaśnienia wydarzeń zaszłych w fabryce żarówek. – Na przypadek nie ma lekarstwa! – powtarzał słuchając formułowanych przeciw sobie zarzutów. Fatalnym przypadkiem nazywał te same wydarzenia, które Macisz uznał za wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności: chorobę Lewaka i wyjazd Kuncewicza, wezwanego na kurs obsługi nowo wprowadzonych maszyn. Wskutek tego obaj nie mogli być obecni na posiedzeniu fabrycznego Komitetu Współzawodnictwa.

Tłumaczenie Dąbka nie mogło w żadnym razie zadowolić Egzekutywy Dzielnicowej. I słusznie. Wprawdzie przypadkiem zbiegła się choroba Lowaka z wyjazdem Kuncewicza, natomiast z wyrachowanym rozmysłem Ziemba zaczepił pewnego dnia Macisza na schodach.

– Wacek! Chodź no tu! – Wepchnął go w głęboką wnękę na półpiętrze, gdzie można było rozmawiać swobodniej, i zaczął półgłosem referować ważną nowinę. – U nas teraz będzie to samo, co zaczęło się i u nich. Będą nas, rozumiesz, czyścić...

– Lewatywa!

– Nie śmiej się! Na wczorajszej egzekutywie mówili o tobie, żeś się zdeklasował. To z powodu teścia. Wyciągnęli tamtą historię ze Spokornym. Mam wrażenie – Ziemba jeszcze bardziej ściszył głos – że naszych judzą tamci z PPR. Podobno u nas też będzie takie plenum, będą wyrzucać balast...

– W każdym razie ty, Zagrożny, Śmiga, Dunajska, Kurda. O tych wspomniano. A przeciw komu jeszcze się szykuje... Bóg raczy wiedzieć.

– Przynajmniej uczciwe towarzystwo. Widać za uczciwe dla nich. Kiedy to ma być?

– Ja czekam na instrukcje z dzielnicy, ale oni mogą zacząć wcześniej sami, z własnej inicjatywy. Wtedy za tydzień, dwa... bo ja wiem zresztą... wiesz, jak to z gorliwcami...

– No, dobrze! W każdym razie dziękuję. Wezmą mnie pewnie na badanie. Na tę samokrytykę...

– Może.

– Lepiej być przygotowanym. – I Macisz już chciał odejść na swą salę, lecz Ziemba przytrzymał go za rękaw.

– Wacek, jeszcze jedno. Widzisz... – język mu się plątał – ...widzisz, dostałem teraz... zapłacili mi za jedną robotę, więc chcę ci oddać tamtą forszę. – W dłoń kolegi wcisnął paczkę banknotów. Ten patrzył zdumiony.

– Akurat teraz...

– Dostałem pieniądze...

Macisz schował zwitek banknotów, odwrócił się ostro od Ziembę i poszedł na górę. Uruchiwiając przełącznik maszyny pomyślał: „To nie przypadek, że właśnie dziś oddał pieniądze. Szczury uciekają z okrętu. Nie chce mieć żadnych zobowiązań akurat teraz. Sprytnyś, bratku, ale to cię nie uratuje. Jak polecimy – to razem!”

Jednostajny ruch samoczynnie działającej maszyny pozwala swobodnie myśleć. Więc Macisz, automatycznie kierując tokiem mechanicznej pracy, rozważnie analizował swe szansę:

z partii usunięty być nie chciał; wśród wielu względów był i ten, że jak dotąd partyjna legitymacja zięcia kryła nieco teścia w stosunkach z władzami gospodarczymi, mającymi niezbyt dobre mniemanie o jego sklepowej gospodarce. Zresztą nie po to w 1945 roku zapisał się do partii, żeby teraz dać się łatwo spławić. Rozważał możliwości ataku i obrony.

Zarzut pierwszy: teść! Nie do odparcia, jeżeli się uprą. Wprawdzie, gdy przed piętnastu laty żenił się z Pauliną, teść był tylko woźnym w hurtowni sprzętu elektrycznego. Macisz nie mógł przewidzieć, że w drugim roku wojny obrotny ojciec założy własny sklep i że interes ten po wojnie jeszcze rozszerzy. To prawda! Lecz jakby już słyszał podniesiony głos Lowaka przytaczającego szeroko wśród załogi fabrycznej znane dowody współpracy nie tylko rodzinnej, między teściem a zięciem. Macisz sam często zastępował ojca w sklepie, sam handlował „żarówkami”. „Licho wie, co i komu ten szczeniak naopowiadał!” To był stanowczo najslabszy punkt obrony. Wiedział jednak, że na tym się atak nie zatrzyma.

Pieniądze! Zarzucą Maciszowi, że hojnie szafując pożyczkami, jedną sobie zwolenników. Jasna była dlań taktyka Ziembę; sekretarz chciał przed towarzyszami stanąć ze szczerym tłumaczeniem: „Tak jest, pożyczałem, ale oddawałem, to mnie nie wiązało, obecnie nie mam grosza długu i postępuję w zgodzie z własnym sumieniem.” Jeszcze pewnie powie:

„sumieniem klasowym”. A potem na pewno głosować będzie przeciw Maciszowi. Już przekleństwo miało osądzić postępowanie przyjaciela, gdy trzeźwa myśl zahamowała je: postępek Ziembę ratował przecież również i samego Macisza, mogącego oświadczyć, iż pożyczał pieniądze czyniąc przysługę potrzebującym, lecz oni je zwracali i nic już ich wzajemnie nie łączyło. Ale z wielu dłużników jak dotąd tylko Ziembę oddał swą należność. Macisz więc postanowił:

dwie kaczki ubije za jednym strzałem – odbierze pieniądze, a równocześnie ułatwi sobie obronę.

Lecz to nie było wszystko. Najważniejszy punkt odłożą na sam koniec – utracenie współzawodnictwa międzyzakładowego. Tu żadne tłumaczenie nie pomoże. Będzie mógł wprawdzie powtórzyć argumenty użyte już wiosną, lecz od tamtego czasu dzieliło ich kilka długich miesięcy, w czasie których i u nich w fabryce, i w całym kraju pogłębił się ruch współzawodnictwa. Wtedy, na ogólnofabrycznym zebraniu, mógł jeszcze wykorzystać masę bezpartyjnych; jednak w sprawach wewnętrzzopartyjnych jest to niemożliwe. Atak z tej strony mógł być sparaliżowany jedynie wcześniejszym przeciwuderzeniem, tym bardziej, iż na podobny manewr Macisz już od dawna przygotował koncepcję i środki.

– To też nie był przypadek! – Sekretarz Komitetu Dzielnicowego przypierał Dąbka do twardego muru logiki politycznego myślenia. – To nie był przypadek, że w fabrycznym Komitecie Współzawodnictwa zasiadali właśnie tacy ludzie, jak Dunajska czy Śmiga, od was Krystek, jak ci bezpartyjni, którzy poddani wpływom stosownych ludzi zachowywaliby się inaczej, a tak łatwo poszli za oportunistami czy łajdakami... – Sekretarz Komitetu Dzielnicowego stracił spokój i atakował gwałtownie; nie poruszył zresztą wszystkiego, co wiedział; na sprawę Dąbka też przyjdzie jeszcze kolej.

Oczywiście, że to nie był przypadek. Komitet Współzawodnictwa wybrano jeszcze wtedy, gdy Lowak zgłaszał swe pierwsze wezwanie; w fabryce były ogromne opory przeciw współzawodnictwu, więc niemal odruchowo, jakby tylko z podświadomą premedytacją, wybrano do groźnego Komitegu niegroźnych przyjaciół i kolegów.

Z tego Macisz też zdawał sobie sprawę. W Komitecie Współzawodnictwa niewygodny był jego planom Lowak, Kuncewicz i Leja. Lecz w dniu, w którym Ziembę zaczął Macisza na schodach, Kuncewicz właśnie wyjechał na kilkanaście dni. A z dwoma pozostałymi można było spróbować walki.

Z dłużnikami nie wszystko poszło gładko. Z dziewięciu partyjnych kolegów, od których Macisz najpierw zażądał oddania długu tylko trzech wyraziło gotowość spłacenia go nazajutrz. Pięciu mogło to uczynić dopiero po pierwszym. Aluzje Macisza do kłopotów, jakie z powodu pożyczki mogły ich spotkać na terenie partii, przyjmowali obojętnie, może mniemając, że złapał Kozak Tatarzyna... i że w tej chwili wygodniej jest być dłużnikiem niż wierzycielem.

Ostatnim, którego zapytał o swój dług, był Śmiga, chłop o figurze potwierdzającej nazwisko. Swój swego poznał... Śmiga w lot pojął, że jemu, jako członkowi Komitetu Współzawodnictwa, mogą grozić nieprzyjemności, gdy ujawni się jego zależność finansowa od Macisza. Lecz słyszał, jak trawa rośnie... nie bawił się w korowody.

– Macisz! Ja rozumiem, wam nie chodzi teraz o pieniądze, tylko o ten dług. Macisz milczał. Strzał był celny.

– I mnie też chodzi o dług. Możemy się umówić, że ja wam pieniądze oddam przed Bożym Narodzeniem, ale w razie czego już teraz wy i ja zgodnie oświadczymy, przecież w portfelu nikt nam liczyć nie będzie, że ja wam już dług zwróciłem dwa tygodnie temu. No?

Macisz chciał postawić sprawę Spokornego na Komitecie Współzawodnictwa za pośrednictwem Dunajskiej, z którą był w doskonałych stosunkach, oraz przez Porębskiego, bezpartyjnego, starego druha. Natychmiast jednak zorientował się, że sytuacja nastęcza w tym celu i Śmigę, może nawet przede wszystkim Śmigę.

– Powiedzmy, że się zgodzę, ale gdzie gwarancja, że nie zdradzicie tej naszej przyjacielskiej umowy?...

– Interes.

– Interes się wam może zmienić. Chyba, że go wzmocnimy...

– Tylko czym?

– Ja wam coś powiem, co się wam może przydać na Komitecie Współzawodnictwa. – „Jeżeli chwyci przynętę, nawet jak nie skorzysta z informacji, to i tak go trzymam!” – myślał Macisz.

– W związku z...?

– ...ze Spokornym.

– O! – Śmiga ożywił się z przychylnym zainteresowaniem. Nie znosił Spokornego.

Macisz wtajemniczył go w sprawy Kazka. Eks-złodziejaszek przodownikiem pracy, do czegoż to podobne! Bechtał Śmigę, ten chciał być judzony i natychmiast pojął, iż winien stanąć w obronie idei współzawodnictwa, której w gruncie rzeczy był tak niechętny.

Jeszcze przez kilka dni Macisz obchodził swych kolegów. Namawiał Dunajską i Porębskiego, kształcił Śmigę. Akcja „opluskwania” zataczała kręgi, celowo jednak ograniczane; Macisz wystrzegał się zbyt szerokiego rozgłosu, zaskoczenie było warunkiem zwycięstwa.

Gospodarzem zebrania był Dąbek. Najlepiej było obradować w pokoju referenta pracy i płacy, z urzędu zasiadającego w Komitecie Współzawodnictwa, gdyż pod ręką były wykazy wykonania norm i zobowiązań. Zebrania komitetu odbywały się rzadko. Dzisiejsze jednak Dąbek zwołał dość niespodzianie. Sytuacja, jaka zaczęła się wokół niego wytwarzać wewnątrz Koła PPR, wymagała atutu chociażby aktywności.

Tym razem komitet obradował w stanie niekompletnym: brakowało Lowaka i Kuncewicza. Dąbek był z tego zadowolony, zawsze mącili mu spokojny tok obrad! Natomiast Leja, będący delegatem dyrekcji czuł się osamotniony.

Zbliżał się termin zakończenia bieżącego etapu współzawodnictwa. Dąbek otwierając zebranie wyjaśnił, że zwołał członków komitetu po to, by zapoznać się mogli z aktualną sytuacją współzawodnictwa w fabryce, gdyż na następnym zebraniu, za dwa tygodnie, będą już zatwierdzali wyniki, a dobrze jest przed podsumowaniem ostatecznym rezultatów podzielić się uwagami mogącymi wpłynąć na bieg prac oceniającego zespołu.

Lecz skoro Dąbek, jako referent pracy i płacy, zagajając nie zgłosił żadnych uwag ani obiekcji, zapanowała kłopotliwa cisza. Śmiga z zacięciem oglądał sufit zastanawiając się nad najdogodniejszym momentem postawienia sprawy Spokornego. Dunajską tarła swe czerwone ręce lub poprawiała włosy upięte pod chustką. Grubas Porębski, magazynier, reprezentujący Radę Zakładową, z ogromną ciekawością gapił się przez okno na ulicę, gdzie dwa auta ciężarowe i tramwaj nie mogły rozwiązać problemu wyminięcia się. Reszta – milczała.

Po chwili zaczął bezpartyjny Kral z sali zwyczajnych żarówek.

– Ludzie skarżą się na zbyt częstą zmianę siły żarówek. Przystawienie się zatrzymuje produkcję; ludzie tracą czas, stąd gorsze rezultaty współzawodnictwa... – Kral poruszył rzecz drobną, w tej gałęzi produkcji zupełnie obojętną, byle tylko coś powiedzieć.

– Nie możemy przecież produkować jedynie czterdziesto- czy sześćdziesięciowatówek – replikował Leja.

– Ale zmiany mogą być mniej częste. Moglibyśmy pracować większymi partiami jednokowych żarówek...

Zaczęła się kręta dyskusja. Leniwie dorzucali takie lub inne uwagi, lecz wszystkie mało istotne. Wysuwali je dlatego, że żaden swych komitetowych obowiązków nie traktował serio. Sprawy współzawodnictwa zaczynały się dla nich w chwili rozpoczęcia rzadko zwoływanych zebrań i wyczerpywały się równo z ich końcem. Dyskutowano z przerwami, opornie. Każdy rad by już być w drodze do domu. Wtem zabrał głos milczący dotąd Śmiga.

– Chciałem zwrócić uwagę Komitetu, że w naszej fabryce zdarzyła się bardzo dziwna historia. Sprawa ta godzi w istotę współzawodnictwa, zagraża samej jego idei. – Wszyscy poruszyli się niespokojnie. Ton, słowa, pierwsze zdanie zupełnie niezwykle. Śmiga walił dalej. – Jak to się stało, że w naszym zakładzie dopuściliśmy, by pierwszym przodownikiem pracy został... – zrobił efektowną pauzę – młody człowiek o bardzo wątpliwej wartości moralnej. (Leja pomyślał: „Kto go nauczył tych wzniosłych słów?”). Jest to wina dyrekcji, wina Rady Zakładowej, naszych organizacji partyjnych, że nie wykazały dostatecznego stopnia czujności, boć przecież życiorys i odpowiednie papiery tego osobnika leżą w aktach personalnych dyrekcji. Już wiecie, o kim mówię? – Znów pauza. Śmiga głęboko zaczerpnął powietrza. – Kazimierz Spokorny był wyrokiem sądowym skazany na dom poprawczy za kradzieże i napady. Otrzymał wyrok z zawieszeniem. Nic nie mam przeciwko temu, by ten młody wykolejeniec pracował u nas. Dać mu przecież należy możliwości odrobienia win, lecz nie godzi się stawiać go nam, starszym robotnikom, za przykład...

Śmiga ciągnął mowę jeszcze kilka minut. Rozgrzała ona obecnych. Cierpkie uwagi dorzucili Porębski, potem Dunajski. Dogadywali bezpartyjni. Długo hamowana nienawiść do tego młodego chłopca, który okazał się lepszym robotnikiem od nich, starych pracowników, który ośmielił się dać im nauczkę, który był jednym z prekursorów tego, co jako „nowe” wtargnęło do ich fabryki – nienawiść ta ujawniła się z całą ukrywaną dotychczas pasją.

Gdy w wiele dni potem Dąbek streszczał naradę sekretarzowi Komitetu Dzielnicowego, ten kiwał głową ze zrozumieniem. Wszystko było zupełnie jasne, logiczne i konsekwentne. Wylała się brudnym ściekiem nie obrażona moralność idealistów, tylko złość zagrożonych reakcjonistów.

Leja próbował obrony. Słaba to była obrona! Nie był przygotowany na taki atak. Znalazszy się sam w obliczu wrogiemu mu Komitetu nie umiał znaleźć tej prostej i logicznej odpowiedzi, na którą swego czasu zdobył się zetempowiec Stebelski, że „do wymierzania sprawiedliwości powołane są nie osoby prywatne, ale sądy państwowe, i jeżeli one uznały za właściwe udzielenie Spokornemu szans rehabilitacyjnych, należy je w tym wspierać, a nie bruzdzić”. Leja, uważając siebie za winnego w całej tej historii, nie umiał dać sobie z tym rady. Nie umiał bronić ani siebie, ani Spokornego przed furią Dunajskiej, która donośnie manifestowała grozę doznanej obrazy: ją i jej towarzyszkę uczył złodziej! No, proszę!

Dąbek pozwolił sobie jedynie zauważyć, że „w ostatnim czasie Spokorny trzykrotnie nie stawiał się do pracy, a jego (usprawiedliwienia nie nosiły cech wiarygodności”. Tą informacją dolał oliwy do ognia. Gdy już ładunki nienawiści przestały eksplodować. Śmiga zaproponował podać do wiadomości całej załogi fabrycznej oświadczenie tej treści:

„Wobec ustalenia, iż Kazimierz Spokorny popełnił czyny godzące w dobre imię przodownika pracy, fabryczny Komitet Współzawodnictwa decyduje niniejszym, że Kazimierz Spokorny zostaje skreślony z listy biorących udział we współzawodnictwie.”

Byli niezwykle gorliwi i działali prędko. Już nazajutrz, przed siódmą rano na tablicy współzawodnictwa wisiała duża kartka z wypisanym na maszynie oświadczeniem. Każdy wchodząc zatrzymywał się przed tablicą i czytał sakramentalne zdanie: „Wobec ustalenia, iż Kazimierz Spokorny popełnił czyny godzące w dobre imię...”

– Dlaczego ogłosiliście to tak zaraz? Bez porozumienia z dyrekcją, z egzekutywą partii jednej i drugiej. W innych poczynaniach nie okazywaliście przecież tak żwawej inicjatywy. Należało o zdanie zapytać zarząd Koła ZMP, przecież Spokorny był zaangażowany w ich młodzieżowym międzyzakładowym wyścigu pracy. W ten sposób działaliście na ich szkodę. A najważniejsze: powzięliście decyzję bez przesłuchania chłopca. Łatwo skrzywdzić człowieka, no i skrzywdziliście więcej niż strasznie. Dlaczego tak prędko nastąpiło opublikowanie? – Sekretarz dzielnicy natarczywie domagał się wyjaśnień. Dąbek siedział jak na szpilkach, słuchając tych pytań. Tamto wszystko mógł wytłumaczyć siłami działającymi poza nim, w tym jednak sekretarz Koła Partyjnego, w obecności którego zapada taka decyzja, winien okazać więcej i wyrobienia politycznego, i... – sekretarz podpowiadał mu to słowo – ...i ludzkiego serca.

– Tak jakoś, towarzyszu sekretarzu, wyszło samo...

– Znów przypadek?

– No, to tak dosłownie biorąc, nie był przypadek... – Dąbek zaciął się nie mogąc znaleźć słów. Bo jak opowiedzieć o tym, że on też uległ, i to łatwo, temu strumieniowi niechęci skierowanej przeciw młodemu chłopcu. Milczał więc. Samokrytyka jak sflegmiona ślina, nie chciała przejść przez gardło.

Sekretarz jednak był Nielitościwy.

Obwieszczenie przeczytali wszyscy. Nikt go naprawdę nie zrozumiał. Stebelski i zarząd Koła ZMP wiedzieli o przeszłości Kazka, nie przypuszczali jednak, iż za tamto został potępiony; widać zbroił coś nowego. Gadaniem końca nie było. Wokół tablicy kłębili się ludzie.

Biła godzina rozpoczęcia pracy, gdy – punktualny! – w drzwiach stanął Spokorny. Uśmiechnięty i rześki. Dostrzegł na tablicy świeży papier ogłoszenia. Nie zwrócił uwagi na to, że z jego pojawieniem się wszyscy umilkli, że jakoś zbyt łatwo rozsunęli się dając mu dostęp.

Przeczytał. Raz i drugi.

Na moment ten czekał Kowara. Czekał pół roku, od tamtego dnia, gdy Kazek ugodził weń celnym żartem. Macisz wiedział, kogo napuścić. Stojący nieruchomo przed tablicą Kazek usłyszał głos Kowary:

– Nie trzeba było papą handlować. – Pełnią ironii zabrzmiało ostatnie słowo. Wtedy chłopiec zrozumiał.

Skoczył w drzwi. Trzasnął nimi, aż pękła szyba. Przez bramę fabryczną wybiegł tak szybko, że zdumiony portier nie zdążył zapytać o prawo wyjścia... I tyle go widzieli.

Znalazł się w kotle placu Zbawiciela. Nadjeżdżały autobusy i tramwaje, musiał stanąć. Moment koniecznej uwagi otrzeźwił go trochę. Potem ruszył już spokojniejszym krokiem, wolnym, z nagła ocieślałym. Był zrozpaczony.

Obcy w domu, od śmierci matki nie umiał znaleźć z ojcem wspólnego, zrozumiałego języka. Zdawał sobie sprawę, iż ani od ojca, ani od macochy krzywdy najmniejszej nie doznaje.

Druga żona Spokornego była kobietą spokojną i dobrą, lecz nie potrafiła chłopca do siebie przywiązać. Może dlatego, że z każdym miesiącem pogłębiała się przepaść między ojcem a synem. Ojciec, człowiek nader przeciętny, potępiał dawne wybryki syna, daleki był od wychowywania go w jakiegokolwiek negacji państwa ludowego, lecz sam, nie pozyskany dla nowych czasów, niechętny był, gdy syn mimo wszelkie trudności potrafił właśnie z nimi zgrywać i zestrajać swe młode życie. Kazka dzieliła od ojca energia życiowa, temperament, inteligencja, których chłopiec miał wiele, a ojciec mało. Nie rozumieli się ci dwaj. I teraz wydawało się Kazkowi, że ojciec go zdradził, gdyż nie mógł być tą naturalną podporą, której potrzebował teraz młody.

Zdradził go Zenon, którego nicość i zbrodnicość Kazek dopiero niedawno uświadomił sobie w pełni. Wreszcie zdradzili go ci, do których przylgnął całym sercem: zdradziła go fabryka. Odrącała od siebie. Potępiła za dawne grzechy.

Nie znalazł w walce ze swą przeszłością pomocy ani w domu, ani w fabryce. Czyż ma tej przeszłości ulec? Tak strasznie nią napiętnowany! Urok łązienkowskich drzew nie przyniósł mu spokoju.

Nieczuły na piękno ogrodu, nie mogąc skupić myśli tonął w bóleści człowieka, któremu bliźni nie dają być uczciwym, z którego chcą uczynić wiecznego złodzieja.

Lecz oto wraz z bólem i uczuciem hańby budziła się w nim i potężniała inna pasja. Przekora – wzmocniona właściwościami wieku i okoliczności. Odrącony przez fabrykę, musiał wytworzyć w sobie jakąś naturalną odtrutkę, która by zabiła działanie zarazka krzywdy, jaki dostał się teraz do organizmu. Inaczej doprowadzić by on mógł do zamachu na własne życie. Toksyna działała i organizm chłopca wytwarzać zaczął antytoksynę. Instykt samozachowawczy podsuwał lekarstwo, straszne lekarstwo, lecz jakże często truciznę neutralizować można też jedynie trucizną. Niebezpiecznie jest tylko zażywać ją bez pomocy doktora.

W chłopcu narastała przekora. Przeciw załodze fabrycznej, przeciw rodzinie, przeciw – tak jest – nawet przeciw samemu sobie...

Zaczęty sensacją dzień fabryczny cechowały zdenerwowanie i zdumienie. Krążyły plotki i baśnie. Ucieczka Kazka była rozmaicie komentowana. Przyjaciele jego milczeli. Wrogowie uznali ją za potwierdzenie win. Większość przypuszczała, że Spokorny teraz popełnił jakieś poważne nowe przestępstwo.

Mijały godziny i Kazek nie wracał do fabryki.

Na przerwie pierwsze wiadomości przebiły krąg plotek. Zwolennicy Macisza obnosili swe uznanie dla Komitetu Współzawodnictwa i oburzali się, iż tak długo byli narażeni na szwank moralny. Inni, dowiedziawszy się, że potępienie objęło przestępstwo już osądzone, skrytykowali niesprawiedliwość werdyktu. Dyrektor Wysocki naradzał się z Leją, Dąbkim, Ziembą i Kasztem, przewodniczącym Rady Zakładowej, nad wydarzeniem, które naruszyło normalny tok fabrycznej pracy. Koło ZMP wrzało oburzeniem. Gdy do godziny czwartej Spokorny nie wrócił do fabryki – Stebelski wysłał Walę Biecz do Lowaka. Po ratunek.

Kaszląc i siapiąc nosem Lowak zwłóknął się nazajutrz z łóżka i przyszedł do fabryki. Spokorny nie zjawił się również i tego dnia.

Lowak rozwinął całą energię i wyrobienie starego partyjnika. Doprowadził do zawieszenia przez dyrekcję i Radę Zakładową działalności Komitetu. Zerwał fatalne ogłoszenie. Postawił na nogi obie egzekutywy partyjne – PPS i PPR.

Dotarł do Komitetów Dzielnicowych. Nad Ziembą i Dąbkim zgromadziły się gradowe chmury.

Na wszystko jednak potrzeba było czasu. Dni biegły za dniami. Sprawa zatoczyła szeroki krąg, a Kazek ciągle nie wracał do fabryki.

Delegaci Koła ZMP co dzień odwiedzali mieszkanie Spokornych. Ojciec był zrozpaczony, macocha przejęta. Już piąty dzień Kazek nie pojawiał się w domu.

Lowak, pełen obaw, o fakcie zniknięcia chłopca zawiadomił Milicję Obywatelską. Jednak ani w Komisariacie Rzecznym, ani w jakimkolwiek innym nie znaleziono żadnych meldunków.

Szóstego dnia nieobecności Spokornego członek ZMP, Wacek Markowski, osiągnął najwyższy dzienny rekord w montowaniu żarówek. Bowiem współzawodnictwo pracy rozwijało się bez przerwy.

Dintojra

Wystrzał był zupełnie wyraźny. Zaraz po nim usłyszeli drugi. Strzelano z rewolweru.

– To oni! – krzyknął Jacek, skokami na kuli wyprzedzając porucznika. Reszta milicjantów została kilka kroków w tyle. Strzały rozległy się od strony ruin, ku którym biegli. „Czyżby walili do nas?” – pomyślał oficer, lecz nie słyszeli żadnych gwizdów.

Jacka ogarnęły inne obawy. Nagle uprzytomnił sobie, że informacja Zbycha mogła nie być omyłką. Może rzeczywiście Zenon wezwał Moczarskiego na dziewiętnastą, a skoro jemu polecił stawić się o osiemnastej, to Marek już od godziny może znajdować się z „szefem” w tamtej piwnicy. Strzały mogły oznaczać tragedię. Czyżby za późno?

Gdy dopadli domu numer osiem, znów usłyszeli huk wystrzału. Za wypalonym tunelem bramy rozpościerało się długie podwórze, na końcu którego jakiś człowiek, uciekający przed nimi, znikł raptem, jakby zeskoczył do sutereny.

– Ratunku! – zawył ktoś donośnie. Biegli przez podwórze. Dotarli do piwnicznych schodków; wtedy koło nich zaterkotały kule. Uskoczyli w bok, chroniąc się za ścianką muru.

Jacek przejęty był tylko jedną myślą: „Po co Marek zgodził się iść? Po co?”

Pięć godzin przedtem w redakcji „Kuriera Wieczornego” zjawił się Lutek. Jacek ujrawszy go zdumiał się, lecz nie zdenerwował.

– W domu już nie sypiasz?

– Zauważyłeś?

– Szukałem ciebie. Rzeczywiście.

– Wołałem być ostrożny. Wiesz Jacek, śmierdzi, jak mówią Francuzi.

– Nie czuję.

– Poczujesz jeszcze. Musimy wszyscy uważać. Przyszedłem właśnie w związku z tym. „Szef rozkazuje, byś dzisiaj był na Ortuńskiej, na Czemiakowie.

– Znam.

– Pod ósmym. Tam jest ruina. Chłopcu w bramie powiesz hasło: „Sokół”, on cię już zaprowadzi do piwnicy.

– A po co?

– Zenon chce się z tobą zobaczyć. Jacek nie płoszył Lutka.

– Będę.

– Aby na pewno?

– Przecież stale przychodzę. Czemu nie wierzysz? Rzeczywiście. Jak mówię, to będę.

O trzeciej Jacek poprosił sekretarza redakcji, by zwolnił go z ostatniej godziny dzisiejszego dyżuru. Chciał złapać Marka jeszcze na budowie. Wiedział, że Marek pracuje na Mariensztacie. Przez ruiny Bednarskiej dostał się na teren budowy. Równocześnie stawiano tu kilkadziesiąt domów. Niełatwo było wypatrzeć kogoś w tym wielkim tłumie murarzy i pomocników. Pierwszego spotkanego spytał o kolegę.

– Kozioł? Ten młody pomocnik, co z Complakiem?...

– Tak. Rzeczywiście.

Wskazał na niewysoki mur, przy którym uwijali się robotnicy. Nad nimi rozciągnięty był transparent: „Ten dom zbudujemy w 19 dni dla uczczenia Zjednoczenia

Partii.” Dostrzegł Marka rozprawiającego zaprawę przed murarzem ustawiającym cegły. Koziół ujrzawszy Jacka krzyknął mu, by chwilę zaczekał, zaraz kończą; nie mógł w ciągu dnia drugi raz odchodzić od pracy prowadzonej przecież w tempie specjalnie przyspieszonym. A pierwszy raz odwołał go koło południa Kazek Spokorny.

Marek oczom nie wierzył zobaczywszy go na dole kiwającego ręką. Kazek miał twarz zbolalą i brudną, ubranie wygniecione. Koziół widział go ostatni raz dzień przed zniknięciem, a to już półtora tygodnia. Przypuszczał najgorsze, więc ujrzawszy Kazka ucieszył się, choć zdumiał go wygląd przyjaciela. Na moment porzucił pracę – rozmowa z Kazkiem była niezmierną pokusą – i zbiegłszy pośpiesznie z rusztowania, wystrzelił ku przyjacielowi gwałtownym pytaniem:

– Co się dzieje, Kazek?! Gdzie...

– Różnie. Jakoś leci...

– W domu byłeś?

– Nie wrócę tam. Ani do fabryki też nie... – uprzedzał następne pytania, niechętny w odpowiedziach.

– Co robisz?

– Teraz nic, ale będę... Zresztą później wszystko opowiem, nie tutaj... – Kazek skąpo informował o sobie. Zamknął się jak ślimak. Trudno by mu zresztą przyszło udowodnić Markowi słuszność swego postępków. Sam o niej nie był przekonany, lecz zaciął się. Z zamkniętymi oczami, rozgoryczony i zły, rzucił się z powrotem w odmet zbrodniczej awantury. Tylko teraz inaczej niż wprzód, bogatszy o przeświadczenie o jej nieczym charakterze. Nie dostrzegał dla siebie innej drogi, drzwi uczciwego życia zostały przed nim tak głośno zatrzaśnięte.

Tamtego dnia, po awanturze w fabryce, z całą premedytacją udał się do Lutka. Traf chciał, że zastał kolegę, choć Lutek w ciągu dnia jedynie na krótko pojawiał się u matki, noce spędzając u znajomych. Konsternacja wywołana wizytą Spokornego wzrosła jeszcze, gdy ten oświadczył, że zerwał z domem i fabryką, że szuka dla siebie stosownej kryjówki oraz że pragnie spotkać się z Zenonem. Lutek wiedział, że „szef” był wściekły na Kazka i poprzyściął mu – w co Kozłowski już nie był wtajemniczony – zemstę; przecież Kazek nie powtórzył na Kruczej Lutkowego sygnału. Skontaktowany z „szefem” – spotkali się na odległej żoliborskiej uliczce – Kazek tłumaczył się podając tylko połowę prawdy. Przyznał, iż niechętny był konspiracji, pełne zadowolenie znajdując w pracy fabrycznej, lecz tam go „oszukano”. Roztoczył przed Zenonem obraz swego nieszczęścia: – Odtrącają mnie, jestem im parszywy, nie chcę mieć z nimi już nic do czynienia. – Zadeklarował „szefowi” swą wolę współpracy, przypomniał wspólne przeżycia powstańcze. Zataił jednak prawdę wydarzenia z ulicy Kruczej: – Nie powtórzyłem sygnału Lutka, gdyż wcześniej dostrzegłem alarm podniesiony przez Jacka, a że wyście, „szefie”, nic nie wspominali o powtórzeniu sygnałów alarmowych, po prostu zgłupiałem w tej dziwnej sytuacji, zastanawiałem się, co czynić, a tymczasem auto z wami odjechało, Lutek odbiegł... – Zenon nie wierzył tłumaczeniu, lecz gdy ziemia usuwała się spod nóg – w mieszkaniu Chłudzińskiego byli już funkcjonariusze UB, wyprowadził się jednak roztropnie natychmiast po nieudanej akcji na Kruczej – wartość miał każdy odzyskany podwładny. Zenon musiał przed wyjazdem załatwić jeszcze szereg spraw, potrzebował więc kilku posłusznych wykonawców i posłańców. A potem... pal diabli całego Kazka! Dał chłopcu melinę u jednego ze swych kompanów, znanego Spokornemu z lasku pod Aninem i awantury na Kruczej. Bolek zajmował ponurą komórkę w na pół zrujnowanej kamienicy. Nie było tam światła ani wody bieżącej, stało jedno brudne wyrko. Bolek z oficjalnego miejsca zamieszkania niemal nie korzystał. Tam ulokowano Kazka. Wzruszenia dni ostatnich wtrąciły chłopca w stan ostrej depresji psychicznej. Na mieście pokazywał się jedynie z poleceniami Zenona, roznosząc listy „szefa”, umawiając mu ludzi. Przez resztę czasu leżał na pryczy w ciemnej klitce. Nie rozbierał się nawet nocami, gdyż w suterenie było chłodno i wilgotno. Dni

mijały sennie, myliły się z nocami. Myśli okiełznał już dawno, przyczaiły się jakby i Kazek bał się je obudzić do pracy, by rozsądnie zastanowić się nad swym losem, gdyż wnioski niechybnie potępiłyby to wszystko, co uczynił w pierwszym akcie rozpaczy. Nieszczęście chłopca było ogromne. Chyba nawet Lowak, najcięższe oskarżenia formułując pod adresem członków byłego Komitetu Współzawodnictwa, nie domyślał się, że aż tak bardzo skrzywdzili młodego człowieka.

Dziś rano Kazek otrzymał od Bolka polecenie odszukania Marka i przekazania mu rozkazu „szefa”. Jakże niechętnie wykonał rozkaz. Właśnie Marka nie chciał widzieć.

– Nie tutaj, nie teraz, powiem ci wszystko, jak się zobaczymy.

– Kiedy?

– Zenon... „szef” – nie wiedział, czy Marka tytuł ten jeszcze obowiązuje – kazał, byś był dzisiaj o piątej na Ortuńskiej, pod ósmym, będę czekał na ciebie w bramie...

– A cóż on ma jeszcze do mnie?

– Przysięgałeś... – głos Kazka był nieszczerzy i niepewny.

– Nie kpij, sam wiesz, głupi byliśmy...

– Po co to gadasz? – Kazek bał się sprowokować nową lawinę własnych myśli. Nie sprostałby jej. Przez kilka ostatnich dni miał już w sobie spokój przysłowiowego strusia, który włożył głowę w piasek.

– Ale dlaczego ty przekazujesz rozkaz Zenona i właściwie... – coś Marka raptem tknęło – dlaczego właśnie ty? To Lutek był zawsze skorym posłańcem. Odnowiły się stare przyjaźnie, nie rdzewieją... – zakpił Koziół gniewnym szyderstwem.

– „Szef prosił... kazał...”

– Kazał! To ty ciągle z nim?

– Marek! – Miał dość tej rozmowy, tym dla niego straszliwszej, że ochlapany wapnem kombinezon przyjaciela i otoczenie świadczyły o wytężonej pracy, w jakiej tkwił Koziół, i Kazek poczuł, jak mu jej gorąco zazdrości. Byłbyż to żal za własnym porzuconym szczęściem? Chłopiec sam nie wiedział. – Marek, przyjdź. Przyjdź koniecznie. Wszystko ci wtedy wyjaśnię, zrozumiesz, może mi poradzisz... – błagał druha żarliwym tonem, chcąc wydrzeć tylko jedno słowo zgody, które by mu pozwoliło odejść.

– Już raz przed Kruczą powiedziałem Lutkowi, że przyjdę, i nie przyszedłem. Zenon chce, by to się powtórzyło? Po co czekasz na moją odpowiedź?

– Marku, słuchaj go, bo to się może źle skończyć...

– Teraz już – zaakcentował to słowo i wskazał ręką dokoła – teraz już groźby Zenona mam gdzieś. Możesz mu to powtórzyć. Tam na Kruczej to on był, a nie ja, więc groźby... – że Marek raptem zmienił ton wypowiedzi. – Nie. Powiedz mu, przyjdę tym razem na pewno, czekajcie tam na mnie. Ja będę, będę... – I prędko, jakby lękając się o stałość decyzji, odbiegł na rusztowanie zostawiając Kazka własnemu zdziwieniu.

Ujrzawszy przed czwartą Jacka Koziół był pewny, że to również w sprawie Zenona. Z dźwiękiem gongu ogłaszającego koniec pracy był na dole. Jacek zapytał bez wstępów:

– Był u ciebie Lutek?

– Nie, Kazek.

– Kazek? Jest...

– Jest i z powrotem p o k u m a ł się z Zenonem...

– Co? Rzeczywiście. Cholera!

– A to u ciebie był Lutek? Też z wezwaniem?

– Tak, na dziś. Pójdiesz?

Marek odpowiedział dopiero po chwili milczenia:

– Pójdę!

– Po co? Zabije cię. Rzeczywiście.

– A ty? – zapytał Marek wymijająco.

– A broń Boże. Rzeczywiście. Mądrześ uczynił wtedy na Kruczej, teraz nie chcę być głupszy od ciebie. Po co leżć w paszczę tego psa.

– Tam będzie i Kazek. – Jakby ta informacja dawała gwarancję bezpieczeństwa, a więc usprawiedliwiała decyzję

– Będzie, nie będzie. Wszystko jedno. Rzeczywiście. Ale po co leżć?

– Trzeba raz z tym zerwać.

– No, właśnie, odmawiając posłuszeństwa.

– Nie. To mało. Wierz mi, trzeba iść i w oczy wszystko wygarnąć. On teraz i Kazka zmarnuje, jak zmarnował Lutka...

Tego Jacek już nie pojmował. Nie wiedział, że od tamtego przedstawienia *Odwetów* Marek wyrzucał sobie, że tylekroć widząc Zenona osobiście nie zdobył się na rzucenie mu w oczy wszystkich zbrodni, na jawne wypowiedzenie posłuszeństwa. Czuł, że własną wymową potrafi przygwoździć Zenona, sparaliżować jego siłę fatalną, a może nawet – młodzi chłopcy są szlachetnymi marzycielami – nawrócić go ze złej drogi. Julek potrafił stanąć przed swym „ojcem” pułkownikiem Okuliczem, dlaczego Marek tchórzył przed „szefem” Zenonem? Tchórzył dawniej, ulegając uwodzicielskiej wymowie, stchórzył ostatnio, nie korzystając z okazji zbiórki na ulicy Wspólnej. Układał sobie – jakże poniewczasie – nawet treść przemowy, jaką winien wtedy, przed napadem, wygłosić do „szefa”. Wiele już razy solennie sobie obiecywał, że przy pierwszej sposobności z taką siłą wygarnie prawdę Zenonowi, że tamten zadrży. Lecz gdy usłyszał Kazka, znowu pierwszym odruchem była odmowa, chciał umknąć „szefowi”. Dopiero po kilku minutach przemógł lęk, przemógł w dwójnasób, brutalnie, wobec samego siebie, gdyż nie chciał być tchórzem. Pójdzie i powie tamtemu wszystko. Lecz trudno to było wyjaśnić Jackowi. Takie motywy kryją się w każdym głęboko, zresztą Siwicki i tak by tej brawury nie zrozumiał ani nie pochwalił.

Jacek był zły na szaleńczy upór przyjaciela. Żadne jego argumenty nie pomogły. Wola Marka była niewzruszona. W ferworze sporu na myśl nie przyszło im uzgodnić godzin wezwania. Przy pożegnaniu Jacek oświadczył, że on się nie stawia.

Lecz w drodze powrotnej ta decyzja przybrała odmienny kształt. Nie wystarczyła. Należało bowiem ratować Marka – choć szalenie, nie wolno było zostawić go na pastwę, a Jacka nurtowała myśl złowieszczą, że nie dla igraszki Zenon zwoływał ich na wieczór.

Na Barskiej Jacek zastał Zbycha.

– U ciebie też byli?

– Był Lutek. – Zbych miał pełne oczy łez. – Przyjść mi kazał na Ortuńską na siódmą wieczór...

– Na szóstą.

– Kazał na siódmą.

– Pomyliłeś się... Markowi też kazał przyjść.

– Pójdziesz?

– A ty?

– Ja, jak i wy...

– My rozmaicie. Rzeczywiście. Marek idzie, a ja nie.

Zresztą... Marek kazał ci powiedzieć, żebyś nie przychodził. Rzeczywiście. Ja też nie idę.

– Marek tak kazał?

– Aha! – Jacek kłamał. Myślał – „Po co niepotrzebnie narażać Zbycha? Wystarczy jeden.”

– To ja nie pójdę – ucieszył się mały. Odprawiwszy Zbycha Jacek pognął do komisariatu. To był jedyny możliwy ratunek. Obowiązywały zresztą konsekwencje poprzednich decyzji, a to mogła być ostatnia szansa spotkania Zenona. Za dwadzieścia szósta auto z uzbrojonymi milicjantami i porucznikiem wyjechało na Czerniaków. Jacek był z nimi. Samochód zostawili za najbliższym rogiem Ortuńskiej.

Dalej szli pieszo. Wtedy usłyszeli strzały.

Nie. Zbych nie pomylił się. Zenon rzeczywiście kazał mu stawić się dopiero o siódmej. Markowi zaś o piątej. Godzinę na jednego – zupełnie wystarczy.

„SzeF” likwidował swe sprawy. Pojawienie się w jego mieszkaniu władz bezpieczeństwa było ostrym sygnałem alarmowym. Trzeba było mimo kłopotów pieniężnych – wszystko zbiegało się fatalnie – uciekać i to możliwie daleko. Przedtem jednak chciał porachować się z chłopcami z ulicy Barskiej. Rozmówiony w efektownych gestach, zamierzał zemstę swą wykonać z pełnym splendorem. By było o czym opowiadać. Wykolejeniec zatracił w tej chwili, jak to często się zdarza, nie tylko poczucie rzeczywistości, ale również własnego bezpieczeństwa. Jeden z kamratów odmówił udziału w tej historii, uważając ją za lekkomyślne narażanie się w ostatnich chwilach. Po co ta komedia? To samo można zrobić inaczej, ciszej. – Jak Pan Bóg chce kogo pokarać, to mu rozum odbiera... – lapidarnie ocenił pomysł Zenona, który jednak planów swych nie poniechał, z całą premedytacją właśnie Kazka skierował po Marka.

Kilka minut po piątej Kozioł idący prosto z roboty, w usmarowanym ubraniu, z twarzą umazaną ceglany pyłem pomieszany z kroplami wapna, wszedł w ósmą bramę ulicy Ortuńskiej.

– Chodź! – Kazek pociągnął go przez podwórze. Markowi przypomniała się ostatnia droga Zygmunta. I z lekka zadrżał. Dreszcz przyjaciela wyczul Spokorny.

– Trzymaj się... – szepnął. I zamilkł. Też przypomniał mu się Zygmunt Radziszewski.

Weszli do piwnicy. Otwór wykuszony u góry w bocznej ścianie dawał wystarczająco wiele światła, by Marek od razu mógł dostrzec Zenona, Lutka i tego trzeciego – Bolka.

Zenon przywitał go pogardliwie:

– A, przyszła koza do woza...

Nie odpowiedział. Uczuł strach i całą mocą woli musiał powstrzymać chęć natychmiastowej, gwałtownej ucieczki. „SzeF z miejsca zaczął indagację.

– Dlaczego nie byłeś na zbiórce na Wspólnej?

– Bo nie chciałem.

– W służbie nie ma: chcę czy nie chcę.

– Zależy w jakiej służbie.

– W tej, której przysięgałeś.

– Przysięga głupiego dana zbrodniarzom...

– Uważaj na zakrętach...

– A wyście uważali mamiąc nas i oszukując?! – Z Marka bluznęła struga ogromnego żalu, zaczął krzyczeć nie licząc się już z niczym. – Te piękne słowa o ojczyźnie, o narodzie, o Polsce, co to było? Łgarstwo. Kazałeś nam zbierać pieniądze na jakiś „skarb narodowy”, a kradliśmy, oszukiwaliśmy, napadaliśmy. Forsa z rabunków szła na rozboje – ot, i cały skarb narodowy. Za ten „skarb” wyście chodzili na dziewczyny, pięknie się ubierali...

– Milcz!

– Za długo milczałem. Wychowaliście nas na zbrodniarzy, jakimi sami jesteście. Kazaliście kraść nam papę przeznaczoną na pokrycie domów, w których ludzie mieli mieszkać. Wy doprowadziliście do zabicia niewinnego chłopca. Przez was grozi nam więzienie. Wy odciągaliście nas od pracy. Wy kazaliście mi pisać „nie” na murach. A wasza siła „nie” żadnej cegły nie ustawi w Warszawie. – Przypomniał sobie cytat ze sztuki. Marek już nie panował nad słowami układającymi mu się zresztą pod zapamiętane dyktando słów Wojciechowskiego. Niepowstrzymana lawina zarzutów toczyła się z niego. Zenon dwakroć próbował przerwać, lecz bezskutecznie. Więc ironiczny uśmiech zastygł mu na twarzy: niech się wygada, w tej chwili mu to nic nie pomoże. Wreszcie Marek zadyszał się i umilkł.

– Już wszystko, bolszewicki bękarcie?

– Nie, jeszcze nie... – w chłopcu rosła nowa pasja.

– Nie, to wygadaj się, gówniarzu, do końca. Posłuchamy szczekania...

– Kto szczeka, ten i gryzie. – Grozisz?

– Zbrodnie wasze grożą. I tak was prędzej czy później zamkną, bo już wszystkich takich drani łapią. Szczujecie ludzi na siebie, marzycie o wojnie, bo wtedy łatwiej kraść i mordować. Nam wojna nie jest potrzebna...

– Komunistom...

– Tak, komunistom, bo oni budują ludziom mieszkania, a wy je chcecie zburzyć. Komuniści ze Zbycha zrobili artystę, a ze mnie też uczynili człowieka. Wy robiliście z nas tylko zbrodniarzy. Tak, komuniści, jestem z komunistami...

Słuchać miło...

Wyście doprowadzili Kazka do nowego szaleństwa. jak on przez was wygląda! Zbity pies. A był już szczęśliwy. Za wasze zbrodnie go tak napiętnowano, a teraz wy go wciągacie w nowe. A właśnie komuniści z jego fabryki bronią go przed takimi jak wy, którzy go zepchnęli w matnię...

Stebelski i koledzy z ZMP szukając Kazka trafili do Marka, opowiedzieli mu o zajściu w fabryce, o tym, jak partia ujęła się za Spokornym, zlikwidowała Komitet Współzawodnictwa, jak Lowak chce go znowu widzieć w fabryce. Rano nie zdążył Kazkowi tego opowiedzieć. Teraz gorączkowo wykrzyczał to wszystko, czego dowiedział się od Stebelskiego. Powiedział, napiętnowanie Spokornego było wyrazem walki z partią, posunięciem reakcji.

Usłyszawszy, co mówi Marek, Kazek ujrzał raptem swoją sprawę z innej strony. Może nie należało uciekać z fabryki, lecz stawić czoło wrogom. Ucieczką utrudnił, a powtórny przystaniem do bandy Zenona przekreślił sobie wszelki powrót. Słuchał wyrzutów Marka, widział ironiczny uśmiech Zenona i zagubił się we własnym nieszczęściu.

– Nie myślę służyć zbrodniarzom. Wypowiadam wam posłuszeństwo. Rozumiecie! – krzychał chłopiec i uczynił ruch cofnięcia się ku wyjściu.

– Stój! – Rewolwer Zenona znalazł się na wysokości brzucha Marka. Chłopiec zatrzymał się.

Teraz Zenon, ciągle szachując rewolwerem, zaczął wyliczać Kozłowi jego przewiny: lekceważenie pracy w „organizacji”, wykrętną przysięgę złożoną w lasku koło Anina, niewykonanie zadania na Miodowej, nieposłuszeństwo, wreszcie niesubordynację dzisiejszą. Spokorny konfrontował to wyliczanie z zarzutami, jakie Marek uczynił „szefowi”: zbrodni, rozboju, kradzieży, przygotowania wojny.

Perora Zenona trwała jakiś czas. Ulżył sobie raz jeszcze, ciągle trzymając Marka pod rewolwerem. Wreszcie kończył :

– ...sprawę twoją osądziliśmy...

– ...śmy? Bandyti! – ironizował hardo Marek. Zenon nie zwrócił uwagi na złośliwość.

– ...i oto wyrok! – Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i zaczął czytać z komedianckim patosem: – „Sąd rozpatrzywszy zbrodnię niesubordynacji, buntu, dezercji żołnierza «Wysokiego» (to był pseudonim Marka) postanowił skazać go na karę śmierci...”

Obaj drgnęli równocześnie. Marek i Kazek.

Usłyszawszy wyraz „śmierć” – jedyny poważny z tego całego bredzenia – Marek zrozumiał, że teraz wszystko znalazło się na jednej karcie. „SzeF” był zdecydowany – żaden sąd się nie zbierał, żaden nie istniał, żadne gadania nic tu już nie wskórają. W chłopcu buchnęła płomieniem wola życia, cenniejszego teraz niż przedtem. Pomyślał: „Matka, Hanka, Wojciechowski” – i rzuciwszy się z całej siły przed siebie, poniżej lufy wymierzonego rewolweru skoczył ku tamtemu uderzając go głową prosto w brzuch.

„SzeF zwalił się na ziemię, odruchowo naciskając spust broni. Strzał – pierwszy usłyszany na ulicy – poszedł w sufit.

Bolek wyszarpnął zza paska swój rewolwer. Wtedy Kazek obiema rękami uczeplił się szyi bandyty, zatrzęsł nim i drugi strzał też poszedł w górę.

Lutek dopadł Marka i ściągnął go z „szefa”. Bolek wyrzucił pięścią w twarz Kazka, aż ten upadł na kamienie. Zenon poderwał się na nogi. Gruchnęły dwa strzały – równocześnie. Przed bramą usłyszano je jako jeden. Marek zwinął się wóół i padł na ziemię. Kazek ryknął wtedy: „Ratunku!...”

Do piwnicy wpadł czwarty bandyta krzycząc: – Milicja! Kazek pomyślał z ulgą: „Nareszcie skończy się to dziesięciodniowe piekło!” Lutek grożąc rewolwerem ustawił Kazka twarzą do ściany, z rękami podniesionymi do góry. Bolek i Zenon przyskoczyli do wejścia. Zaczęli strzelać w kierunku schodów.

Na rozkaz porucznika milicjanci wygarnęli w głąb piwnicy serię z automatu. Poszła jedna i słyhać było, jak kule trzaskały w ściany. Trudno było atakować nie znając rozkładu piwnicy, z której mogło być zresztą drugie wyjście. Porucznik wraz z milicjantem pozostał przy schodach, trzem innym nakazał obieć dokoła spaloną suterenę i poszukać bocznych wejść.

Z głębi piwnicy strzelano, ale rzadziej. Wprawne ucho oficera odróżniło już tylko dwa rewolwery, przedtem były trzy.

Milicjant trafił na dziurę wybitą w ścianie piwnicy. Przykucnąwszy na ziemi zajrzał ostrożnie, zobaczył dwóch bandytów, którzy zapomniawszy o tej drodze ucieczki, stali zaciżajeni przy drzwiach wiodących na korytarzyk. Strzelali w kierunku schodów.

Milicjant ruchem ręki przywołał kolegę. Zostawił go przy dziurze, sam wrócił zameldować porucznikowi. Tymczasem siła atakujących wzrosła: kanonada przywołała szofera milicyjnego auta i dwóch przechodzących żołnierzy.

Atak więc poszedł z dwu stron: dziurą i schodkami. Jeden milicjant dostał kulą w ramię, drugiego drasnęła w głowę. Bolkowi zgruchotano kolano. Zenon dostał w prawą dłoń. Lutek i czwarty bandyta skapitulowali bez oporu.

Gdy milicjanci wkroczyli do szerokiej piwnicy, na środku, w wielkiej kałuży krwi leżał skurczony Marek, wydawało się – bez życia.

Zaareztowano całą bandycką czwórkę, a wraz z nimi i Kazka, który zrezygnowanym, apatycznym ruchem, milcząc, sam wyciągnął dłonie ku kajdankom.

Aresztancki konwój wyszedł na światło dzienne. Jacek nie poznał przyjaciela: Kazek był bledszy niż dźwigany na noszach Marek

...Przerwałem lekturę. Ciekawość zwyciężyła. Jednym ruchem dłoni przerzuciłem kilkadziesiąt następnych kartek akt śledczych i sądowych, byle prędzej przeczytać ostatni. Jak się to skończyło?

Widząc ten sztubacki manewr Wilczyńska uśmiechnęła się zza biurka.

– Jak to dobrze, że w życiu nie można tak zajrzeć od razu na ostatnią stronę. Ileż wspaniałych czynów pozostałoby nie narodzonych – zauważyła jakby melancholijnie. – Ale ileż słusznych decyzji prędzej by zostało wydanych. – Ja byłem optymistą.

Roześmiała się. Zapadł upalny wieczór czerwcowy. Tramwaje hałasowały na ulicy. Przez okno widać było nieregularny haft świetlnych kwadratów – w kilkudziesięciu budynkach Muranowa mieszkają już ludzie. Spostrzegłem, jak wzrok pani sędziego zatrzymał się na jednym z tych jasnych punktów: Tam Ania i Wituś czekają na matkę. Kończmy więc prędzej tę lekturę.

Ostatni papier miał datę z grudnia 1949 roku. Decyzja sądu uchylająca kuratelę nad Markiem Kozłem, Jackiem Siwickim, Zbigniewem Moczarskim. Podpisała – sędzia Wilczyńska.

Zdziwiony – raz jeszcze sprawdziłem datę. Wyraźnie: 1949 rok. Dlaczego nie 1948?

Dlaczego nie wtedy, gdy Marek walczył ze swą groźną raną? Dowód zaufania może by przyspieszył gojenie.

Dlaczego nie wtedy, gdy Jacek przeżywał ciężki moment rozstania ze swą pierwszą w życiu redakcją? Nie mógł znieść uszczypliwości Andrzeja Kornickiego, jeszcze nie wstawionego cyklem reportażu ze spółdzielni produkcyjnych, oburzonego – jak kpił Matusiak – że przez publiczne ujawnienie tamtej pierwszej redakcyjnej „pomocy” wszyscy się dowiedzieli, ile to syn inżyniera zawdzięcza synowi stróża. Ale może Kornecki miał tylko żal o to, że korzystając z jego informacji Jacek był pośrednikiem w aresztowaniu siostry. Matusiak zresztą też wtedy oziębził w stosunku do Jacka, nie umiał mu zapomnieć udziału w nieszczęściu narzeczonej. Unikali więc siebie nawzajem, krępując jeden drugiego, aż w końcu Matusiak znalazł chłopcu posadę w innym dzienniku.

– Dlaczego wtedy pani tym chłopcom nie pomogła? – zapytałem z jakąś łatwo wyczuwalną pretensją w głosie.

– Przesadza pan. Chłopcy doznali dużo dowodów serca i zaufania. Majewska była im najczulszą matką. Ja już z moimi papierkami nie byłam Markowi potrzebna; miał Wojciechowski i innych. A Jacek? Toż to były jego świetne dni, on triumfował. Był bohaterem. Uratował przecież życie Markowi, Zbychowi i Kazkowi. Wierzył, że dzięki niemu unieszkodliwiono Zenona, choć „szef” i tak byłby ujęty tylko w trzy dni później i inną drogą. A zresztą prawo, proszę pana, prawo. Choćbym chciała, nie wolno mi było skrócić tych zasądzonych dwóch lat.

– Wobec Kazka prawo było wyrozumialsze! – Byłem pewien, że po wizycie złożonej prokuratorowi przez egzekutywę Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR, która przyszła prosić o uwolnienie Spokornego z aresztu i oddanie go pod kuratelę fabrycznego kolektywu pragnącego naprawić swe winy, Kazek już co najmniej od roku jest na wolności.

– Wyrozumialsze? – Była zdumiona. To mnie zaskoczyło.

– Kazek chyba już wyszedł? – Zawahałem się w swej pewności będącej tylko wrażeniem.

– Nic podobnego. Ciągle znajduje się w areszcie śledczym. Afera Zenona zatoczyła szerokie kręgi. Rabunki, czarna giełda i handelek biletami to były zajęcia uboczne, drobne, nawet przykrywkowe. Śledztwo było żmudne i długie. Sprawa tego Zenona odbędzie się już w normalnym sądzie – Wilczyńska przerzuciła kilka stron kalendarza – za trzy tygodnie. Kazek też

będzie sądzony. Mam wielką nadzieję, że sąd go uwolni, to dobry chłopak. Albo może i nie uwolni. Niech mi pan wierzy, przedwczesna wyrozumiałość, mam straszne doświadczenia, zachęca często tych najgorszych, rozgrzesza. No, cóż! Lata pobytu Kazka w więzieniu to strata nie tylko dla niego, to strata dla fabryki, dla nas wszystkich. Trzeba ją zapisać na rachunek przeszłości...

– Albo i przyszłości – domyśliłem się, co chce powiedzieć.

– Może i macie rację. Ci, co stali za Zenonem, też o przyszłości myśleli. Wie pan, bomba zabija nie tylko tych, w których trafia bezpośrednio; odłamkami rani dalej stojących. Tak i z wojną. W tych szafach – ręką wskazała na ściany dokoła – znajdzie pan jeszcze niejedną historię młodego chłopca czy młodej dziewczyny trafionych takim odłamkiem wojny. Najgorszy siew, który wzrasta wtedy, gdy milkną armaty, to tragedia młodych przestępców. Lecz nad tym nie zastanawiają się nawet ci, co mając dzieci pragną wojny. Młodych często pchają w przepaść własni rodzice. Niech pan się spyta Majewskiej. Była u zrozpaczonych Kozłowskich już po aresztowaniu syna. Stary wrócił do domu i jak dawniej oświadczył... zresztą niech ona wam sama opowie o tych straszliwych marzeniach i piekielnych modłach...

Wilczyńskiej zabrakło słów. Zamilkła. Tylko oczyma błędziła po oświetlonych kwadracikach w taflach muranowskich domów.

– A przecież Lutek – podjęła na nowo swe wyznanie – mógłby nie gnić w więzieniu. Majewska stale czyni mi wyrzuty, że to nasza wina. Trzeba go było siłą od razu odebrać rodzicom i oddać do terminu, do ludzi takich jak Lowak czy Garski. Lecz mogło to być i tak już za późno. W każdym razie z tego chłopca na pewno można było coś wykrzesać. W aktach tego nie ma, ale egzamin u gimnazjalnego polonisty najlepiej zdała właśnie Michalina Rostkowska...

Warszawa, 1950–51

Korekta: Kordula Buszka